



**You have downloaded a document from
RE-BUŚ
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: Niedrukowane dramaty Gabrieli Zapolskiej. T. 1 Nerwowa awantura ; Pariasy

Author: Gabriela Zapolska; Jan Jakóbczyk (red.) Krystyna Kralkowska-Gątkowska, Krystyna Kłosińska, Magdalena Piekara, Jerzy Paszek (współpr.)

Citation style: Zapolska Gabriela; Jakóbczyk Jan (red.) Kralkowska-Gątkowska Krystyna, Kłosińska Krystyna, Piekara Magdalena, Paszek Jerzy (współpr.). (2012). Niedrukowane dramaty Gabrieli Zapolskiej. T. 2 Carewicz ; Asystent. Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego.



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIwersYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego



Niedrukowane dramaty

Gabrieli
Zapolskiej

Tom 2

Wydawnictwo
Uniwersytetu Śląskiego
Katowice 2012

Niedrukowane dramaty
Gabrieli Zapolskiej

Tom 2



NR 2920

Niedrukowane dramaty Gabrieli Zapolskiej

Tom 2
Carewicz
Asystent

pod redakcją
Jana Jakóbczyka

we współpracy
z Krystyną Kralkowską-Gątkowską, Krystyną Kłosińską,
Magdaleną Piekarą i Jerzym Paszkiem

Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego



Katowice 2012

Redaktor serii: Edytorstwo Naukowe
Jan Jakóbczyk

Recenzent
Ewa Paczoska

Praca naukowa finansowana ze środków na naukę w latach 2009–2011 jako projekt badawczy

Portret Gabrieli Zapolskiej Juliana Fałata opublikowany za życzliwą zgodą
Muzeum Narodowego w Kielcach (il. 1, t. 1).

Portret Gabrieli Zapolskiej autorstwa Stanisława Janowskiego (il. 2, t. 1)
oraz 5 fotografii pisarki (il. 3–7, t. 1) opublikowane na mocy umowy z East News.

Portrety Zapolskiej namalowane przez Stanisława Janowskiego (il. 7 i 8 w tomie 2.)
oraz fotografie (il. 9 i 10 w tomie 2.) opublikowane za zgodą
Muzeum Historycznego Miasta Krakowa.

Skany afiszy teatralnych pochodzą ze zbiorów Archiwum Artystycznego
i Biblioteki Teatru im. Juliusza Słowackiego.

Egzemplarze teatralne dramatów Zapolskiej (*Nerwowa awantura* – sygn. BTLw 3940,
Asystent – sygn. BTLw 4199, *Carewicz* – sygn. BTLw 4150, *Pariasy* – sygn. BTLw 4054) –
przechowywane w Bibliotece Śląskiej w Katowicach, il. 10, t. 1.

Spis treści

G. Zapolska: <i>Carewicz. Sztuka w 3 aktach</i>	7
G. Zapolska: <i>Asystent. Żart sceniczny w 3 aktach</i>	121
Nota wydawcy	327
<i>Carewicz</i> – komentarz	327
Uwagi o tekście	334
Poprawki tekstu	335
Premiery teatralne	337
<i>Asystent</i> – komentarz	339
Poprawki tekstu i emendacje	344

Carewicz

Sztuka w 3 aktach

Osoby

CAR
CAREWICZ
WIELKI KSIĄŻĘ JERZY
PREZYDENT MINISTRÓW
PROKURATOR SYNODU
LEIBMEDYK
PROFESOR MÜLLER
KAMERDYNER WANIA
PIERWSZY LOKAJ
SONIA
NARZECZONA CAREWICZA
MINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH

*Rzecz dzieje się w carskim dworze jednego z państw wschodnich
w obecnych czasach.*

AKT I

Scena przedstawia jedną z sal carskiego pałacu. Szablonowy styl skupiony w złoceniach bez wdzięku, ani nawet przepychu. Coś nieokreślonego, coś brzydkiego. Ściany pokryte malinowego koloru jedwabiem. W rogach nisze, w których stoją dwie olbrzymie malachitowe, zielone urny. Pod ścianami kanapy i fotele złożone (formy Ludwika piętnastego¹) okryte poniszczoną materią malinowego koloru. W suficie olbrzymi kryształowy żyrandol. Po prawej stronie sceny duże drzwi balkonowe, zamknięte. W czasie akcji, gdy te drzwi się otworzą, widać wielkie, ponure drzewa parku pałacowego i robiące wrażenie raczej ekscentrycznych cyprysów, które stoją na straży pustych nawet i próżnych od popiołów grobowców. Daleko poza nimi i nad nimi migocą czasem gwiazdy niepewne i blade, czasem płomienie blask zachodzącego słońca. Na balustradzie balkonu stoją dwa próżne, marmurowe wazony. Na balkon wchodzi się po dwóch stopniach. W sali nieład, porozrzucane meble. Zwiesza się od stropu trapez, kółka – w ogóle przybory gimnastyczne. Po lewej stronie długi, piękny stół mahoniowy, inkrustowany, na którym narzucony jest obrusik wyszywany, kolorowany wschodnim haftem. Na stole samowar brzydki, miedziany z zaparzoną czajnikiem, cukier i duży bochenek razowego chleba. Koło stołu zydeł drewniany, w głębi po prawej zwyczajne polowe łóżko żelazne, przykryte kocem z poduszką wypchaną sianem, przysłonięte parawanikiem drewnianym.

I w tej sali jest jakby przywarte do ścian dziwne skojarzenie dwóch zespółów, śmiertelnej pustki i jakby pojmanego, żyjącego, a martwiejącego ducha. Od czasu do czasu spod balkonu dochodzi przeciągły, jękliwy głos czuwającej

1 formy Ludwika XV – styl mebli, akcentujących wygodę użytkownika, konstrukcje lekkie, eleganckie, krzywoliniowe, płaszczyzny fornirowane; wpływy baroku włoskiego i sztuki wschodniej w kształtowaniu stylu mebli Ludwika XV (XVIII wiek).

warty – Karant! i z oddali odpowiada drugi przeciągły głos czuwającego żoł-
daka – Karant! I znów milknie wszystko i zapada w czerni i w ciszę.

SCENA 1

LOKAJ, KAMERDYNER

Na stopniach wiodących do balkonu siedzi pierwszy lokaj przybrany w dworską liberię. Frak oszyty taśmami, na których haftowany herb państwa. Zdrzemnął się i siedzi tak nieruchomy z twarzą ukrytą w dłoniach. Wchodzi KAMERDYNER WANIA, ubrany w czarne chausse², golony, cichy, umiarkowany w ruchach. Dotyka ramienia śpiącego LOKAJA, ten porywa się, przeciera oczy.

KAMERDYNER

Zasnąłeś?

LOKAJ

Darujcie – przeszłą noc nie spałem...

KAMERDYNER

Byłeś zwolniony... znać kulałeś.

LOKAJ

Żona umierała – czuwałem przy niej.

KAMERDYNER

Daruj... nie wiedziałem. Samowar wygaś.

LOKAJ

W tą minutę rozjarzyć każe.

KAMERDYNER

Przynieś także sól i podaj więcej szklanek.

LOKAJ zabiera samowar i wychodzi. KAMERDYNER usiłuje trochę zaprowadzić porządku w gimnastycznych sprzętach, wreszcie przestaje. LOKAJ powraca ze srebrną solniczką pełną czarnej soli i kilkoma szklankami na spodecz-

2 chausse (fr.) – (spodnie do kolan) rodzaj okrycia nóg, które może sięgać kolan lub pokrywać całą nogę. W średniowieczu standardowa ochrona przed cięciami broni.

kach. Ustawia to wszystko na stole. KAMERDYNER przypatruje się, wreszcie podchodzi do drzwi balkonowych i patrzy przez nie.

LOKAJ

Darujcie, ale czy przedstawienie już skończone?

KAMERDYNER

Nie, ale ma się ku końcowi. Carewicz powróci lada chwila. Zapewne jednak korytarzami, nie karetą, bo brama wjazdowa już zatarasowana.

LOKAJ

który się także zbliżył do drzwi balkonowych

Przeciwnie, oto otwierają bramę. Wjeżdża jedna z dworskich karet.

KAMERDYNER

To karetą Wielkiego Księcia Jerzego, poznają po latarniach. Tylko jego latarnie tak silnie płoną.

LOKAJ

Wjechała w aleję...

KAMERDYNER

Jedzie pod nasz podjazd.

LOKAJ

Biegnę oświetlić schody.

KAMERDYNER

Jeszcze ktoś jest z Wielkim Księciem.

LOKAJ

To pan Prezydent Ministrów...

KAMERDYNER

Trzeba zaalarmować portiera.

LOKAJ wybiega. KAMERDYNER zostaje na scenie, zapala kandelabr na stole. Słychać brzęk ostróg i za chwilę wchodzi WIELKI KSIĄŻĘ JERZY i PREZYDENT MINISTRÓW.

SCENA 2

KAMERDYNER, WIELKI KSIĄŻĘ JERZY, PREZYDENT MINISTRÓW

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY – rosty, silny, zdrow, ponury i skoncentrowany w sobie. Mundur nieposzlakowany, w ogóle uosobienie militarizmu bez pardonu i gniotącej potęgi. Jakby strażnik z musu i bez chęci, a przecież pełniący swój obowiązek z precyzją i przeświadczeniem, że idzie po wytyczonej mu z losu linii. Cecha charakterystyczna – żadnego orderu.

PREZYDENT MINISTRÓW – typ silnego dworaka, błyskotliwość i zapobiegliwość, w ogóle dużo zewnętrznej parady. Odzież cywilna, maniere angielskie, co jest bezwiedne już i jakby we krwi. Właściwie patrzenie ponad szkłem okularów, a w razie potrzeby krycie wyrazu oczu poza tymi szklami. Cienki, wytworny uśmiech, gasnący łatwo i w razie potrzeby – w ogóle człowiek i jego duch ze sprężyn złożony.

PREZYDENT MINISTRÓW do KAMERDYNERA

Słuchajcie i wydajcie odpowiednie rozporządzenie. Za małą chwilę przyprowadzę tu... pewną osobę. Przyjmijcie ją pod swoją opiekę i wprowadzicie tutaj.

KAMERDYNER

Według rozkazu.

PREZYDENT MINISTRÓW

Wieść ją będą od teatru kurtyarzami. Tam ją czekać należy.

KAMERDYNER

Według rozkazu.

PREZYDENT MINISTRÓW

Przygotować wielką sypialnię Carewicza. Zaświecić tam nocne lampy. Również mieć w pogotowiu owoce, cukry – jakąś przekąskę, a... zamrozić szampana. Czuwać noc całą. Być w pobliżu, aby w razie potrzeby odprowadzić ową osobę do pojazdu. Niech dworska karetka czuwa noc całą, zaprzęgnięta, i w oddali trochę, aby później doprowadzić daną osobę i wsadzić ją do karety...

KAMERDYNER

Ekscelencja raczy pozwolić... czy owa osoba ma sama odjechać, czy – tak jak i inne – ja mam odwozić?

PREZYDENT MINISTRÓW

Odwieźcie tak samo!

KAMERDYNER *kłania się*

Według rozkazu.

PREZYDENT MINISTRÓW

Idźcie!

KAMERDYNER *odchodzi*

SCENA 3

PREZYDENT MINISTRÓW, WIELKI KSIĄŻĘ JERZY, KAMERDYNER

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY *nadśłuchując*

Czy nie on? Słyszę jakieś kroki.

PREZYDENT MINISTRÓW

Nieemożliwe. Jeszcze raz trupa występuje. Teraz będą tańczyć lezginkę³, którą kazałem, aby klaka tak silnie oklaskiwała, iż będą musieli ją powtórzyć. Po lezgince przetrzymają jeszcze Carewicza w łoży czas jakiś, aby miano dosyć czasu do przeprowadzenia tej dziewczyny kurtytarczami do apartamentu Carewicza. Tu już skończy się moja rola – i Wasza Cesarska Wysokość zechce uprzedzić Carewicza, iż wola, którą raczył łaskawie wyrazić podczas przedstawienia, spełnioną została, i ów biały Czerkies, który mu się spodobał i którego wyróżnił na towarzysza do zabawy, mu dostarczony zostanie.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Nie – ja się tego nie podejmę. To nie jest mój genre.

PREZYDENT MINISTRÓW

Śmiem zwrócić uwagę, że i w moim charakterze nie leży zajmowanie się tego rodzaju sprawami. Jednak czynię to ze względu na dobro dynastii.

3 lezginka – tradycyjny, ludowy taniec kaukaski o żywym tempie. Wywodzi się od ludu Lezginów, zamieszkujących południowo-wschodni Dagestan i północny Azerbejdżan. Dla tego tańca charakterystyczne są drobne, szybkie kroki, gwałtowne ruchy ramion i ciała. W trakcie tańca mężczyźni wielokrotnie upadają na kolana i podnoszą się.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY z grymasem

Szczególnie...

PREZYDENT MINISTRÓW

Należy się dobrze wsłuchać w szmer, co płynie z dali i nie pozwolić, aby szmer ten przeszedł w krzyk.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Według was. Pomiędzy tym a tym jest jeszcze miejsce na jedną lalkę.

PREZYDENT MINISTRÓW

Chociażby... Należy, aby ta lalka była tak przygotowana, jak tradycja każe i wystąpiła od razu na widownię, jako punkt ściągający bałwochwalcze uwielbienie. Zrozumcie – ani chwili próżni, żadnej luki – inaczej może runąć wszystko. Więc tu chodzi o coś ważniejszego, niż się na pierwszy rzut oka wydaje.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Frazesy! Mój punkt widzenia inny.

PREZYDENT MINISTRÓW *podrażniony, hamując się*

Ponawiam to twierdzenie. Wasza Wysokość pojmuje, iż może koniecznym się okaże przyspieszyć zaślubiny Carewicza. Trudno będzie oddać żonę w nie-uświadomione, chłopięce ręce. Mogą wyniknąć z tego kolizje i konflikty, możliwe w przeciętnych parach małżeńskich, lecz absolutnie niemożliwe na tronie.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Śmieszne...

PREZYDENT MINISTRÓW

Być może, lecz trzeba brać rzeczy, jak są. Dziwaczny charakter Carewicza – jego wstręt do kobiet gra tu główną rolę. Należy to przełamać za wszelką cenę.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Przełamujcie.

PREZYDENT MINISTRÓW

Dotychczasowe usiłowania nasze wywołały tylko wręcz przeciwny skutek.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Właśnie, właśnie. Należy najlepiej zostawić rzeczom swobodny bieg.

PREZYDENT MINISTRÓW

Och! W takim razie...

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Nie liczcie na mnie. Nie chcę robić rysy na stosunku moim do mego siostrzeńca.

PREZYDENT MINISTRÓW

Starałem się tak rzeczy pokierować, aby wyjątkowo tym razem wszystko się dobrze ułożyło. Carewicz raczy być przekonany, że owa trupa to są aktorzy, tak kazałem drukować w programach.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

No więc o co chodzi?

PREZYDENT MINISTRÓW

Aby jej nie wygnał, tak jak wszystkie do tej chwili.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

No to wygna! Wielka awantura. Będziecie szukać innej.

PREZYDENT MINISTRÓW

Jednak...

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Ach, zostawcie! Stanie się to, co ma być. Przeciw prądowi nie należy płynąć.

wchodzi KAMERDYNER i zbliża się z szacunkiem do PREZYDENTA MINISTRÓW

KAMERDYNER

Wasza Światłość pozwoli sobie zaraportować, że przedstawienie trupy skończone – nadszedł sygnał – również najdostojniejszy Carewicz raczył się udać do głównego korpusu, do apartamentów Najjaśniejszego Pana.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Kto pełni dookoła niego straż?

KAMERDYNER

Trzech Czeczeńców i Jego Światłość Generał Skolimowski.

PREZYDENT MINISTRÓW do KAMERDYNERA

Pamiętajcie wszystko, co rozkazałem.

KAMERDYNER

Prawie wszystko spełnione.

PREZYDENT MINISTRÓW

Nie zapomnijcie poddać ścisłej rewizji osobę, którą macie tu wprowadzić.

KAMERDYNER

Agentka policyjna czyni to właśnie w sąsiednim gabinecie.

PREZYDENT MINISTRÓW

Bądźcie przy tym obecni. Kto towarzyszył dziewczynie?

KAMERDYNER

Zdaje się jej ojciec czy opiekun. Spełniłem rozkaz Waszej Światłości, odebrałem dziewczynę i odprawiłem go natychmiast.

PREZYDENT MINISTRÓW

Dobrze – idźcie i czekajcie mego wezwania, wtedy ją wprowadzicie.

KAMERDYNER wychodzi. WIELKI KSIĄŻĘ JERZY zbliżył się do drzwi balkonowych i otworzył je – gdy pojawił się we drzwiach, słysząc przeciągły głos warty Karant! i odpowiedź innych wart Karant! WIELKI KSIĄŻĘ wychodzi na balkon. Patrzy w dal ciemną, w której tylko znaczą się gigantyczne, nieruchome cienie drzew. Potem wraca się do PREZYDENTA, który staje na pierwszym stopniu, prowadzącym na balkon.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

W apartamencie cesarskim światło...

PREZYDENT MINISTRÓW

Najjaśniejszy Pan raczył wyjawić dziś życzenie wieczornego koncertu.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

wraca do sali

W jego stanie zdrowia?

PREZYDENT MINISTRÓW

Oprzeć się trudno. Wreszcie była to jedyna sposobność dla profesora Müllera, aby go zobaczyć.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Ach tak, dworski lekarz sąsiedniego państwa, który miał wydać swą diagnozę. Cóż, kiedy mój brat nie daje się badać – nie pozwoli się zbliżyć do siebie, tylko swemu Leibmedykowi.

PREZYDENT MINISTRÓW

Właśnie więc – użyliśmy fortelu...

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Ach! Wy tylko dyszycie fortelami. We wszystkim fortele.

PREZYDENT MINISTRÓW

Gdy nie można inaczej...

wchodzi KAMERDYNER

KAMERDYNER

Wasza Światłość pozwoli oznajmić sobie, że Jego Ekscelencja profesor Leibmedyk, wraz z cudzoziemskim lekarzem, weszli do apartamentów Najjaśniejszego Pana i proszą usilnie o chwilkę posłuchania, twierdząc, iż rzecz nie cierpi zwłoki.

PREZYDENT MINISTRÓW

Czy Wasza Cesarska Wysokość raczy zezwolić, aby w Jego obecności...

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Nie! Wolę odejść. Nie cierpię pół-mędrków, a zwłaszcza tych, którym się zdaje, że są całymi mędrkami. U mnie jest jedna mądrość – siła! O! – i jeszcze co! Poczucie tej siły. Reszta wszystko splunięcia niewarte. Po tej drodze chciałem, aby szedł mój siostrzeniec.

KAMERDYNER wyszedł

Wy mu pchacie dziewczki, dla niego to, jak dla mnie, nie ma znaczenia... A zobaczycie – wy go jeszcze waszymi fortelami wpakujecie w jaki szkaradny konflikt!

PREZYDENT MINISTRÓW

Wasza Cesarska Wysokość daruje, ale wszystko jest zawsze najdokładniej obliczone. Na przykład co do trupy Czerkiesów, zanim dozwolono im produkować

wać się w pałacu, zasięgnięto najdokładniejsze sprawki⁴ o każdej z biorących udział z osobna. Zanim przystąpiłem do targu o tę właśnie, byłem przekonany, że nie ryzykujemy nic.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Być może, ale to wszystko – ot – darujcie – śmieszne!

wychodzi szybko, trzaskając drzwiami głównymi

PREZYDENT MINISTRÓW

Chwilę patrzy za nim wzburzony, wreszcie uspokaja się, dzwoni. Wchodzi KAMERDYNER.

PREZYDENT MINISTRÓW

Zatelefonujcie do mego pałacu, niech przyślą po mnie karetę. Jego Wysokość raczył zabrać swoją karetę. I wprowadzić tych panów!

SCENA 4

LEIBMEDYK, PROFESOR MÜLLER, PREZYDENT MINISTRÓW

LEIBMEDYK

strój wieczorowy, charakterystyka dowolna

Jego Światłość daruje, iż nie chcąc tracić czasu, wraz z moim znakomitym kolegą, odszukaliśmy Waszą Światłość aż tutaj...

PREZYDENT MINISTRÓW

Nie szkodzi! O co chodzi? Mówmy prędko, nie ma bowiem czasu. To apartament Carewicza, który lada chwila powróci.

LEIBMEDYK

Wiemy. Lecz oto profesor Müller otrzymał przed chwilą telegram, wzywający go do powrotu.

4 sprawki (ros.) – informacje (policyjne).

PROFESOR MÜLLER
typ przeciętny nadętego pyszałka

Na dworze naszym zaszedł bowiem nagle ważny wypadek, wymagający mej obecności. Następca tronu raczył zapaść na szkarlatynę. Jestem nieodzowny przy łożu dostojnego pacjenta.

PREZYDENT MINISTRÓW
Pojmuję. Pan profesor kiedy odjeżdża?

PROFESOR MÜLLER
W tej chwili.

LEIBMEDYK
Zarządzono już osobny pociąg i sygnalizowano z dworca, że wszystko gotowe.

PREZYDENT MINISTRÓW
Proszę, niech pan usiądzie. *siadają* Jak pan znalazł Najjaśniejszego Pana?

PROFESOR MÜLLER
Czy można mówić bezpiecznie?

PREZYDENT MINISTRÓW
Tu bezpieczniej niż gdzie indziej.

PROFESOR MÜLLER
Z tego co widziałem na odległość – dołączywszy znakomite analizy mego mądrego kolegi – Najjaśniejszy Chory cierpi na cukrzycę i to już w znacznym stopniu. Przyłącza się do tego również wrzód w dwunastnicy i świeżo przebyta angina. Głównie jednak *diabetes mellitus*⁵ polegająca na zaburzeniach.

PREZYDENT MINISTRÓW
Streściwszy więc wszystko. Katastrofa bliska?

5 *diabetes mellitus* – cukrzyca, choroba objawiająca się podwyższonym poziomem cukru we krwi; nazwa łacińska *diabetes* wywodzi się z greki i oznacza ‘przechodzenie przez’ lub ‘spuszczanie’, co związane było z nadmierną produkcją moczu; *mellitus* (łac. miód) – pochodzi od słodkiego smaku moczu.

PROFESOR MÜLLER

W każdym razie nieunikniona.

milczenie

W dalszym postępowaniu należy trzymać się rozkazów mego znakomitego kolegi, któremu tylko należą się słowa wysokiego uznania.

lekarze zamieniają ukłony

LEIBMEDYK

Prowadzenie kuracji wobec oporu Dostojnego Chorego nie jest rzeczą łatwą.

PROFESOR MÜLLER

Pojąłem to od razu i podziwiam wasz takt, wytrzymałość i rozum w postępowaniu.

LEIBMEDYK

Podtrzymuje mnie miłość dla dynastii i poczucie obowiązku.

PREZYDENT MINISTRÓW

Tak jak nas wszystkich!

ukłony, chwila milczenia

PROFESOR MÜLLER *powstaje*

Winienem odejść.

LEIBMEDYK

Kareta dworska odwiezie pana wprost na dworzec. Sprowadzę pana do niej, a sam w tej minucie tam także podążę...

PREZYDENT MINISTRÓW

Proszę przyjąć podziękę za podjęte trudy z powodu odbycia tak dalekiej podróży.

PROFESOR MÜLLER

Cały to zaszczyt dla mnie. Żałuję niewymownie, iż zbieg losu nie pozwala mi pozostać, aby czuwać, lecz w istocie to można powiedzieć – nie wiecie ani dnia, ani godziny... Wobec takiej komplikacji katastrofa może się odwlec, a może nastąpić jak piorun...

PREZYDENT MINISTRÓW

Rozumiem i mam pana zupełnie za wytłumaczonego...

obaj lekarze odchodzą, zamieniając z PREZYDENTEM ceremonialne ukłony

PREZYDENT MINISTRÓW

zatrzymując w tyle LEIBMEDYKA

Proszę mu dać do zrozumienia, iż dostanie wysoki order i sprawa honorarium stosownie załatwioną przez banki zostanie, ale pieczęć grobowa na ustach.

LEIBMEDYK

Pojmuję i sędzę, że o to nie powinniśmy się lękać. Sędzę, iż profesor zna swoje obowiązki.

Wychodzi. Prezydent stoi chwilę zamyślony, wreszcie dzwoni.

SCENA 5

PREZYDENT MINISTRÓW, KAMERDYNER WANIA

wchodzi KAMERDYNER

PREZYDENT MINISTRÓW

Nie sygnalizowano jeszcze Carewicza?

KAMERDYNER

Właśnie w tej samej chwili idzie przez główny korpus malachitową⁶ salą z galeriami.

PREZYDENT MINISTRÓW

Przyprowadź szybko wiadomą osobę.

KAMERDYNER

Do usług!

Wychodzi szybko, za chwilę powraca, wiodąc za rękę SONIĘ.

6 malachit – minerał o zielonym zabarwieniu; w Rosji na Uralu wydobywa się go na przemysłową skalę; tu: prawdopodobnie ściany wyłożone zostały okładzinami z malachitu.

SCENA 6

PREZYDENT MINISTRÓW, SONIA, KAMERDYNER

KAMERDYNER

Oto ona!

Cofa się w milczeniu, pozostaje na środku sceny SONIA, która jest okryta białą, czerkieską, włochatą bundą⁷ z kapturem nasuniętym na głowę. Spod bundy widać lakierowane buciki. PREZYDENT patrzy na SONIĘ długą chwilę – wreszcie mówi przyciszonym głosem.

PREZYDENT MINISTRÓW

Czy wiesz gdzie jesteś?

SONIA, lat szesnaście, drobna, szczupła, jasnowłosa – typ ludowej dziewczyny o zdziwionych, błękitnych źrenicach, jakby przysłoniętych mgłą wieczystych łez. Do ust uśmiech przywarty, w pół bolesny, w pół szczery i dziecinny. Coś w niej, mimo młodości, jakby to był kwiat zbyt wcześnie rozkwitły, po którym powiał mroźny wicher, zabłąkany, zimny. Lecz nieokreślony czar i harmonia głosu, rytmika ruchów i poezja dziecka stepowych Czerkiesów. Słowem – kobieta stojąca w progu swego przeznaczenia, gotowa pochylić się pod jarzmem nieszczęścia.

PREZYDENT MINISTRÓW *znecierpliwiony jej milczeniem*

Czy wiesz gdzie jesteś?

SONIA

Wiem.

PREZYDENT MINISTRÓW

Czy wiesz, po co cię tu przywiedli?

SONIA *cicho*

Wiem...

PREZYDENT MINISTRÓW

Zdejmij bundę.

7 bunda – odzienie narzucane na ramiona, rodzaj peleryny z kożucha.

SONIA zdejmuje płaszcz – ukazuje się w białym, sukiennym jarmaku⁸, przepasana pasem lakierowanym, u którego wisi cyzelowany, zakrzywiony kindżał. Na piersiach patrontasze⁹ do prochu. PREZYDENT MINISTRÓW bierze płaszcz i rzuca KAMERDYNEROWI.

Wynieś do sypialni.

KAMERDYNER wynosi płaszcz na prawo do sypialni CAREWICZA. Gdy otworzy drzwi, widać łagodny, błękitny blask nocnej lampy. Wraca.

PREZYDENT MINISTRÓW

Pozostawiono kindżał?

KAMERDYNER

To z tektury...

PREZYDENT MINISTRÓW

Wszystko jedno!

SONIA

To do tańca, w zębach trzymam.

PREZYDENT MINISTRÓW

Odbierz, może sprawić nieprzyjemne wrażenie

KAMERDYNER odbiera od SONI kindżał, pozostawia tylko pochwę.

PREZYDENT MINISTRÓW

Co masz tu?...

pokazuje na patrontasze

Naboje?

SONIA cicho

Cukierki miętowe.

PREZYDENT MINISTRÓW

Zjedz przy mnie którykolwiek...

8 jarmiak – wierzchni strój, kapota sięgająca do kolan.

9 patrontasze (niem. – Patronentasche) – torba na patrony, czyli naboje.

KAMERDYNER

Już jadła – kazaliśmy przy rewizji.

PREZYDENT MINISTRÓW

Możesz odejść.

KAMERDYNER *odchodzi*

PREZYDENT MINISTRÓW *do SONI*

Wasze imię?

SONIA

Sonia Iwanowna.

PREZYDENT MINISTRÓW

Pouczyć was muszę, Sonio Iwanowno, co się was dotyczy. Bezwarunkowe posłuszeństwo tej osobie, od której los wasz teraz zależeć będzie. Żadnego oporu – nic, co by buntem groziło. Słyszycie?

SONIA *cicho*

Słyszę...

PREZYDENT MINISTRÓW

Być może, iż spotka was jakieś trochę gwałtowne obejście. Należy reagować nań bezwzględna słodyczą i uległością. Niech Sonia Iwanowna pamięta, iż od pierwszej chwili zależy wszystko. W rękach Soni fortuna i błyszcząca przyszłość nie tylko jej, ale i jej bliskich. Należy więc niczemu się nie dziwić i cenić sobie wysoko ten zaszczyt i szczęście, jakie na Sonię Iwanowną spada. Mówiono mi, iż Sonia Iwanowna jest wyjątkowo inteligentna, proszę tedy postępować jak ktoś inteligentny, a nie jak głupiątko.

nadśłuchuje

Proszę wejść tu i czekać mego wezwania.

Wprowadza ją na prawo do sypialni CAREWICZA, zatrzymuje ją jednak na progu.

A proszę pamiętać kiedyś może, że to za moją sprawą... no i...

SONIA wchodzi do sypialni, PREZYDENT powraca na scenę. Drzwi wejściowe otwierają się gwałtownie kopnięciem buta – wchodzi CAREWICZ.

SCENA 7

CAREWICZ, PREZYDENT MINISTRÓW, LOKAJ, SONIA, KAMERDYNER

CAREWICZ – młodziutki, cudnej urody chłopiec. Wzrok bystry, lecz zgaszony melancholią, potwarzy błyski rozpaczliwej melancholii, ruchy neurastenika. Ogromny wdzięk w zarysie ust, chwilami zaś połysk kłów dzikiego zwierzęcia. Zwinność ruchów zastanawiająca – coś jakby z szalonej pantery bijącej się o kraty klatki. W tej piersi młodzieńczej aż wyje chęć do czynów i kłębi się od pragnień, i nie wystarcza mu sportowa nicość i katechizm absolutyzmu, z którym zasypia o świcie. Czuje, iż miałby być wszystkim, a będzie niczym. Dlatego odczuwa z pogardą tę drobną część rzekomej wielkości życia, którą mu do złoczonego żłobu sypią i tęskni, i łka, i jęczy za inną egzystencją, którą przeczuwa, pożąda i dyszy cały. I drży w nim drgawka neurastenika, bezustanny lęk i trwoga, którą już przejął w siebie w łonie swej matki Carowej, która zginęła od noża anarchisty. A całą siłę skierowuje na ten punkt jedynie, aby nie dostrzeżono tej trwogi, jak nędzna jest jego dusza, przed którą horyzont wszechżycia siatką nieprzeniknioną wzięty na wieki został.

CAREWICZ

Za wejściem dostrzega stojący na stole kandelabr z płonącymi świecami. Do-
bywa z kieszeni maleńki rewolwer, mierzy i strzela do dwóch świec, gasi je, po-
 zostaje jedna. PREZYDENT stoi nieruchomy.

Nie cierpię szabasasu. Starczy jedna świeca.

LOKAJ wnosi kłębiący się samowar i stawia na stole.

CAREWICZ

patrzy, mrużąc oczy

Ty czyścił samowar?

LOKAJ PIERWSZY

Bóg strzegł Wasza Wysokość – ja wiem, co nie wolno.

CAREWICZ

Pamiętaj – ja nie chcę się przeglądać w tej głupiej bani, świecącej jakby słońce
w dachu soboru.

spozstrzega PREZYDENTA

Kto to?

PREZYDENT MINISTRÓW *układnie*

Ja, Wasza Cesarska Wysokość. Ośmieliłem się zająć, zapytać, czy widowisko dzisiejsze miało szczęście zyskać aprobatę Waszej Wysokości?

LOKAJ *wychodzi*

CAREWICZ

Zyskało! Zyskało – powiedziałem to już ochmistrzowi – starczyło. I powiedziałem też, aby nadal, jak ma być balet, to niech nie skaczą te głupie małpy jak na sznurkach, ale ot, jak te Czerkiesy – sprawne i bojkie¹⁰ chłopaki. Będę chodził, a tak, to wolę siedzieć tu.

Siada na zydlu, nalewa sobie herbatę, kraje kozikiem wydobytym z kieszeni kawałek razowego chleba, macza w soli i pije herbatę ze spodeczka, po kacapsku¹¹, zagryzając przykusą¹². PREZYDENT patrzy na niego, milczenie. CAREWICZ ziewa, stawia szklankę na stole wyciągając nogi – rozpina mundur, ziewa, opuszcza głowę na piersi.

Ot – nuda!

PREZYDENT MINISTRÓW

Śmiem zwrócić uwagę Waszej Cesarskiej Wysokości, że tylko od niego zależy, ażeby dobrał sobie odpowiednie towarzystwo. Każdy by czuł się uszczęśliwiony, mogąc przebywać w jego dostojnym towarzystwie.

CAREWICZ

Właśnie. Jak wypchana pakułami dworska lalka, gnąca swój grzbiet we czworo, fałszywa i podła, aż będzie od niej tą podłością śmierdziało! Albo może – co gorsze... damulka zatargowana za tyle i tyle, aż drżąca, ażeby ją zaszczyt pohańbienia ode mnie spotkał... A ot... napluć na to wszystko...

po chwili

Napijcie się ze mną herbaty. Doprawdy, tak samemu to już nadto.

10 bojkie – żywe, dziarskie.

11 kacapski – pogardliwa nazwa postawy czy kultury przypisywanej Rosjanom przez Polaków. Terminem posługiwał się m.in. S. Żeromski w *Snobizmie i postępie*.

12 przykuska – wraz z herbatą podawana przystawka, „zakuska”; np. w *Księdzu Marku* Słowackiego Kreczetnikow zaprasza K. Puławskiego na „wypitkę i przykuski”.

PREZYDENT MINISTRÓW
zbliża się do stołu z ukłonem

Z wysokim zadowoleniem...

Siada na taburecie na rozkazujący gest CAREWICZA, ten nalewa mu szklankę herbaty i podsuwa.

PREZYDENT MINISTRÓW
Wasza Cesarska Wysokość pozwoli zwrócić sobie uwagę, że nadto się raczył przejąć życiowymi poglądami Jego Wysokiej Wielkoksiażęcej Mości – swego stryja...

CAREWICZ
Bo one jedne wydały, że są rozumne i szacunku godne. Zresztą nie słyszałem innych zasad, chłonałem to, co mi rzucono jak ochłap i ot – rezultaty! Cieszcie się...

PREZYDENT MINISTRÓW
Przyjdzie czas, że Jego Cesarska Wysokość będzie musiał ujawnić swój program życiowy – to będzie konieczne. Co wtedy?

CAREWICZ
W każdym razie nie zabiorę do niego projektów w lisim spojrzeniu jakiego zdychającego dyplomaty albo na ublanszowanym¹³ łonie nałożnicy...

wyciąga ręce i zakłada je nad głowę

At! Zostawcie mnie w spokoju.

chwila milczenia

PREZYDENT MINISTRÓW
Widzę w istocie, że Wasza Cesarska Wysokość jest silnie zdenerwowany i że samotność źle oddziaływa na jego humor.

CAREWICZ
Nie troszczcie się...

¹³ ublanszowanym (fr. – *blanche*), blansz – dawn. biały puder kosmetyczny; tu: upudrowanym.

PREZYDENT MINISTRÓW

Owszem, to obowiązek nas wszystkich.

CAREWICZ

Ach! Co tu mówić o obowiązkach. W każdej chwili przecież możecie wylecieć.

PREZYDENT MINISTRÓW *hamując się*

Dokąd jednak jesteście na stanowiskach, winniście troszczyć się o wszystko.

z przymuszonym uśmiechem

I zanim Wasza Cesarska Wysokość posiędzie naturalną towarzyszkę w osobie swej Dostojnej Narzeczonej, którą mu wola Najjaśniejszego Jego Ojca przeznaczyć za żonę raczyła, powinno się robić jakie takie usiłowania, aby choć trochę uśmiechu sprowadzić w życie Waszej Wysokości. I tak...

powstaje

Dziś Wasza Wysokość raczyłeś wyrazić pragnienie, iż chętnie miałbyś towarzyszem zabaw tego białego Czerkiesa, który tak świetnie igra po prostu na trapezie i tak bojko tańczy lezginkę.

CAREWICZ

No, on może... tylko to jeszcze dziecko...

PREZYDENT MINISTRÓW

Nie – to już młodzieniec. I ot – *podchodzi do drzwi sypialni i otwiera je* kazaliśmy mu przyjść. Może te ćwiczenia na trapezie powtórzyć tu jeszcze raz, dla rozrywki Waszej Wysokości.

do drzwi sypialni

Proszę tu przejść.

Powoli wchodzi SONIA i zatrzymuje się jakby spłoszona. CAREWICZ nie porusza się z miejsca, siedzi wciąż rozwalony z nogami wyciągniętymi i rękami w kieszeniach od spodni, patrzy ciekawie na SONIĘ.

PREZYDENT MINISTRÓW

Proszę... ot jest i biały Czerkies – czterdziesty pierwszy z baletu. Sądzę, iż Wasza Cesarska Wysokość łaskawiej przyjmie tym razem tego skromnego towa-

rzysza. Pozwoli Wasza Cesarska Wysokość, że odejdę, składając moją głęboką cześć.

Mrucząc coś niewyraźnie, odchodzi szybko. Długa chwila milczenia. CAREWICZ patrzy na SONIĘ i na twarzy jego maluje się jakby rosnąca sympatia. Ona spojrzała także na niego oczami błękitnymi, wiośniowymi i tak pozostali chwilę nieruchomo, jakby utopieni w sobie. Wreszcie pierwszy ocknął się on i mówi swoim zwykłym głosem.

CAREWICZ

Chodź tu – bliżej.

SONIA przystępuje ku niemu

To ty tańczył tak bojko lezginkę. Najlepiej ze wszystkich.

SONIA

Ja.

CAREWICZ

Wydajesz mi się teraz trochę większy. Tańczyłeś, trzymając kindżał w zębach. Pokaż mi go...

SONIA

Zabrali mi.

CAREWICZ

Kto?

SONIA

Jak mnie rewidowali.

CAREWICZ

Ot dworaki! Myśleli, że mnie zabijesz – nie głupie to? Przecież byś mi nic złego nie zrobił.

SONIA

Skąd?

CAREWICZ

Masz poczciwe oczy, choć Bóg was tam zna, co się w was kryje...

po chwili

Jak ci na imię?

SONIA

Mnie zwą w trupie Maluta.

CAREWICZ

Sprawiedliwie. Boś mały i drobny. Ale wiesz, ty trapez znasz, ja też. Zostaniesz tu?

SONIA

Według rozkazu!

CAREWICZ

Ach, nie tak po niewoli. Z własnej chęci, co?

wpatruje się w SONIĘ

Skąd ty?

SONIA

Z jarosławskiej guberni. Z Torżka.

CAREWICZ

Co to, sioło?

SONIA

Nie, to *gorodok*¹⁴. Trzydzieści sześć monastyrów, ot – na rezurekcję jak zaczną bić w dzwony... Boże uchowaj!

CAREWICZ

U ciebie ojciec, matka jest?

SONIA

Nie wiem.

CAREWICZ

Jak to nie wiesz?

¹⁴ *gorodok* (ros.) – miasteczko.

SONIA

Tak, bo mnie dzieckiem kupili. Z Torżka aż cztery sztuki wywieźli. Ach, pewnie moi starzy jeszcze żyją.

CAREWICZ

Siadaj – dam ci herbaty.

SONIA siada na taburecie, na którym przedtem siedział PREZYDENT

CAREWICZ

I ty tak jeździsz po świecie? *SONIA potwierdza* To musi być przecież wielka rozkosz! Jak ptak wolny planować¹⁵ po wielkich przestrzeniach, budzić się co dzień w nieznanych światach, w ciągłym oczekiwaniu przed nieznanym. Z wyobraźnią wiecznie w pogotowiu, syconą codziennie, a nigdy nienasyconą. Bez meldunków, straży, spotkań na dworach, dwóch rzędów żołnierzy, sterzających z karabinami po obu stronach... Chcę tak, ale naprawdę jak chcę – nie, jak muszę chcieć...

Mówi to jakby z rozmarzeniem, z rękami zarzuconymi na tył głowy. SONIA patrzy nań uważnie.

SONIA

My byli z trupą aż w Konstantynopolu...

CAREWICZ

Mnie także wieźli, ale my się wrócili z drogi, bo był zamach!

SONIA zaciekawiona

O! opowiedzcie.

CAREWICZ

Nie pomnę już... Zresztą, ja nie wiem nigdy prawdy...

SONIA

A tak! Przecie to musi być najstraszniejsze.

CAREWICZ

Wszystko dookoła mnie jest najstraszniejsze.

15 planować (fr. *planer*) – wznosić się, szybować.

SONIA

Nie – głównie to, że tak nie znasz prawdy.

CAREWICZ

I to, że jej znać nigdy nie będę.

SONIA

Przecież, może, gdybyś chciał...

CAREWICZ *zniechęcony*

Et! Po diabła...

słysząc przeciągłe wycie Karant

SONIA *wzdryga się*

A co to tak wyje, puszczyk?

CAREWICZ

To moja wierna straż! Dają znak, że są w pogotowiu bronić mnie.

SONIA

Przed czym? Tam w parku tylko drzewa, na niebie gwiazdy... Chodź na balkon, zobacz.

CAREWICZ *zrywa się*

Nie wychodź! Nie znają cię. Możesz paść.

SONIA *cofa się*

Och!

CAREWICZ *dzwoni, wchodzi KAMERDYNER*

CAREWICZ

Zasłonić! Samowar!

KAMERDYNER, przyciskając guzik, zapuszcza na drzwi balkonowe żelazną żaluzję. LOKAJ wnosi drugi kipiący samowar. Wszystko odbywa się z precyzją – cicho, jakby widma się snuły. Gdy otwierają się drzwi, widać siedzące na aksamitnej ławeczce postacie dwóch Czerkiesów w czerwonych kaftanach. Siedzą nieruchomo jak woskowe lalki. Gdy KAMERDYNER i LOKAJ wyszli, pozostaje SONIA i CAREWICZ. Czerkiesi mają zakrzywione jatagany na kolanach.

SONIA

My teraz jak w więzieniu! *rozgląda się* Jak się tu oddycha?

CAREWICZ

Są wentylatory.

SONIA

A przy tych wentylatorach stoi straż?

CAREWICZ

Nie wiem!

SONIA

No, bo to już powinno być tak. Kiedy tak czuwają, to zewsząd... Ale to głupie...

śmieje się

To bardzo głupie.

CAREWICZ

Ty sam głupi – ty nie rozumiesz...

SONIA

Ech! U mnie mój własny zdrowy rozum. Na przykład odebrali mój kindżał, a ot – gdyby taka była moja wola, dość chwycić taką hantlę i roztrzaskać wam łeb!

CAREWICZ

A ot nie, bo u mnie oprócz straży, co została tu, ot zawsze

Wyjmuje z kieszeni mały rewolwer, którym poprzednio gasił świece i kładzie go obok siebie na stole.

i ty by nie miał czasu...

SONIA

At! Ja ci powiem, to wszystko na nic, a wy, ot prosto – strasznie biedny i strasznie mi was żal!

CAREWICZ

Żal? Mnie nikt żałować nie śmie...

SONIA

A ot, ja żałuję. Pomyślcie, wy nawet od gwiazd oddzielony i od drzew żelazem. Pod oknami wyje jak puszczyki straż. Tam za drzwiami dwa złe potwory, jak buldogi, a między tobą i mną – dobrą duszą, rewolwer nabity. Nie, wy wielka biedota. Mnie by twoje miejsce zająć się nie chciało!

CAREWICZ *po chwili*

Umiesz nakładać fajkę?

SONIA

Umiem!

CAREWICZ

Nałóż! Tam tytoń i fajki.

Wskazuje jej etażerkę z fajkami. SONIA zajmuje się nałożeniem fajki. On na nią patrzy z zadowoleniem.

CAREWICZ

Ot, sprawnie – dobry z ciebie towarzysz... a teraz...

SONIA

Ja palę papieroski, to polityczniej...

CAREWICZ

Wysuń te dwa drągi i pokaż mi poczwórny młynka, na trapezie mi jutro pokażesz.

SONIA

Pewnie, teraz tak ciemno. Ale... pozwólcie, to ja mam tu żyć?

CAREWICZ

Będziesz musiał być zawsze na moje rozkazy.

SONIA

Ale mi swobody nie odbierzecie?

CAREWICZ

Ach durny ty! No, pokaż poczwórny młynka.

Pali fajkę, SONIA wstaje, przysuwa drągi, próbuje. CAREWICZ przesiada się na jej taburet.

CAREWICZ

Zdejm jarmiak! Tak niewygodnie.

SONIA stoi nieruchomo

Mówię ci, zdejm jarmiak. Gdzież ci w tym obroty robić. Jak ci ciemno, zaświeć sobie – ot tam, koło drzwi, masz taster¹⁶. Przyciśnij.

SONIA podchodzi do drzwi, przyciska. Cały żyrandol wiszący u stropu, zaświeca się nagle mnóstwem elektrycznych lamp. Jaskrawe i brutalne światło zalewa scenę.

CAREWICZ

No, masz już swoje światło. Ja ścierpieć go nie mogę. No, precz z kaftanem i dalej na drągi.

Nagle SONIA jakby zdjęta decyzją, zrzuca z siebie kaftan i ukazuje się w swych białych spodenkach i różowej jedwabnej koszulce, wygorsowanej, bez rękawów, zawiązanej na ramionach różowymi kokardami. Rzuca jarmiak na ziemię i staje tak przed CAREWICZEM, w pełni swej krasy i dziewczęcego wdzięku i urody.

CAREWICZ marszczy brwi

Stój!

Wstaje – odkłada fajkę. Wściekłość maluje się na jego twarzy. Podchodzi do SONI, która aż pobladła z wrażenia.

CAREWICZ przez zaciśnięte zęby

Stój!

Przypatruje się jej uważnie, mrużąc oczy przed olśniewającym blaskiem światła i kobiecej piękności. Wreszcie z nieopisaną wściekłością przez zęby wyrzuca.

Ty kobieta?

SONIA

zaciskając ręce na piersiach

Darujcie!

¹⁶ taster (wł. *tasto*) – przycisk, obsługiwany przez naciśnięcie, po którym wraca do pozycji wyjściowej.

CAREWICZ
zamierza się, aby ją uderzyć

Ach suka!...

SONIA
*Jednym ruchem porywa go za ramię i odrzaca szalonym, wyniosłym gestem.
Twarz jej zapłonęła, ona cała jakby urosła, broniąc się przed zniewagą.*

Nie śmieję! Nie śmieję.

CAREWICZ
Ty? mnie?...

SONIA
Ja – tobie!
chwila milczenia

CAREWICZ
*Ustępuje jakby przed potęgą jej zbudzonego majestatu kobiecego, wreszcie kopie
nogą leżący na ziemi kaftan i mówi zdławionym głosem.*
Odziej się! I won stąd!

SONIA nagle wyczerpana, opiera się o drągi i zanosi cichym jękiem
Ty słyszała? Odziej się i precz!
*SONIA z wysiłkiem podnosi kaftan z ziemi, odziewa się, lecz nie zapina, i znów
z płaczem opiera się o drążki. CAREWICZ patrzy na nią wzburzony, wreszcie
mówi.*

Czego wyjesz? Pozwalam ci odejść, a powinienem cię kazać ochłostać za to, żeś
mnie podeszła. Won – mówię!

chwila milczenia
Może boisz się iść sama, to nawet cię każę odwieźć.

SONIA
z wysiłkiem podnosi głowę i ukazuje twarz zalaną łzami
Pozwólcie... chwilę, mnie słabo.

CAREWICZ *chodzi wzburzony po sali. Przechodząc gasi światło żyrandola. Scena pogrąża się nagle w półmroku. Na stole płonie słabo jedna świeca i dochodzi tylko z ciemni ciche łkanie SONI, i majączy jej biała sylwetka.*

CAREWICZ

No dość, wracaj do swoich!

SONIA

Ach! Mnie tam tak nie wracać. Oni mnie zabiją!

CAREWICZ

Przecież ci się nic nie stało.

SONIA

Mieli dostać dwie kamienice i najwięcej im szło o małą wieś, aby mieć kwiaty, bzy, pszczoły.

CAREWICZ

Ot, głupstwo! Każę im dać to wszystko, tylko idź sobie – niech cię nie widzę...

SONIA

Nie o to chodzi, bo oni dawno mnie tak korzystnie sprzedać mogli, jak posprzedawali po innych miastach inne moje koleżanki, ale oni myśleli, że im przypadnie teraz wielki los, znaczenie, że po prostu, ot, niebo przed nimi! Oni aż gorączki z radości dostali. Jak ja im powiem, że nic z tego – ja nie wiem, co to będzie!

po chwili

I znów zaczną się targi i pretensje, i męka..., i frymarka¹⁷. Powloką mnie dalej, jak ot, towar na zbycie, a wiecznie mścić się będą, że to ich zawiodło. Och!... Wy nie rozumiecie, co to jest, jak tak się czuje, że ktoś przehandlowuje całą waszą istotę. Wy tego nigdy nie odczujecie...

CAREWICZ

Skąd ty wiesz, że ja tego nie rozumiem? Może i mnie handlują.

chwila milczenia

17 frymark (niem. – *Freimarkt*) – onegdaj w Polsce nieekwiwalentna zamiana dóbr szlacheckich na dobra królewskie; frymarchenie – uprawianie handlu zamiennego, spekulowanie czymś.

Szkoda przecie, że się tak stało! Może miałbym w tobie druha, przyjaciela – a tak, co?

SONIA

A cóż to przeszkadza? U mnie dla was może bije także serce druha, choć ja kobieta. Ja nie chcę być waszą miłośnicą. Wierzcie mi! Ja przed tym drżę. Ja przecie dziecko – ja się boję, ale i tak bym ot, chętnie poszła z całym sercem naprzeciw takiego biednego serca jak wasze... i byłabym wam bliska jak siostra – jak bliźniak, jak cień wasz! Kto wie, w jakiej bym wam stanęła przygodzie. Tylko mnie nie odpędzajcie – nie wracajcie im, bo tak ich mam dosyć. Ach, wy nawet nie wiecie...

CAREWICZ opada na taburet. SONIA powoli przybliży się ku niemu.

Weźcie mnie za psa, za co chcecie, ale niech oni myślą, że ja wasza metresa, to oni się będą mnie bali i zostawią mnie w spokoju. Co wam to szkodzi? Pomyślcie! Wy, zdaje się, choć to wy – ale dobry człowiek...

CAREWICZ

Ja kobiet ścierpieć nie mogę.

SONIA

Ja nie będę dla was kobieta. Ale pozwólcie, dlaczego wy nas nie cierpicie?

CAREWICZ

Nie wiem – nie rozumiem. Może dlatego, że mnie także ciągle dręczą, aby wziąć metresę. To przecież ohyda!

SONIA

Tak, ja to rozumiem. Dola nasza jednaka. Mnie dręczą, abym miała kochanka. Biedni my! Tak my się zesзли, jakby na wąskiej kładce – a pod nami przepaść. Ja was rozumiem – zrozumcie wy mnie...

milczenie

Ja bym wam coś zaproponowała, ale nie śmiem.

CAREWICZ

Mów!

SONIA

Ot, zróbmy tak. Po prostu. Ja będę udawać, że ja wasza metresa, a wy, żeście mój kochanek. Oni mnie zostawią w spokoju i tamci, co wami trzęsą, też zostawią was w spokoju. Co dzień poślijcie po mnie dworską karetę. Ja tu przyjadę, napijemy się herbaty i nagađamy się do woli. Serce przed sobą otworzymy szczerze i uczciwie, a potem rozejdziemy się. I chociaż na czas jakiś bęđziemy mieli oboje spokój! Rozumiecie? Spokój!

CAREWICZ *po chwili*

Wiesz, to może nie głupie. Oni mnie zawsze na draba wykierują, a ot, ja by ich wykierował.

SONIA

odzyskując humor i ocierając łzy

A ja swoich! Ot, co! Tylko musicie mi zawierzyć jak bratu.

CAREWICZ *wstaje*

No! Ja by bratu nie dowierzał. U nas tak. *siada* Nałóż mi świeżą fajkę.

SONIA

Chętnie.

Krzęta się około fajki, potem łamie sobie kawałek chleba.

CAREWICZ

Głodnaś?

SONIA *śmiejąc się*

Ja tak zawsze, jak się spłaczę. Wiecie co? Każcie dać cukierków, szampana, winogron, tak jakby tu była prawdziwa kobieta. Mnie moje koleżanki mówiły, że ich kochankowie to zawsze ich tak podejmują.

CAREWICZ

Ja takich świństw nie jadam.

SONIA

Ale to dla odmiany. Zadzwońcie!

CAREWICZ siada na zydlu i dzwoni. SONIA naprzeciw niego na taburecie. Wchodzi KAMERDYNER.

CAREWICZ

Podajcie winogrona, cukierki.

SONIA cicho

Szampana.

CAREWICZ

Szampana.

KAMERDYNER patrzy trochę zdziwiony.

SONIA

Słyszycie rozkaz...

KAMERDYNER

W tę minutę.

wychodzi

SONIA *śmiejąc się*

A ot, jak oczy wytrzeszczy! No! rozchmurz się i zaśmiej. Będę ci mówić ty, bo to z ceremoniałami, to do diabła starego... Wolno?

CAREWICZ

Mów!

uśmiecha się

SONIA

A ot, dobrze już, roześmiałeś się. Ile u ciebie lat?

CAREWICZ

Dużo! Dziewiętnaście.

SONIA

U mnie dopiero szesnaście, to razem trzydzieści pięć. Hura!

KAMERDYNER i LOKAJ wnoszą żądane owoce, cukierki, szampana i kieliszki.

SONIA

Zostawcie, ja naleję.

wychodzą, SONIA nalewa wina do kieliszków

Spróbuj!

CAREWICZ

Nie – mam wstręt.

SONIA

Dla niepoznaki.

wylewa wino na podłogę z kieliszków

Za naszą przyjaźń. Będę ci wierny druh!

CAREWICZ

Ale ty się napij, jak chcesz.

SONIA

Nie, u mnie bardzo słaba głowa – ja bym się zaraz upiła. Ja byłam raz pijana, to bardzo nieprzyjemne. Wolę winogrona.

je winogrona

A ot, jak dobrze. My tak sobie naprzeciw siebie jak dwoje starych przyjaciół. Ja ci będę opowiadać, co ja na świecie widziała. Jakie to w Torżku domki różowe i dachy błękitne, albo zielone jak trawa, a dach czerwony. A dookoła śnieg aż się skrzy, jakby brylantami sypany. Papierosa u ciebie nie ma?

CAREWICZ

Nie!

SONIA

Jutro sobie przyniosę.

CAREWICZ

Każę ci przygotować.

SONIA

A kiedy po mnie przyślecie?

CAREWICZ

Rankiem mam zawsze lekcje. Tak... nad wieczorem...

SONIA

Może wam co przynieść z miasta?

CAREWICZ *śmieje się*
Ot głupiątko, ty Maluta, ja mam wszystko.

SONIA
Wszystko? Ot, gdyby ty wiedział, co jeszcze cudów na świecie, których ty nie znasz.

CAREWICZ *nagle smutny*
I znać nigdy nie będę! Idź już!

SONIA
Znudziłam cię?

CAREWICZ
Nie, ale mnie znużyłaś. Ja nigdy tak długo nie przebywałem w towarzystwie dziewczyny.

SONIA
A ot – ty nie możesz zapomnieć, że ja dziewczyna? To zapomnij! Czemu ja nie pamiętam, żeś chłopak? Ty dla mnie jak druga koleżanka.

CAREWICZ
Idź już sobie.

dzwoni, wchodzi KAMERDYNER
Odwieście!

KAMERDYNER
Według rozkazu.
wychodzi, SONIA wbiega do sypialni

SONIA
Tam moja burka¹⁸.

CAREWICZ
A tu twoja papacha¹⁹.
podaje czapkę

18 burka – przykrycie głowy, noszone dodatkowo oprócz chusty.

19 papacha – męskie nakrycie głowy, popularne wśród narodów Kaukazu i Kozaków.

SONIA

Więc tak... przyjaźnie – podaj mi łapkę.

CAREWICZ

Mnie się nie podaje ręki.

SONIA

Ot także, przecie to miło uścisnąć czyjaś dłoń... Do jutra!

CAREWICZ

Do jutra.

SONIA wdziała burkę, włożyła na głowę papachę. Patrzy chwilę na CAREWICZA i śmieje się.

SONIA

A nie bądź taki smutny.

Wybiega. Gdy otworzy drzwi, czeka na nią KAMERDYNER w narzutce, z kapeluszem w ręku.

A każ otworzyć okno, aż dusi mimo twoich wentylatorów! Serwus! dyga Pa!

Wybiega. Po jej odejściu pozostaje CAREWICZ sam na scenie. Chodzi chwilę z opuszczoną głową. Na ziemi leży oderwana od ramienia różowa wstążka SONI. Podnosi ją, przypatruje się i odrzuca precz od siebie. Ociera rękę o mundur. Wreszcie wali się z butami na łóżko. Z oddali odchodzi zgłuszony żelaznymi storami²⁰ głos straży Karant. Świeca dogorywa powoli. CAREWICZ zasypia, gwizdząc z początku cicho, powoli ten gwizd przechodzi w rozpaczliwą jakąś skargę, która jękiem napętnia przestrzeń. Jakaś cygańska pieśń – jakaś „pa matuszku, po Wołgu”²¹ – urywany głos ludowych skarg. Wszystko tonie w ciemni, światło gaśnie, tylko lampa przed ikonem migoce. Słychać tylko ten gwizd, ten jęk, ten nieokreślony, dziki, żalem przepełniony głos.

KURTYNA Z WOLNA ZAPADA

²⁰ stora – zasłona, kotara.

²¹ aluzja do uroczystej pieśni rosyjskiej – „Wniz po matuszkie, po Wołgie”; w drugiej poł. XIX wieku uczono tej pieśni dzieci polskie w zrusyfikowanej szkole.

AKT II

Scena przedstawia tę samą salę w popołudniowym oświetleniu. Jest jednak pewna różnica. A to mianowicie, iż drążki, hantle, trapez podciągnięty w górę. Kółka odjęte, na ścianie kilka floretów, na stole srebrny samowar, filiżanki delikatne, chińskie, cukierniczka srebrna. Pod jednym z foteli jeden złotem szyty pąsowy pantofelek kobiecy, zabłąkany kwiat, jak mak spadły w burzę i nanieśiony wichrem. Jest coś niezdecydowanego w tej atmosferze, z której jakby część poprzedniej, dzikiej energii, wygnaną została. A przecież nie wszedł tu zdecydowanie wdzięk kobiecy i czar, lecz wkradły się jego przesłanki i nieśmiało dają oznaki życia. Drzwi prowadzące na balkon zamknięte. Przy podniesieniu zasłony KAMERDYNER WANIA wprowadza WIELKIEGO KSIĘCIA JERZEGO, który wchodzi szybko, jak zawsze chmurny i skoncentrowany w sobie.

SCENA 1

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY, KAMERDYNER

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Carewicz gdzie?

KAMERDYNER

Jego Cesarska Wysokość raczył po rannej rewii udać się do łaźni, a teraz jest w szatni. Przywdziewa galowy mundur.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Powiedzcie mu, że oczekuję na niego w pilnej sprawie.

KAMERDYNER

Według rozkazu.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Spieszcie się.

KAMERDYNER wychodzi. WIELKI KSIĄŻĘ JERZY wysuwa spod ściany berżerkę²² złożoną i siada na niej, gdyż fotele niewygodne. W trakcie tego zaplątał mu się pod nogami złożony pantofelek. Najprzód podrzuca go butem, potem jednak schyla się, bierze go, ogląda uważnie. Chmurzy się.

Ot już... jest...

Rzuca pantofelek pod fotele, z munduru dobywa z papierošnicy kartkę papieru, na której nakreślono kilka wierszy i przegląda z uwagą. Słychać brzęk ostróg i za chwilę, głównymi drzwiami, wchodzi CAREWICZ ubrany w mundur lejbgwardii²³, parady i błyszczący. Białe sukno, żółte długie buty, żółte rękawice ze sztylpami²⁴, złoty, błyszczący pancerz, na głowie złoty kask, na którym rozpięty orzeł. Z karku spływa długi, śnieżny pióropusz, z ramion spływa biały płaszcz sięgający ziemi. Ogromne, złote ostrogi, przez piersi błękitna szarfa, na niej gwiazda. W ogóle strój gwardyjskich kirasjerów²⁵, galowy i świąteczny. Na twarzy CAREWICZA jest widoczna jakby zmiana. Chwilami spotęgowana neurastenii, chwilami jakby ukojenie. Za nim wchodzi KAMERDYNER WANIA.

SCENA 2

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY, CAREWICZ, KAMERDYNER WANIA

CAREWICZ do KAMERDYNERA

Czemuście jeszcze nie pojechali?

KAMERDYNER

Byłem Wasza Cesarska Wysokość. Kazano zostawić karetę i powiedziano, że sami przyjadą.

22 berżerka – rodzaj kanapy, fotela.

23 lejbgwardia – gwardia przyboczna monarchy, oddziały gwardii w armii rosyjskiej.

24 sztylpy – ochraniacze do jazdy konnej; używa się ich zamiast wysokich butów; sztylpy osłaniają całą kostkę, sięgają aż do kolan.

25 kirasjer – (z fr. cuirassier – pancerny) – żołnierz ciężkiej jazdy (szurmowej) w zbrojach z metalowych płyt.

CAREWICZ

Dobrze, idźcie pilnować furtki.

do WIELKIEGO KSIĘCIA JERZEGO

Podobno macie pilne dzieło. W czym rzecz?

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY
ogląda je uważnie

Wy pierwszy raz dzisiaj w paradnej formie?

CAREWICZ

Pierwszy.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY
Pochodźcie trochę tu i tam, abyście się o szpasy²⁶ nie zawadzili.

CAREWICZ

Et, głupstwo!

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY
Wcale nie. W militaryzmie zewnętrzna forma ma duże znaczenie. Mówiłem to wam nieraz.

CAREWICZ

Sami przecie tego nie uznajecie.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY
A! To już inna sprawa. Są ludzie, u których niedbalstwo jest ich potęgą, a są tacy, którzy dbać muszą, aby nadać swej sile wewnętrzną pompę. U was kask zdaje się za ciasny.

CAREWICZ

Może.

zdejmuje kask, stawia na jednym z taburetów i nalewa sobie filiżankę herbaty

Wy może herbaty?

²⁶ szpasy – żarty, figle; (w rękopisie jest zapis szposy, nie udało się jednak zidentyfikować tego wyrazu, być może więc to *lapsus calami*; być może jednak fragment wyposażenia pokoju; por. szprosły okienne).

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Dobrze, ale każcie dać szklankę. Z tych skorup pić nie lubię.

CAREWICZ

Tu jest i szklanka.

siadają do herbaty

CAREWICZ

Manewry kawaleryjskie gdzie?

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Na polu koszarowym.

CAREWICZ

A ot, jak w klatce, zawsze jak w klatce.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Wy dziwni. Wy wiecie, że inaczej być nie może. A potem w kasynie przyjęcie.

CAREWICZ *gwałtownie*

A już darujcie, tam nie pójde.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Pójść musicie. Zrozumcie. To przecież święto naszego pułku. Wielka uroczystość. Tam na was czekają. Wy na dworskie ceregiele plujcie, ile chcecie, ale co się wojska tyczy – nie igrajcie. Jakbyście fundamentami wstrząsali, pomnijcie.

po chwili

A ot, tu nakreślone, co macie przemówić.

CAREWICZ

Nigdy!...

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

To już musicie.

CAREWICZ

Ja nigdy nie mówił.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Bo jeszcze nie nadeszła chwila. Ale teraz już musicie zacząć gadać. Nadszedł czas, że trzeba was wyciągnąć z cienia. Niedługo może... kto wie... Zresztą, mniejsza. Tylko wam pułku waszego obrażać milczeniem nie wolno. Musicie mieć ich serca. To głupstwo, kilka słów i już entuzjazm. Muszą murem stać koło was. I patrzcie prosto im w twarz... Biada tym, co z oczami uciekają. Pomnijcie sobie to na całe życie: tylko oczami się dzikie zwierzęta poskramia, nie batem. A zbiorowa dusza, tak przed wami, to prosto dziki zwierz.

chwila milczenia

To dziw. U was od jakiegoś czasu Alosza oczy mętne, jak u kogoś, co szuka i znalazł na poły. Ale tylko na poły.

CAREWICZ

Ach proszę... zostawcie.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Dlaczego? Ty młody, ty dziecko. Ja przeszedł dużo, to mnie wolno was tym moim bólem pouczyć, aby was ostrzec, ocalić może... Wy doszli do lat, gdzie w przepaść runąć łatwo. A na dnie przepaści może być najgorszy dla was wróg – przed czym nie ustrzeże was żadna gwardia – najcięższy wasz nieprzyjaciół. Wy wiecie o kim mowa – kobieta.

CAREWICZ

Ach! Znów...

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Cóż robić – znów. A ot, chodzi tylko o to, żeby wy zrozumieli, jak na kobiety patrzeć i jak je brać. Pomnijcie sobie, każda kobieta to intryga. Mała kobieta – mała intryga, wielka kobieta – wielka intryga. I tak ciągle w kółko.

CAREWICZ

Ożenić mnie przecież chcecie.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

To inne dzieło. Żonę mieć musicie – tak każe prawo państwa. Inaczej wam nie siadać na tron. A potem żona dla was, darujcie, to nie kobieta.

CAREWICZ

O!

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Ot tak! Żonie odmówić coś łatwo – a kobiecie, co wam pod serce się zaszyła – nie. Kobiety się strzeż Alosza, kobiety się strzeż. I wiesz, nie poświęć ty dla niej nic ze siebie, bo dla niej będzie każde poświęcenie za małe, a prawdziwe jej serce wiecznie przed wami zamknięte zostanie.

CAREWICZ

Darujcie stryju, ale chyba wam tak nie mówić. Wszak wy rezygnowaliście z praw do tronu dla waszej zmarłej żony. Gdyby nie to, a ja bym, ot, zmarł w dzieciństwie, wy byście byli następcą. Dla kogo to? Wszak dla kobiety... Więc wam chyba tak nie mówić.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY żywo

Właśnie, właśnie! Mnie tak mówić, bo u mnie księga sercowa krwią zapisana. To najstraszniejsze, jak się dla nicości traci wszystko.

CAREWICZ

Czy to okazało się jedynie nicością?

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY z goryczą

Bańka mydlana, puste frazesy, śmiesznych trochę gestów, i poza tym wielka intryga. Spiskowanie na władzę, na spokój, czasem na... życie, na całego człowieka, więcej nic!

chwila milczenia

Ot, wszystko głupstwo, napluć i tyle... Macie tu kartkę. Te dwa wiersze powiecie w odpowiedzi na toast komendanta pułku, a te trzy następne, to osobno na cześć pułku i generalicji. Już cenzurowane.

CAREWICZ bierze obojętnie kartkę i rzuca ją na stół

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Byliście u Miłościwego Pana?

CAREWICZ

Byłem. Złożyłem mu raport z rewii, siedział przy biurku. Okazał mi swe zadowolenie, pracował.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

No tak! Kto z nas zna swój dzień i swą godzinę? Nikt! *powstaje* Wy dziś wieczorem będziecie na widowisku?

CAREWICZ

Tak!

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Teraz często widowisko na dworskiej scenie. I wy często na balecie...

CAREWICZ *ziewając*

Tak...

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Ta trupa Czerkiesów to nie chłopcy, to dziewczęta...

CAREWICZ

Wiem...

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Prawie pół już wzięli między siebie nasi generałowie... Ot głupcy... *wstaje*
A najgorzej wyjdzie ten, co sobie weźmie tę białą solistkę ze środka.

CAREWICZ

Czemu?

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Zepsuta na wskroś dziewczyna. Miłośnica antreprenera²⁷ trupy. On – dawny tenor, nawet śpiewał na cesarskiej scenie, pomnę *Lohengrina*²⁸. Potem pojechał do Ameryki, stracił głos i pojawił się jako antreprener. Każda z tych dziewczyn mu przez ręce przejść musi, teraz ta... Bóg z niemi. Bagno i brud, i tyle...

CAREWICZ bezradnie zmieniony, przygryza wargi i stoi zmieszany.

27 antreprener (z fr. *entrepreneur*) – właściciel prywatnego przedsiębiorstwa np. teatralnego lub cyrkowego, również organizator imprez widowiskowych.

28 *Lohengrin* – opera Ryszarda Wagnera napisana w 1850 roku. Premiera odbyła się w Weimarze. *Lohengrin* – główny bohater opery – jest synem Parsifala, jednego z rycerzy świętego Graala.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Gdzie wy podzieli kartkę z tekstem waszej mowy – a, ot jest. Nauczcie się mówić dobitnie, akcentujcie zwłaszcza wyraz sławny pułk, a potem serce moje z wami.

CAREWICZ *milczy*

Na czterech słupach wesprzeć się musimy. Zrozumcie: szlachta, duchowieństwo, armia, tłum. Dwa pierwsze odpaść muszą, za długo służyły na podpórę – zmurszały. Tłum jeszcze nie dorósł. Pozostaje armia. Odczujcie: jeden filar, trzy już się nie liczą. Zrozumieście?

Milczenie. WIELKI KSIĄŻĘ JERZY mówi zmienionym, na pozór swobodnym tonem.

A ot, radziłbym wam może zmienić kask. Za ciasny, ugniatać was będzie

CAREWICZ

Ach, mniejsza.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Jak chcecie. Za godzinę zajadą po was. Bądźcie gotowi.

Wychodzi. CAREWICZ chwilę chodzi wzburzony po scenie, wreszcie dzwoni. Wchodzi KAMERDYNER WANIA.

SCENA 3

CAREWICZ, KAMERDYNER, *później* SONIA

CAREWICZ

Jakże tam...?

KAMERDYNER

Właśnie przyjechali. Czekają w karecie poza murem parku, koło ukrytej furtki.

CAREWICZ

Sami?

KAMERDYNER

Nie, z niemi jest antrepreneur.

CAREWICZ

Jak śmiał? Skąd?

KAMERDYNER

Darujcie Wasza Cesarska Wysokość, ale dworskie karety przecież zawsze są na usługi artystów grających w pałacowej scenie.

CAREWICZ

W sprawach widowiska, inaczej nie wolno.

KAMERDYNER

Sonia Iwanowna Bylina tak chciała. Nie śmiałem się sprzeciwić.

CAREWICZ

Dość! Idźcie po nią.

Gdy KAMERDYNER wyszedł, CAREWICZ chwilę chodzi jeszcze po scenie. Pojawia się SONIA we drzwiach wchodowych. Jest ubrana biało, kapelusz biały, buciki. Całość promienna, wiosniana, słoneczna. W rękach niesie olbrzymi pęk kwitnącej czeremchy. Bije od niej czar rozkwitłej wiosny i urok nieokreślony. CAREWICZ, mimo woli, porwany tym urokiem, patrzy na nią i twarz mu się rozjaśnia.

SONIA

Witajcie Alosza!

CAREWICZ

Jakaś ty piękna, Soniu Iwanowna!

SONIA

I ty dziś piękny Alosza! Taki biały – aż promieniejesz jak wiosna.

Otwiera drzwi od balkonu i wyrzuca na balkon czeremchę, potem biegnie do sypialni.

CAREWICZ

Gdzie ty była, Sonia?

SONIA

Zaraz ci powiem, tylko zaniosę do sypialni puder i szpilki.

CAREWICZ

Po co?

SONIA *śmieje się*

Ano, kompromitujmy się w dalszym ciągu. Szpilki porozrzucam po ziemi. A!... pantofel...

zagląda pod fotel

Nie ma!... szuka Ot jest... ktoś go znalazł...

CAREWICZ

Ach, pewnie służba.

SONIA

Nie! To ktoś z pasją cisnął go na drugi koniec sali...

CAREWICZ

Ty jesteś przemądra, Soniu Iwanowna – ty dużo wiesz... za dużo może.

SONIA *momentalnie posmutniała*

Co chcecie! Alosza, my ludzie biedni, wcześniej dojrzewamy. *po chwili* Za wcześniej może...

Z westchnieniem wchodzi do sypialni, on pozostaje nieruchomy na berżerce, za chwilę SONIA powraca, zachodzi na palcach cicho i zasłania mu oczy.

No... kto?

CAREWICZ *cały wstrząśnięty tym dotknięciem, gwałtownie.*

Och, zostaw, cóż to znowu?

SONIA *zmieszana jego gwałtownością*

Darujcie... ja tak... z pustoty...

CAREWICZ

Nie chcę, nie lubię tego.

SONIA

No, bo tak siedzicie tu i nudzicie się. Ach! Żeby wy, tak jak ja, byli w lesie, żeby wy wiedzieli jak tam zielono, cudownie. Jak tam śnieżno i liliowo od kwiatów,

jak tam pachnie i jak ciepło. Jaka tam wiosna!... Ach Alosza, jaki tam raj! Jaki tam raj!...

po chwili

Tylko tak po gaju to rozkosznie biegać we dwoje. Samej smutno.

CAREWICZ *gryząc wargi*

Ty przecie nie była sama!

SONIA

Jak? sama, samiuteńka.

CAREWICZ

Z tobą był towarzysz.

SONIA

Kto?

CAREWICZ

Wasz antreprenier.

SONIA

Ach, on! Ach, on się nie liczy. Alosza pomyśl, to on stary. Już po czterdziestce. On siedział w karecie, a ja sama biegała po gaju i rwała dla was czeremchę.

CAREWICZ

Po co ty go ze sobą włączysz, Sonia?

SONIA

Jechał do teatru montować trapezy i siatki na wieczór. Kazał mi jeszcze tam przyjść...

CAREWICZ *gwałtownie*

Nie pójdziesz. Tu pozostaniesz i będziesz na mnie czekać.

SONIA

Jak twoja wola. Niech mu tam kto inny siatki prostuje.

CAREWICZ siedzi ponury i milczący. SONIA podnosi z ziemi świstek mowy, który wręczył CAREWICZOWI WIELKI KSIĄŻĘ JERZY.

SONIA

Ot, Alosza, jakiś list czy co – może to potrzebne.

CAREWICZ

Oddaj.

SONIA

Może to list od kobiety?

CAREWICZ

Głupiaś!

SONIA

Ja zobaczę, ja wasz druh, ja mam prawo.

CAREWICZ

Głupiaś!

SONIA

ucieka i biegnąc czyta kartkę

E... to jakieś przemówienie czy co...

CAREWICZ

To moja mowa do pułku, zostaw!

SONIA *nagle uspokojona*

No głupie, bo głupie, ale można powiedzieć.

CAREWICZ

Nie powiem nic.

SONIA

Musisz, tylko dodaj co silniejszego.

CAREWICZ

Co wy chcecie ze mnie jaką lalkę zrobić!

SONIA *śmieje się*

Et, Alosza, co my innego wszyscy, jak nie proste lalki na świecie. A ty taka nadlalka, nie ma co.

CAREWICZ

Nieprawda. Tak nie jest.

SONIA

Och, jest braciszku, jest. Przejdź tak swój żywot myślą. Był ty kiedy własnowolny? Nigdy.

CAREWICZ

Byłem.

SONIA

W drobiazgach, w drobiazgach... a to chyba jeszcze gorsze.

chwila milczenia, wreszcie SONIA przypatruje mu się

I rąk w kieszeni od spodni nie trzymaj! Jak to? Carewicz? Ja myślę, oni powinni zrobić z tobą repetycję.

CAREWICZ

Ach, odstań ty ode mnie!

zrywa się, pakuje ręce w kieszenie od spodni i tak chodzi po scenie

SONIA

Nie, ja twój druh, mnie wolno...

biegnie naprzeciw niego i nagle wybucha śmiechem

Ach, Alosza! Szkoda, że ty widzieć nie możesz! Toż ja w twoim samowarze, co ty go masz na sobie, odbijam się całą! Ja jestem w tobie, mnie pełno w twojej piersi, w twoim sercu, ot!

posyła sobie, odbitej w pancerzu CAREWICZA, pocałunki

Ot! witaj Sonia Iwanowna Bylina! Gdzie ty się zaszyła całą? Gdzie ty utonęła? W czyjej ty piersi sieroto?

CAREWICZ

zasłania piersi płaszczem

SONIA z żalem

Och! Kurtyna zapadła. Nie ma już Sonieczki, szkoda!

Chwila milczenia. SONIA, oparta o stół, nagle posmutniała i jakby skurczona. CAREWICZ chodzi po sali, wreszcie chce zapalić fajkę.

SONIA

Nie pal ty fajki, Alosza – uniform ci dymem przejdzie. To nieładnie... Ja ci dam papierosa.

z torebki wyciąga papierosa i podaje mu

Tam pewnie będą damy pułkowe na przyjęciu. To doprawdy byłoby... tak... fajką. Co? Będą damy?

CAREWICZ

Nie. A jakby i były – to mnie do nich nic i im do mnie nic.

SONIA

Ot, nie! Ty powinien tak patrzeć, tak ciągnąć po nich wzrokiem, niech cierpią! Tylko ty niby z daleka, pamiętaj Alosza, bo... nie trzeba.

po chwili, bezwiednie, jakby z żalem

Nie trzeba, ja ci tak radzę...

CAREWICZ

Ja już sam wiem.

bierze kask w rękę

Ot, bestia waży z kilka cetnarów.

SONIA nagle rozradowana

Och! Kask! Pokaż, przymierz!

CAREWICZ

kładzie kask na głowę.

SONIA z zachwytem

Jaki ty piękny, jak Lohengrin.

CAREWICZ wściekły

Zakazuję ci równać mnie z jakim teatralnym drabem.

SONIA

To jak? Lohengrin to bohater. Ja widziałam w Monachium, jak my byli z całą trupą.

CAREWICZ

Może twój antreprenier był za Lohengrina?

SONIA

Nie, on już dawno przedtem głos stracił.

CAREWICZ *gwałtownie*

On go nigdy nie miał.

SONIA

E! miał! Jego zwali po pismach car tenorów.

CAREWICZ

Jak śmieli!

SONIA

No, są różne cary. Ty prawdziwy, tamto udany, ale tak w gruncie to... On także miał na piersi taki samowar jak ty!

po chwili

Ech, Alosza! Jak ty potrafisz mnie całą zgasić, to aż dziwne. We mnie tyle radości, tyle pustoty. Ja biegnę tu do ciebie, ażeby się z tobą tą radością podzielić, a ty do mnie jak do wilka. Jakaż to przyjaźń między nami? Ty wiecznie chmurny... ty ciągle chmurny.

CAREWICZ

Nie mam z czego się śmiać. Nie mam do kogo się śmiać...

SONIA

Śmieję się do mnie, braciszku, i śmieję się chociażby ze siebie samego.

CAREWICZ

Co? ze siebie?

SONIA

Ach tak! My tacy wszyscy śmieszni, bracie. A im więcej bierzemy się na serio,

tym my śmieszniejsi. Wierz mi... Mnie życie tego nauczyło. O życie! Ono nauczy wszystkiego.

CAREWICZ

Mnie życie mało nauczyło. Ja to, co wiem, to po prostu wykradać muszę.

SONIA

Bo ty, biedniago²⁹, nie żyjesz. Ty wciąż jakbyś spał, a naokoło ciebie stoi straż i pilnuje, żeby ciebie kto nie obudził. A ja to od razu byłam obudzona. I nie zasnęłam już nigdy, choć czasem tak zasnąć się chciało!...

turkot karety u podjazdu, za chwilę puka KAMERDYNER

KAMERDYNER

Wasza Cesarska Wysokość, mam zaszczyt donieść, że Jego Wysokość Wielki Książę podjechał kareta i czeka, aby Wasza Cesarska Wysokość raczył udać się do koszar.

CAREWICZ

Idę!

KAMERDYNER się cofa i zamyka drzwi. CAREWICZ przywdziewa kask, rękawice. SONIA mu pomaga.

SONIA

Kartkę masz?

CAREWICZ zasuwają za rękawice

SONIA

Och! Po drodze przeczytasz... tam zaledwie kilka słów. Ha, serwus! Idź, bo niania twoja będzie zła.

CAREWICZ

Jaka znów niania?

SONIA

No, Wielki Książę. Nazywają go twoją nianią.

29 biedniaga (ros.) – biedaczysko, bieduła.

CAREWICZ

Kto śmie?

SONIA

Ta śmie. Cóż ty myślisz? Że nikt już nic nie śmie? No... idź!

CAREWICZ

A ty pamiętaj sobie to, co kazałem. Czekać tu na mnie, ani na chwilę nie oddalić się!

SONIA

To będzie nudno.

CAREWICZ

Ja tak każę!

SONIA

Ot!... poproś - to zostanę...

CAREWICZ

No to... ja zaraz wrócę... Bądź zdrowa...

SONIA

odprowadza go do drzwi

Bądź zdrow! Do widzenia!

słońce zachodzące rzuca przez drzwi balkonowe smugę gorącego oświetlenia

SONIA

Ot, w blasku jesteś piękny! Naprawdę, tak nie po ludzku.

po chwili, zmienionym bezwiednie głosem

Wracaj!

CAREWICZ

tak samo zmienionym bezwiednie głosem

Czekaj!

Wychodzi szybko, rozwiewając płaszcz i pióra u kasku. Słysząc brzęk jego ostróg, który się oddala, wreszcie turkot odjeżdżającej karety. SONIA podbiega

do drzwi balkonowych, uchyla je i patrzy w ślad za odjeżdżającym. Na twarzy jej maluje się jakby już ślad dobywających się na jaw uczuć. Potem zabiera z balkonu czeremchy, które tam wrzuciła i wnosi je na scenę. Wchodzi KAMERDYNER.

SCENA 4

KAMERDYNER WANIA, SONIA

KAMERDYNER

Kazano mi nad wami czuwać, Soniu Iwanowna.

SONIA

To zbyt czułe Iwanie Piotrowiczu. Mnie nikt chyba nic złego zrobić nie jest w stanie. Za co?

KAMERDYNER

Za co? Och, Soniu Iwanowna, za co to mniejsza. Tego słowa u nas nie znają.

SONIA

E!

KAMERDYNER

Lepiej się strzeż, nie wychodźcie na balkon, nie pokazujcie się...

SONIA

Ach! Nie to, nie tamto. I znów nie to i nie tamto. Ot, lepiej pomóżcie mi włożyć te czeremchy w te urny.

KAMERDYNER

Och, Soniu Iwanowna, jakże to można? To urny pałacowe...

SONIA

No to co z tego?

KAMERDYNER

Należą do inwentarza, mogą się zniszczyć.

SONIA

Ach, jacy wy. Cóż im takie cudne kwiaty zrobić mogą!

KAMERDYNER

Ja wam przyniosę kryształowy kielich...

SONIA *z uporem*

Nie chcę! Mnie chodzi, aby w te kamienne i w te zielone... To będzie cudnie.

KAMERDYNER

Tu nigdy żaden kwiat się nie wkładał.

SONIA

No to co? Teraz czeremcha zakwitnie. Ach, Iwanie Piotrowiczu, nawet na cmentarzach na grobowcu kwiaty. A po kamieniu bluszczu powój.

KAMERDYNER

To na cmentarzach, Soniu Iwanowno, ale na katakumbach kwiatów nie ma.

SONIA

Ale są pajęczyny... Et, zresztą ja tak chcę!

KAMERDYNER

powoli zbierając rozsypane czeremchy

Jak wy, Soniu Iwanowna, się prędko nauczyli mówić – ja tak chcę!

SONIA

Co miłe, to nauczyć się łatwo. Mnie zawsze rozkazywali, teraz ja!

KAMERDYNER kiwając głową

Ot, słaba to odpłata.

*Po taburecie wchodzi na postument urny i zaczyna zatykać gałęzie czeremchy,
które mu podaje SONIA.*

Czy tak dobrze?

SONIA

Tak. Trochę więcej pochylić te od frontu. Teraz w tę drugą...

KAMERDYNER

wchodzi i schodzi na postument drugiej urny

To tylko próżna praca. Jego Wysokość Carewicz kwiatów nie znosi. On to zaraz usunąć każe.

SONIA

Ech! Co wy wiecie? Jak on może kwiaty miłować albo nie miłować, kiedy on kwiatów nie zna. On się nauczy kwiaty kochać... musi!

śmieje się

Ja mu gałązkę czeremchy dam pod poduszkę. Będzie mu pachniało całą noc, do rana.

kieruje się do drzwi sypialni

KAMERDYNER

To włóżcie mu i pod tę poduszkę, bo przecie u nas nigdy nie wiadomo, gdzie kto z nich zaśnie. Dziś tu, jutro tam...

SONIA kładzie gałązkę czeremchy pod poduszkę polowego łóżka CAREWICZA

KAMERDYNER

A jak Carewicz się pogniewa?

SONIA

Za co? Za kwiaty? Jemu będzie się śnił las, pola, przy drodze drzewa.

KAMERDYNER

Et! Wy strasznie młodziutka!

SONIA

Pewnie. Mnie szesnaście wiosen dopiero... Ja dużo przeszłam, a przecie życie mnie nie zjadło.

KAMERDYNER

Ale jak wy tu u nas zostaniecie, to prędko się zestarzejecie. Tu się strasznie prędko starzeje, Soniu Iwanowna.

patrzy na nią przez chwilę

Wasza matka jak miała szesnaście wiosen, to choć i głodem często przymarła, ale na wiosnę to razem z czeremchą i lasem rozkwitła.

SONIA *podchodząc ku niemu*

Wy znali matkę moją?

KAMERDYNER

Znałem ją! Znałem, Sonia Iwanowna. Razem my na robotę chodzili, razem my w lesie wiosnę witali. Dom, w którym wy się rodzili, Soniu Iwanowna, zielony był, czerwony miał dach. A stał na skraju miasta, gdzie była największa nędza.

SONIA *radośnie*

Wy z Torżka?

KAMERDYNER

Tak, Sonia Iwanowna. Jak ja posłyszał wasze imię i to, że wam Bylina, rozpytałem się i wiem, że wy moja ziemiarka³⁰. Ja przy waszym ojcu często koło drzewa na rzece pomagał. Sergiusz mu było. Pił – ot, jak tam w ogóle. Potem ja na zarobki³¹ poszedł, do stolicy się dostał. I tak szczebel po szczeblu, aż tu się dostał. I zemrzeć mi tu przyjdzie.

SONIA

Czemu? Jeśli wam tu źle, to przecie nikt was nie więzi.

KAMERDYNER

Co wy wiecie, Soniu! To najgorsze, jak w sercu litość się obudzi dla tych, co to nas gnębią. To już wtedy wszystko stracone. Tak cię to zwiąże. Tego się strzeżcie najwięcej.

SONIA *cicho*

Ja już jego żałuję.

KAMERDYNER

To jeszcze nic. Teraz on dla was chłopiec w pełni krasy. Ale jak on pokaże się wam prosto, tylko człowiekiem, z całą swoją niedolą, wieczną trwogą, a wy na

³⁰ ziemiarka (ros., właśc. *ziemlaczka* – krajanka) – rodaczka.

³¹ *uchodit' na zarabotki* (ros.) – iść na zarobek.

niego patrzeć będziecie jak człowiek, dopiero zrozumiecie, dlaczego ja tak mu służyć, dlaczego ja za nim jak cień chodzę.

Chwila milczenia. Słońce zaczyna krwawo zachodzić poza drzewami parku i zalewa swym blaskiem scenę.

KAMERDYNER

I lepiej by wy stąd poszli póki czas. Was sprzedali, ja sam siebie sprzedałem. To jeden wielki targ. Oni u nas serca wykupują, i to najgorsze... Właściwie nic im z tych naszych serc nie przyjdzie, a my, ot, całe życie już z pustką w piersi się tłuczemy.

SONIA przysiadła na poręczu fotela zamyślona, KAMERDYNER cicho

A teraz to najgorsze, bo oto śmierć już po pałacu chodzi i nie wiadomo, kiedy widocznie się objawi. Ot tam, nad nami, gra się duża stawka, Sonia Iwanowna. Mimo straży, mimo gwardii, mimo wszystko, obliczone na wielką wierność. Weszło to, co miary ani zakazu nie zna – śmierć!...

SONIA

Wy myślicie, że Car sam...

KAMERDYNER

Tak, Sonia, tak. Czas przyszedł jak na każdego z nas. I na ciebie gołąbko przyjdzie, choć taka biała i taka świeżutka jesteś. A znak widomy. Ot, on już chodzi i żegna się ze wszystkimi. Od tygodnia ani go nie upilnujesz. Zwlecze się, kij weźmie i tak po pałacu chodzi, po krużgankach, po salach. Do okien podchodzi, w park patrzy... Ty rozumiesz Sonia, co to znaczy i jak to lud przyjmuje. A on już teraz lud czy nie lud, car czy nie car, jedno...

SONIA skurczona, jakby zdrętwiała

Tak... pomnę. U nas dziadek, jak mu umierać przyszło, to tak chodził... Mówili, aby mu nie przeszkadzać, że on z obejściem się żegna.

KAMERDYNER potrząsając głową

Tak... stary Bylin... Siergiej mu było. Dużo ludzkich łez miał na sobie. Wlekły się za nim, przeto mu ciężko było... Ludzkie łzy to wielki ciężar.

chwila milczenia

Wczoraj batiuszka w tronowej sali był. Dowłókł się do tronu, stał przed nim i żegnał się. Potem poszedł, tajne przejście zna. Kiedyś zaszedł do apartamentów zmarłych swoich żon. Straży nie pozwala za sobą iść. Mimo to wszędzie jest poukrywana. Za filarami – wszędzie. I to główny znak, że już niczego się nie boi, co od ludzi pochodzi. On wie, że wkrótce pozna wielką tajemnicę. Co mu teraz ludzie...

po chwili

Ja idę, Soniu Iwanowna, może wam co przynieść? Wy jak ptak w klatce...

SONIA

Dziękuję, Iwanie Piotrowiczu.

KAMERDYNER

Cukierków może.

SONIA

Nie, nie! Wy mnie tak czegoś zasmucili, aż serce mi się ścisnęło i smutku pełne.

KAMERDYNER

Co chcecie, Sonia. Grób się przed wami powoli ukaze. I pojmiecie, że wielka to kara Boża być niemi. Dlatego mi tak naszego małego żal, bardzo żal.

odchodzi powoli środkiem

SONIA

*Chwilę siedzi nieruchoma ze spuszczoną głową, wreszcie zrywa się, przezwy-
ciężając smutek, rzuca gałązkę czeremchy, którą miała w ręku, na fotel i woła
w przestrzeń.*

Et! Wszystko pustota!

*Obchodzi salę, przygląda się floretowi, zaczyna powoli, cichutko nucić cygań-
skiego, pełnego sentymentu walca. Dochodzi do urny malachitowej, w której
wiedną powoli czeremchy. Usiłuje poprawić zwisającą gałąź, nie może dostać.
Wreszcie, ciągle nucąc, wskakuje na taburet, na postument i poprawia kwiaty.
Blask zachodzącego słońca ścieli się przez szyby coraz płomiennie. Chwilę sły-
chać cichutki głos SONI. Nagle, powoli, rozchyła się tajemne przejście w ścianie
po lewej. W otworze ukazuje się postać CARA, który nieruchomo, ciężko od-*

dychając, stoi wsparty na lasce. Potem, nie widząc SONI, która na ten widok zmartwiła i pozostała tak przytulona do urny, z deszczem białych kwiatów nad sobą, posuwa się po krwawej smudze światła ku drzwiom balkonowym. Gdy dowlókł się tam, opiera głowę o szyby i spod brwi zsuniętych, patrzy w głąb parku. Cała dusza winna mieścić się w tym spojrzeniu. Wreszcie odrywa się od szyby, odwraca powoli i patrzy dookoła po ścianach, po suficie. Dostrzega SONIĘ. Chwilę patrzą na siebie w milczeniu, wreszcie CAR wskazuje na nią laską. CAR, olbrzym o rudej, siwiejącej brodzie i steranej, zniszczonej ciągłą, duchową walką twarzy. Cere ma już jakby przysypaną ziemią, patrzy ciągle nieufnie i cała tragedia jego życia mieści się w tym wzroku. Nic nie zdoła opisać tego znużenia, jakie gniecie jego całą postać. Robi wrażenie kogoś, co stoi nad brzegiem przepaści, pociągany przez moc nadludzką na dno, a przecież jeszcze chce przedłużyć swe istnienie. I walczy o każdy oddech, o każdy gest, wydiera przeznaczaniu ostatek strzępów życiowych. Zupełnie niespodziewanie stanął przed nim obraz wiosennej dziewczyny, która jak gołąb biały, przytulona do zielonego malachitu, zjawiła się przed nim strojna w młodość, urok i czar kobiecy.

SCENA 5

CAR, SONIA

CAR

Kto ty?

SONIA milczy

Zejdź!

SONIA zeskakuje z piedestału i zatrzymuje się spłoszona.

CAR chrypliwie

Kto ty?

SONIA

Ja, Sonia Iwanowna Bylina. Tancerka wędrownej trupy. Ja... czterdziesty pierwszy Czerkies...

CAR

Co ty tam robiła?

SONIA

Ja kwiaty poprawiała..., ale tam wody nie ma. One tak zemrą, ale ja wiem, wody nalewać nie wolno! Darujcie! To się nic złego nie robi. Jutro już trzeba będzie wyrzucić je precz. Niech tak przez dziś będzie... tak ładnie...

CAR *patrzy na nią uważnie*

Ty miłośnica mego syna?

SONIA *cicho, spuszczaając głowę*

Tak...

CAR

No... a ty wiesz kto ja?

SONIA

Wiem. Car batiuszka.

CAR

Gdzie ty mnie widziała?

SONIA

U nas w chacie wisiał wasz portret. Tylko jak wy byli młodzi, siwych włosów u was nie było. U nas po chałupach wszędzie wasze portrety. Tak samo się patrzycie... Nas, dzieci, jak niedobre, to wami straszą. Potem jeszcze wasz portret jest na samowarach. Tak! To bardzo ładne...

CAR *oddycha ciężko, błędnie, stania się*

SONIA

Wam słabo? Ja zawałam kogo...

CAR *z trudnością*

Nie trzeba...

SONIA

Można podać wam rękę? Ja was przeprowadzę... posadzę... Nie bójcie się. U mnie ręka ciepła i serce czyste, ja wam nic złego nie zrobię.

CAR

Nie! Nie!

Usiłuje postąpić naprzód, ale nie może, zamyka oczy. SONIA zbliża się i podaje mu rękę – bezwiednie CAR opiera się na jej ramieniu. Tak ona go przeprowadza do fotela, na którym leży gałązka czeremchy. CAR pada na fotel. Ona patrzy nań z litością.

SONIA

Wy ledwo oddychać możecie. Ja batiuszka okno otworzę. Zaraz będzie lepiej.

Otwiera drzwi balkonowe. Snop purpurowego światła wpada i oblewa swym blaskiem postać pochyloną na łasce CARA.

Lepiej wam batiuszka?

CAR

Odstąp!

SONIA cofa się

Darujcie, ja tak z dobrego serca.

Chwila milczenia. CAR napotkał pod ręką gałązkę czeremchy. Przypatruje się jej uważnie.

SONIA

To czeremcha. To samo, co ja do wazonów włożyła.

CAR cicho

Czeremcha... Gdzie to rośnie?

SONIA ośmielona

W całym kraju batiuszka. W lesie...

CAR

W lesie!

wciąga w siebie zapach czeremchy

SONIA

To bardzo zdrowe.

CAR odrzuca czeremchę

U nas na wiosnę to dzieci i starsi ludzie kąpią się w czeremszce. To podobno sił dodaje... Jak Boga kocham...

CAR patrzy na nią spod brwi zsuniętych, jej powoli zamiera głos.

CAR

No... Mów co!...

SONIA

Kiedy już nie wiem... U was batiuszka takie dziwne oczy.

CAR patrzy na nią

Ja nie wiem, ja z daleka stoję, a przecież mnie głos mrze. To bardzo nieprzyjemne... Tak mi chwilami, jak tam u nas w chacie, gdy mnie powiedzieli, że wy zejdziecie z obrazu i połkniecie mnie.

CAR

A nigdy nie kazali wam mnie kochać?

SONIA

Nie batiuszka. Kazali nam tylko bać się was i modlić się za was.

CAR

A ty się modliła?

SONIA

Tak batiuszka. Jakem była w domu, jeszcze w Torżku. A potem jak mnie w świat poniosło, to już nie myślałam nigdy o was. Tam na świecie ludzie o was nie mówią. Dopiero jakem wróciła, to się dowiedziałam, że wy ciągle żyjecie. Ale i tu mało o was mówią.

CAR marszczy brwi, przygryza usta

SONIA

Musicie batiuszka być z tego kontenci. Bo przecie to mało szczęścia w tym, jak o człowieku gadają, lepiej tak cicho, w zapomnieniu. Ja wiem to samo. Ja wtedy szczęśliwa, jak już ze sceny zejść. Wam się także tak musi zdawać, że wy ze sceny zeszli i sam z Bogiem i własną duszą zostali...

powoli ośmiela się, zbliża

Gadać?

CAR kiwa głową, słucha jej słów oparty wciąż na łasce. SONIA przyklęka na ziemi.

I wtedy – ot, zaczyna się spowiedź.

siada cała skąpana w blasku dogasającego słońca

Wielka spowiedź z całego życia. Wszystko dobre, co się przez was stało i wszystko złe także. Ludzkie łzy i ludzka radość. Obliczyć to trzeba, zestawić, bo według tego, to będzie lekka czy ciężka śmierć. Tak mówił mój dziad, stary Bylin, ale on miał dużo łez na sumieniu i miał ciężką śmierć. Ja pomnę dobrze, jak on się męczył, jak umierał. Straszno! I dlatego ja także z własnym sumieniem się liczę, aby nigdy nie popaść w rozterkę sama ze sobą i nie mieć ciężaru grzechów, nie wlec ich, to główne.

CAR zamyślony słuchał słów SONI, wreszcie podnosi się z ciężkością.

CAR

No... tak...

odsuwa laską SONIĘ z drogi

Odstąpcie!

SONIA odsuwa się z drogi skurczona i patrzy, jak on powoli, chwiejąc się, wlecze się do tajnego przejścia. Przyciska guzik w ścianie i znika. Słońce zagasło, cienie nocne zalegają powoli scenę. SONIA pozostaje ciągle skurczona na ziemi. Wchodzi KAMERDYNER.

SCENA 6

SONIA, KAMERDYNER

KAMERDYNER

Może zaświecić?

dostrzega SONIĘ klęczącą na środku sceny

Ach, co to? Co z wami?

SONIA

Och, Iwanie Piotrowiczu, gdyby ty wiedział. On tu był!

KAMERDYNER

Kto?

SONIA

On sam! Najjaśniejszy Pan.

KAMERDYNER

Powstańcie, uspokójcie się! Bóg z wami!

SONIA, podniesiona przez KAMERDYNERA, powstaje, biegnie na berżerkę, rzuca się na nią, kuli w rogu z nogami i zakrywa sobie oczy. KAMERDYNER podchodzi do niej i głaszcze ją po głowie.

SONIA

Och! Nieszczęsny!

KAMERDYNER

Ja wam mówiłem! On musiał tu przyjść. Tu on przecież młodość swoją spędził. To apartament Carewicza. Przyszedł pożegnać się ze swoją młodością. Ale którejdy on wszedł?

SONIA

Tu... ze ściany.

KAMERDYNER

Och tak! Tu kurytarz do marmurowej sali i dalsze przejście do głównego kurytarza.

po chwili

Mówił co z wami?

SONIA

Tak.

zakrywa znów oczy

KAMERDYNER

Ach! Uspokójcie się, ot patrzcie, ja założę od wewnątrz tutaj zasuwę i nikt już się do was nie dostanie. *manewruje koło drzwi tajemnych* I moja to była wina, że się tak stało. Ja powinienem parę razy na dzień sprawdzić, czy zasunięte

od wewnątrz. Ja tego nie zrobił, dlatego do was prosba, Sonia Iwanowna. Nie mówcie Carewiczowi, że Najmiłośwszy Pan tu był. On gniewać się będzie, a dziś on i tak groźny czegoś i nieswój.

SONIA

Bądźcie spokojni. Nie powiem nic. Ja sama chciałabym zapomnieć, nie myśleć. On jakby po śmierci chodził. Jakby trup ożył na chwilę i włączył się... zrywa się Ja pójde stąd Iwanie Piotrowiczu. Ja nie chcę tu być. Ja boję się...

KAMERDYNER

Ach, zostańcie! Nie czyńcie krzywdy naszemu małemu, on tak gorąco mówił, żeby czuć...

zapala świece w kandelabrze, chce zamknąć drzwi balkonowe

SONIA

Nie zamykajcie! Udusić się można.

KAMERDYNER

Jak każecie.

SONIA

Ja każę! Ja nie mogę bez powietrza, zostawcie.

KAMERDYNER

Ot, zdaje się sygnał.

Wybiega, za chwilę wraca. SONIA chciała powstać z berżerki, szuka torebki.

KAMERDYNER

Raczyli przyjechać. I, Sonia Iwanowna, pamiętajcie! Nie mówcie nic.

SONIA

Mnie samej byłoby ciężko to znów przywołać przed oczy. To straszne. Ja umrę, a jego widzieć będę.

Słychać brzęk ostróg. KAMERDYNER biegnie na spotkanie CAREWICZA.

SCENA 7

SONIA, CAREWICZ, KAMERDYNER, LOKAJ

CAREWICZ wchodzi szybko, zdejmując kask, rzuca go na fotel. KAMERDYNER wyciąga kask do sypialni.

CAREWICZ do SONI

Witaj Sonia, witaj! Aż łzej, że was widzę.

KAMERDYNER

Czy Wasza Cesarska Wysokość raczy się przeodziać?

CAREWICZ

Nie. Rozkujcie mnie tylko z pancerza, światła nie zapalać.

Wchodzi do sypialni. SONIA zbiera się, włożyła kapelusz i bierze rękawiczki. CAREWICZ wraca bez pancerza. Wchodzi LOKAJ, wnosi samowar srebrny, zastawia stół.

Ot! Aż łzej!

KAMERDYNER

wychodzi

CAREWICZ

Chodź Maluta, nalej herbaty. Siądźmy po swojemu naprzeciw siebie. Daj papieroska... Co tobie? *patrzy na nią uważnie* Ty jakby płakała? Czy ci kto jaką krzywdę zrobił? Powiedz!

SONIA

Nikt mnie nie ukrzywdził, ale tak, ja płakałam.

CAREWICZ

Dlaczego?

SONIA

Ja nie wiem... taka tęsknica... ot, nuda...

CAREWICZ

Ja nie mogłem wcześniej. Ja i tak pędziłem tu jak na skrzydłach. Ja nie wiem, ale mnie naprawdę czegoś teraz, chyba nie żyć bez ciebie, Maluta. Ja patrzyłem dziś

w klubie po ludziach. Tacy oni wszyscy marni. Ty jedna tylko jakaś inna. Ale dlaczego ty ubrana? Zdejm kapelusz...

SONIA

Ja muszę iść, Alosza.

CAREWICZ

Gdzie?

SONIA

Do teatru, do garderoby. Już czas, w pierwszej części my nowe gimnastyczne ćwiczenia dziś robimy. Pod koniec jak zawsze lezginka.

CAREWICZ *nagle zachmurzony*

Ech głupstwo! Musisz jeszcze zostać ze mną. Napij się herbaty. Zdejm kapelusz! Ja tak każe!

SONIA

Ach! Ty mnie nie wziął w niewolę.

CAREWICZ *gwałtownie*

Wziął! Ciebie dla mnie kupili.

SONIA *gwałtownie*

Ty raz jeszcze powiedz tak, a ja sobie śmierć zadam...

CAREWICZ

Nie sprzeciwiaj mi się. Mnie i tak ciężko, jakby mi kto na piersi kamienie przywalił. Ach! Sonia Iwanowna! Sonia Iwanowna, gdyby ty choć na chwilę była mną, gdyby ty zrozumieć mogła wszystko.

Zakrywa oczy rękami. Ona stoi przez chwilę nieruchoma, wreszcie podchodzi ku niemu i siada na krawędzi fotela.

SONIA

No! Uspokój się Alosza. Wszak widzisz, nie idę...

CAREWICZ *z goryczą*

Tak, ale po ukazu³², a ja chcę, żeby ty sama z serca została. Wszystko po ukazu,

32 ukaz (ros.) - dekret, rozkaz.

dookoła mnie tak wszystko... Kazać! Ciągłe kazać! z wybuchem A ja by raz chciał... słuchać!

SONIA *cicho*

Ty powiedział wielkie słowo Alosza! Jak na ciebie – ogromne słowo.

CAREWICZ

Tylko zrozum, Maluta. Słuchać, ale tak, żeby serce czyjeś kazało, a moje słuchało. Bo inaczej to dotąd całe moje życie ja słuchałem, co mi nakazali, ale tu serce milczało. A teraz, ot, serce gada, Maluta! Serce! *po chwili* Bo u mnie też jest serce, Maluta. Ja to rozumiał, odkąd ciebie poznał.

SONIA *smutno*

Ty bez matki chowany, a dzieci, co się bez matki chowają, straszne tęsknice potem w życiu przechodzą. *tuli go* No, ja dla ciebie twój druh, twoja matka rodzona, twoje wszystko... A potem posłuchaj Alosza... Ty mówisz, że u ciebie jest serce, ale serce powinno zdobywać inne serca. Ty w życiu będziesz mógł zdobyć dla siebie miliony ludzkich serc, rozumiesz? Miliony! Takich biednych, małych serc, co za tobą biec będą.

CAREWICZ

Ja nie chcę tego, Sonia, ja nie chcę. U mnie sił nie ma, czy co – ja nie wiem. Mnie jedno twoje serce, Sonia, wystarczy. Ale posłuchaj! Ono być musi moje, moje własne wyłącznie, na przepadłe, na śmierć! I dobrowolnie.

SONIA

Ja przecież ci cała oddana, Alosza.

CAREWICZ powstaje i chodzi po sali. Powoli wschodzi księżyc. Oświeśla blaskiem błękitnym, łagodnym scenę przez otwarte drzwi balkonowe.

CAREWICZ

Nie! Ty mnie nie rozumiesz, Soniu!

chwila milczenia, wchodzi KAMERDYNER

KAMERDYNER

Wasza Cesarska Wysokość pozwoli, że oznajmię, iż z teatru dworskiego telefonowano, iż przedstawienie niedługo się rozpocznie.

SONIA

No tak... To po mnie.

CAREWICZ *gwałtownie*

Telefonujcie, żeby zaczynali, niech jaka inna... Sonia Iwanowna nie przyjdzie.

KAMERDYNER

wychodzi

SONIA

Jakże to Alosza? Jakże tak można?

CAREWICZ

Można! I tak będzie. Ja już to obmyślił. Ty na scenę nie wrócisz. Ja tobie dam który z moich pałaców, tam żyć będziesz dla mnie, wyłącznie tylko dla mnie, rozumiesz? Ja nie chcę się dzielić tobą z innymi. Ja nie chcę, aby na ciebie patrzyli drudzy!

SONIA *smutno*

To mnie już nie tańczyć z innymi dziewczętami?

CAREWICZ

Nie! Ja nie chcę!

Chodzi wzburzony po sali. SONIA powstaje z poręczy fotela. Podchodzi do drzwi balkonowych, staje w nich, opiera się o framugę i patrzy w głąb. Słychać wołanie Karant.

CAREWICZ

podchodzi do niej

Na co tak patrzysz, Sonia?

SONIA *milczy*

Ty patrzysz na okna teatru?

SONIA

Może, Alosza. Pomyśl, ja od dziecka między nimi. Tak od razu z serca wyrwać, choćby nawet dla ciebie... Ale widać, tak mi sądzono, ot mniejsza.

Patrzy na jego twarz napiętowaną zburzeniem i smutkiem, oświetloną blaskiem księżyca.

Ot, istotnie – widać, że ty cierpisz, Alosza. Ty się zrobił przez to cierpienie podobny do... urywa wy nieszczęśni wszyscy, jeśli się na was jak na ludzi patrzy. *otrząsając się ze smutku* Ot, patrz Alosza, jaki cudowny miesiąc, aż srebrne wszystko. I twoje czarne drzewa srebrem nabijane i po alejach srebro się rozwłóczy. A my siedzimy tu na progu u drzwi, tak jak u nas siada na progu mały chłopak i dziewczyna, w taką srebrną noc, trzymając się za ręce i tak milcząc, siedzą.

siadają na progu drzwi balkonowych i tak siedzą, trzymając się za ręce

SONIA *cicho*

Mówią u nas, u prostych ludzi, że to serca ich ślub biorą, a Anioły Stróże im ślub dają. Niech nam się zdaje, że to jest tak... Ty prosty chłopak z ludu, ja biedna dziewczyna... na chwilę choćby, na chwilę! Na progu przed chatą ojców.

chwila milczenia

CAREWICZ

nagle zdławionym głosem, odsuwając się od niej

Przez czyje ty ręce już przeszła, Sonia?

SONIA

Ja ciebie nie rozumiem, Alosza.

CAREWICZ

Do ilu ty mężczyzn już tak mówiła, Sonia?

SONIA *zrywa się*

Och! Jak ty mnie znieważył, Alosza!

Biegnie z płaczem do berżerki, chwytając kapelusz i oparta o berżerkę, łka. Światło księżycowe oświetla ją. CAREWICZ patrzy na nią chwilę, wreszcie szybko podchodzi do niej, pochyla się z całą namiętnością, zwraca jej łzami zalaną twarzyczkę ku sobie i mówi cichym, zdławionym głosem.

CAREWICZ

Nikogo? Nikogo nie kochałaś? Ja pierwszy?

SONIA cicho

Ty pierwszy...

CAREWICZ

Przysięgnij!

SONIA

z całą czystą niewinnością w błękitnych oczach

Przysięgam!

CAREWICZ

Usta twoje, Sonia!

SONIA

Usta twe, Alosza!

*Oświeczeni blaskiem księżyca, pozostają nieruchomo, złączeni pocałunkiem,
jak marmurowe, białe posągi, piękne, cudem wyrazu i linii.*

ZASŁONA WOLNO ZAPADA

AKT III

Scena przedstawia tę samą salę, co w poprzednich aktach. Tylko oświetlenie jesienno zachodu wpływa przez okna balkonowe. I stół, na którym zwykle stał samowar, jest usunięty zupełnie. Natomiast po prawej od widzów, na kominku pali się ogień. I stoją po obu stronach kominka dwa fotele, na niskim gierydonie³³ przygotowane filiżanki do herbaty. Przy ścianie mały stolik, na którym srebrny samowar i chiński czajnik, przykryty wyszywaną serwetką. Jakieś jakby zacisze domowe. Przyrządy gimnastyczne zdjęte i usunięte zupełnie. Parawan z chińskiej laki otula cały kominek i fotele. Na kominku stoi lampa elektryczna z abażurem, z różowego jedwabiu z koronką. Przy podniesieniu zasłony SONIA siedzi na fotelu przy kominku na prost do widzów, oparta na rękę i pogrążona w myślach. Odziana w ciemnoszafirową aksamitną suknię, obłożoną czarnym futrem – duży, koronkowy brukselski kołnierz. W pasie ściśnięta kaukaskim paskiem srebrnym. Twarz pobladła i spoważniała. Stała się kobietą, weszła w środek życia i poznała je. Znikł jej z ust uśmiech dziecięcy, natomiast wykwiłł jakby zastygły wyraz bolesnego smutku, który się spodziewa powitać wszystkie możliwe nieszczęścia. W ruchach i w pochyleniu głowy jest cała doślejność i pewien majestat nieokreślony, który nabierają kobiety z chwilą poznania swego przeznaczenia.

33 gierydon – przest. mały stolik okrągły (także trójkątny, narożnikowy) o jednej nodze, na drobiazgi, kwiaty, słodczy; wysoki, ozdobny postument pod lichtarz, świecznik.

SCENA 1

SONIA, KAMERDYNER WANIA

KAMERDYNER wchodzi, przystępuje do kominka, poprawia drzewo.

KAMERDYNER

Czy rozkażecie dołożyć?

SONIA

Dołóżcie.

słuchać wycie wichru w parku

KAMERDYNER

Straszna pora. Gniece drzewa do ziemi, miecie liśćmi i bije w szyby pałacu.

SONIA

Jesień, Waniu – nic dziwnego. *po chwili* Co słyszeć tam?

KAMERDYNER

Ciągle to samo.

SONIA

Chciałabym wiedzieć jednak dokładnie. Gdy Carewicz się obudzi, natychmiast pytać będzie.

KAMERDYNER

Cóż powiedzieć można? Niepewność – ot, jak miesiące tyle. Od tych dni wiosennych, gdy tak obchodził cały pałac i zdawał się już żegnać na zawsze z tymi ścianami. Teraz zamknął się w swej komnacie i długie dnie, i długie noce zda się wciąż czekać na śmierć, która nie przychodzi. *po chwili* Może teraz nadleci na tych jesiennych skrzydłach wichru. Tak zdaje się i lud sądzi, bo oto od kilku dni zbiera się na placu, poza kratami carskiego apartamentu. A głos ludu – głos Boga. I choć tak stoją i milczą, to przecież oni więcej tym milczeniem mówią, niż gdyby tysiącem piersi wołali. *po chwili* I wiecie, Soniu Iwanowna, co ja dostrzegłem?

SONIA

Mówcie.

KAMERDYNER

Oto powoli, pojedynczo zaczynają się już głowy tłumu zwracać w tę stronę pałacu. Czegoś ich oczy szukają, nawet dostrzec można cienie, które podkradają się ku tej stronie krat. Czepiają się ich, śledzą okna apartamentu Carewicza. I dlatego tu przychodzę. Zamknę okiennice. Zapalę lampę i zapuszczę żelazną żaluzję. Nic wiedzieć nie można.

chce iść do okna

SONIA *gwałtownie*

Zostawcie! Niech to okno będzie odkryte! Dlaczego chcecie oddzielić Carewicza od tłumu stałą żelazem?

KAMERDYNER

Lękam się...

SONIA

Ach, Waniu! Jak spodleliście na pałacowym chlebie! Dlaczego on ma ciągle lękać się tylko i drzeć o własną skórę? To zgroza pomyśleć, że w nim może już nic obudzić się nie da.

Powstaje, idzie do okna balkonowego, otwiera je. Wicher gwałtownie zawodzi i miecie masą jesiennych i żółkłych liści. SONIA stoi chwilę osypana nimi.

KAMERDYNER

Drzewa prawie ogołoczone, z placu widzieć będą w ten sposób postacie w głębi.

SONIA *gwałtownie*

Niech widzą! Dlaczego ukrywać się ciągle jak zwierzęta w norach? W ten sposób zawsze pomiędzy tym tutaj a... nimi pozostanie to, co wytworzy, że liście, które wicher namiecie, będą tylko śmiecie. A pomiędzy – tam – nimi wpatrzonymi w tę stronę tylko możliwi mordercy. Lepiej więc rzeczywiście od razu zamknąć te drzwi i to zamknąć szczelnie.

KAMERDYNER

Zrobiliście się dziwnie gwałtowni, Soniu Iwanowna. Po prostu trudno was poznać przez te cztery miesiące.

SONIA

Ach zostawcie! Mnie się zdaje, że ja przez te cztery miesiące przeżyłam dziesiątki lat, Iwanie Piotrowiczu.

KAMERDYNER

Widzę to i żałuję was szczerze. Chwilami zdaje mi się, że patrzę na ptaka, który wpadł w złożoną klatkę i obija sobie skrzydła boleśnie.

SONIA

Nie, ja rozumiem o co mnie chodzi i dlaczego ból cierpię. Pragnienie moje jest, widzę, nieziszczalne – ani w części nie spełni się i to jest przyczyną mego cierpienia.

KAMERDYNER

Być może, że za wszystko postawiliście te pragnienia tak wysoko, że rzeczywiście niepodobieństwo jest, ażebyście osiągnęli aż taki stopień szczęścia.

SONIA

Szczęścia? Co wy myślicie Iwanie Piotrowiczu? Czy przypadkiem nie sądzicie, że ja mam jakieś samolubne cele na względzie?

KAMERDYNER

Dziwić by się nie należało. Młodzi jesteście, spragnieni życia i tego, aby do was się stale uśmiechało, Soniu Iwanowno.

SONIA

Dajmy spokój, nie mówmy o tym Iwanie Piotrowiczu. Widzę, że nie pojmujecie mnie zupełnie i nie wiecie, ku jakiej ścieżce zwracają się oczy i serce moje. *po chwili* Możecie zamknąć te drzwi. Macie rację – w grobowcach drzwi co najwyżej mogą być tylko przymknięte.

KAMERDYNER zamyka drzwi balkonowe. SONIA idzie do fotela, na którym siedziała poprzednio i siada ponownie na dawne miejsce. Chwila milczenia. KAMERDYNER podchodzi do drzwi sypialni, chwilę słucha, wreszcie mówi cicho.

KAMERDYNER

Carewicz, zdaje się, zasnął.

SONIA

Może.

KAMERDYNER

Dobrze, gdyby zasnął choć trochę. Nigdy nie widziałem go tak podnieconym i zdenerwowanym, jak w tych dniach właśnie. Co chwila wbiega do apartamentów Miłościwego Pana i dopytuje się o stan jego zdrowia. Wygląda, jakby chciał coś przedsięwziąć, coś powiedzieć. Lecz podobno, gdy znajdzie się wobec ojca, milczy i oddala się po chwili. Na mnie robi wrażenie, iż on ma gorączkę. Powinniście wy, Soniu Iwanowna, wpłynąć na niego uspokajająco. Wy jedna przecie macie wpływ na niego.

SONIA

Nie wiem...

KAMERDYNER

Wiecie o tym dobrze i wiedzą wszyscy, że tej władzy nie nadużywacie. Ale teraz... dla jego dobra...

SONIA

Och! Gdybym wiedziała, co jest dobrem jego!

KAMERDYNER

W każdym razie, Soniu Iwanowno, czuwajcie, to jedno! Czuwajcie! Gotują się bowiem fakta – może już w pobliżu czuwają. Są tak wielkiej doniosłości, iż katastrofom równać się mogą. Wy jedni obok niego – pamiętajcie! I to także rozważcie, niech wam to nie będzie dziw, iż on takich drzwi otwartych się lęka. Matkę jego zabili, dziada poszarpali, więc dziecko się lęka – po prostu. Ot, lęka się i trwoży. Tak na niego patrzeć, nie inaczej.

SONIA

ukrywając twarz w dłoniach

Tak... Tak...!

SCENA 2

CAREWICZ, SONIA, KAMERDYNER WANIA

CAREWICZ staje we drzwiach sypialni. Jest zgorączkowany, podniecony, oczymu błyszczy. Ruchy jeszcze więcej chwilami nerwowe, chwilami jakby słabła w nim wola i jakakolwiek siła. Odziany w mundur, taki jak w akcie I. I na nich obojgu, na SONI i na CAREWICZU widać, iż związek ich głównie poszarpał i podniecił ich nerwy, lecz zarazem obudził w nich moralne strony ich istoty. Robią wrażenie ludzi pochylonych nad przepaścią i walczących, aby nie wpaść do głębi.

CAREWICZ

Pozwać mi tu Leibmedyka.

KAMERDYNER

Według rozkazu Waszej Cesarskiej Wysokości.

odchodzi

SONIA

siedząc na fotelu

Spałeś trochę, Alosza?

CAREWICZ

Nie!

SONIA

A jednak to konieczne. Dziś w nocy znów czuwać będziesz przy chorym. I tak ciągle... ciągle.

CAREWICZ

siada na drugim fotelu naprzeciw SONI

Inaczej być nie może. Mam pragnienie – usta mi schną.

SONIA

wstaje, nalewa szklankę wody z sokiem i podaje

Napij się trochę.

przykłada mu rękę do czoła

Masz rozpalone czoło, Alosza. Zdaje się gorączka. Dobrze, iż chcesz się zobaczyć z Leibmedykiem. Przyjmij od niego lekarstwo.

CAREWICZ

Ach! Nie o to tutaj chodzi, Soniu! Mam się go zapytać w ważnej istotnie dla mnie kwestii. Lecz nie o zdrowie zapytywać go będę. Usiądź tu przy mnie na poręczu, tak, połóż mi rękę na czole – oto moje jedyne i istotne lekarstwo. Tak! Słodko mi teraz i dobrze. O, ty jedyna moja!

SONIA przykłada mu rękę do skroni i całuje go w usta.

CAREWICZ

Jak dobrze tu i słodko. Jakby prawdziwy dom nasz. A przecież, kto wie, jak długo tu jeszcze pozostawać będziemy mogli. Inne ci będę musiał gniazdko stworzyć.

SONIA

Nie trzeba, Alosza. Mnie to, co tu jest, zupełnie wystarcza. Tego pałacu, który mi dałeś, wiesz, że nie lubię. Tułam się po nim jak cień, jak wyrzutek jakiś. Marmurowy on i zimny. Lękam się tak tam czegoś. A potem ta cała służba!

CAREWICZ

Może cię nie słuchają?

SONIA

Nie Alosza, ale ja się ich wstydzę.

chowa głowę na jego piersi

CAREWICZ

Ich?

SONIA zrywając się

Oni są równorzędni ze mną, właśnie oni tylko. Ty tego zrozumieć nie możesz, nie mówmy więc o tym.

CAREWICZ pośpiesznie

Zrozumieć nie mogę, ale chciałbym może. Kto wie Soniu, czy nie chciałem zawsze. A teraz się łamię...

SONIA ze smutkiem

I złamiesz się może bezlitośnie, mimo że przecież to, z czym się borykasz, takie proste i już dla wszystkich dostępne.

CAREWICZ

Nie, Soniu! Nie dla wszystkich jeszcze, tylko dla was... Dla takiej ciebie, która wkroczyłaś w życie ze szczerą, chłopską filozofią w duszy. Mnie przytłoczyli tę wrodzoną filozofię szmatami nauk i ot, stał się ze mnie spodem chłop, który już nie ma śladu szczerości, a kłaniać się cudzym Bogom nie może.

wstaje i chodzi po sali

I ot, ja do życia tego, co przede mną, niezdolny i życia tego nie chcę. Ja to widział dawno, a z chwilą, gdy z tobą Soniu się zeszedł, zrozumiał to jasno i otwarcie zupełnie.

SONIA siada na swoim fotelu, on powoli zbliża się ku niej i siada na niskiej pufie u jej kolan.

CAREWICZ

Nie tylko miłość ja poznał przez ciebie, ale coś więcej, coś, co niesiesz ze sobą, może nie wiedząc o tym. Ty silna jesteś, silniejsza ode mnie. Ty mi jesteś wszystkim i widzę, że bez ciebie rozwięję się na nic. Taki sztuczny byłem przedtem, taki cały zlepiiony. A tu w sercu targało się aż wszystko, a ja to głuszył, a ja się szarpał. Ale aż wyło we mnie z bólu i teraz jeszcze wyje. Utul, ukój mnie Soniu – matko, kochanko, człowieku... przy tobie! Dla ciebie do zgonu...

Sklania głowę na jej kolana, ona kładzie ręce na tej głowie i siedzą tak chwilę w milczeniu. Ściemniło się zupełnie. Wicher wyje poza oknami. Purpura ognia ich oświetla.

SONIA jakby sennym głosem

Gdyby tak pozostać na zawsze, Alosza!

CAREWICZ

O tym ja myślę, Soniu.

SONIA

Tylko nie w jednej mnie widzieć musisz człowieka, to główne.

CAREWICZ

Tylko przez ciebie jedną widzieć mogę. Inaczej już nie potrafię. Ja przez ciebie, Soniu, nauczę się znać ludzi.

SONIA

To mało znać, Alosza. Kochać ich trzeba.

CAREWICZ

Nie wiem... Nie wiem...

SONIA

I nie tylko ludzi, ale i ziemię także... Wszystko, z czego ty powstałeś.

CAREWICZ

Z czego ty powstałaś.

SONIA

Z czego oba nasze serca powstały.

CAREWICZ *tuląc się do niej*

Tak... tak, z czego oba nasze serca powstaną...

SONIA

Dlaczego mówisz – powstaną? Dlaczego nie wierzysz, że już powstały?

CAREWICZ *ze smutną melancholią*

Bo umiem teraz poznawać siebie, Soniu. Przez pryzmat twego ducha widzę swego. I widzę tą bezradność i chwiejność moją. Ale pragnę szczerze i gorąco, i dlatego powziąłem wielkie postanowienie. Do tego ty jedna jesteś mi konieczna, Soniu, powiem ci to niebawem.

SONIA *zakrywając oczy*

Lękam się tego, Alosza!

CAREWICZ

Nie lękaj się. Bo ty musisz mieć właśnie siłę i za mnie, i za siebie. Lecz gdy przebrniemy tę ciężką i, zda się, nie do przebycia drogę – ach! Soniu, jakże szczęśliwi będziemy. Wolni, swobodni, oddychać zaczniemy pełną piersią. I wtedy wolno nam będzie znów być dziećmi i ludźmi takimi, jak dusze nasze zapragną. I tylko za siebie zdawać będziemy rachunek przed własnym su-

mieniem. Nie będę wreszcie wlec za sobą tej całej odpowiedzialności, która śmierć mego ojca tak straszną czyni! Nie będę! Nie będę!

SONIA *przerażona*

O czym ty myślisz, Alosza?

CAREWICZ

Dowiesz się. Dowiecie się wy wszyscy, co w głębi mej duszy było. Co było moją tragedią i pragnieniem moim.

wchodzi KAMERDYNER

Czy Leibmedyk przybył?

KAMERDYNER

Tak jest, Wasza Cesarska Wysokość.

CAREWICZ

Wejdz, Soniu, tam...

wskazuje na sypialnię

Oczekuj na mnie.

SONIA

Alosza, drzę cała.

CAREWICZ *bardzo zgorączkowany*

Tak być musi. Dłużej żyć w niepewności nie będę w stanie.

SONIA *wchodzi do sypialni*

SCENA 3

CAREWICZ, LEIBMEDYK, KAMERDYNER

CAREWICZ

Prosić!

KAMERDYNER wychodzi, za chwilę wchodzi LEIBMEDYK

LEIBMEDYK

Stawiam się na wezwanie Waszej Cesarzewiczowskiej Mości. Czy mogę służyć radą?

CAREWICZ *gorączkowo*

Nie o to chodzi. Proszę mi powiedzieć krótko, jasno, szczerze i otwarcie, jaki jest właściwie stan zdrowia Miłościwego Pana.

LEIBMEDYK *milczy*

Słyszałeś pan moje zapytanie?

LEIBMEDYK

Nie wiem, komu mam odpowiadać – synowi... czy następcy tronu...

CAREWICZ

I jednemu, i drugiemu.

LEIBMEDYK

A zatem jeden i drugi niech wiedzą, że każda minuta jest zagadką. W tej chwili może nadeszła katastrofa lub może odwlokła się znów na czas jakiś. Lecz jeśli są jakieś plany, projektu czy cokolwiek stalszego, winne te sprawy z całą ostrożnością, a przecież stanowczo, być załatwione. Takie jest moje zdanie.

CAREWICZ

Dziękuję. Skorzystam z tych słów. Idę na dół. Czy Miłościwy Pan się obudził?

LEIBMEDYK

Jest ciągle w stanie lekkich somnolencji³⁴, które jednak muszą być przerwane. Taki otrzymałem rozkaz, co do którego winienem się zastosować.

CAREWICZ

Czy będzie można zawiadomić go wtedy o ważnym, wielkim postanowieniu?

LEIBMEDYK

Zdaje się, że właśnie o to postanowienie się rozchodzi, i celem jego jest doprowadzenie Najjaśniejszego Pana choćby do chwilowej przytomności.

34 somnolencja – ospałość, senność, lżejszy stopień zaburzeń świadomości.

CAREWICZ

Nie! O tym postanowieniu wiem tylko ja jeden. Lecz mniejsza! Chodzi tylko o chwilkę rozmowy z chorym i zaakceptowanie przez niego mej woli.

KAMERDYNER wchodzi i staje u drzwi

CAREWICZ *w stanie wielkiego podniecenia*

Co tam?

KAMERDYNER

Jego Cesarska Wysokość, Wielki Książę Jerzy Aleksandrowicz.

CAREWICZ chwytając podniecony mikołajewski płaszcz i czapkę oficerską

CAREWICZ

Niech wejdzie i czeka, ja idę na dół, przekonam się sam o stanie rzeczy.

LEIBMEDYK

Gdyby Wasza Cesarzewiczowska Wysokość chciał sam ode mnie przyjąć jaki środek uspokajający nerwy...

CAREWICZ

przy drzwiach tajemnych

Ach wypuście wy mnie z duszą, to będzie mój środek uspokajający.

Przy ostatnich słowach wszedł do sali WIELKI KSIĄŻĘ JERZY i słyszał je.

SCENA 4

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY, LEIBMEDYK, KAMERDYNER,
później PREZYDENT MINISTRÓW

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Dokąd poszedł Carewicz?

LEIBMEDYK

Do apartamentów ojcowskich. Zdaje się być bardzo rozdrażniony. Proponowałem mu środek uspokajający – odrzucił.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Środek uspokajający! Idiotyzm! Wprowadzili intrygę w jego życie, a teraz chcą truć go środkami. Bydło...

chodzi wzburzony po sali

KAMERDYNER

Jego Ekscelencja, Prezydent Ministrów prosi, aby mógł wejść w sprawie niecierpiącej zwłoki.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

A niech sobie wchodzi.

Wchodzi PREZYDENT MINISTRÓW, kłania się WIELKIEMU KSIĘCIU JERZEMU.

PREZYDENT MINISTRÓW do LEIBMEDYKA

Byłem u pana. Powiedziano mi, iż zostałeś pan zawezwany przez Jego Carewiczowską Wysokość. Czy Carewicz chory?

LEIBMEDYK

Stanowczo jest silnie zgorączkowany i podniecony.

PREZYDENT MINISTRÓW

Należy go uspokoić za wszelką cenę.

LEIBMEDYK

Chyba go zachloroformujemy, bo nic innego być nie może.

PREZYDENT MINISTRÓW

Mowy o tym nie ma. Właśnie to, co ma teraz zająć, wymaga jego zupełnej przytomności umysłu. Musi działać w pełnej świadomości i wspólnie z nami.

do WIELKIEGO KSIĘCIA

Zasygnalizowano mi już zbliżanie się dworskiego pociągu do przedostatniej stacji. Dostojna Wielka Księżna Tatiana Siergiejewna i Anna Mikołajewna wraz z Wielkimi Księżętami gotują się do wyjazdu na spotkanie dostojnych osób. Sądzę, iż należy poinformować pana Leibmedyka, jaka na nim ciąży obecnie odpowiedzialność.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

A informujcie sobie.

PREZYDENT MINISTRÓW

Otóż – proszę przede wszystkim pamiętać, chodzi tu o tajemnicę do ostatniej chwili. Jego Królewska Wysokość Wielka Księżniczka, narzeczona Jego Cesarzowiczowskiej Wysokości, telegraficznie wezwana, raczyła przyspieszyć swój przyjazd do stolicy i oto jej pociąg jest sygnalizowany na przedostatniej stacji, i po nią dostojne osoby raczą wyjechać na spotkanie.

LEIBMEDYK

Śmiem zapytać się, czy Jego Cesarzowiczowska Wysokość wie o tym, co ma nastąpić.

PREZYDENT MINISTRÓW *żywo*

Nic nie wie! Wystarczy, skoro się dowie w ostatniej chwili.

LEIBMEDYK

Wspominał bowiem o jakimś postanowieniu i jakiejś rozmowie z Miłościwym Panem...

PREZYDENT MINISTRÓW

Chodzi tu o to głównie, aby przybyła Księżniczka została pobłogosławiona przez Miłościwego Pana – rozumie pan? W przyległej do sypialni chorego sali są już zgromadzeni dwór i ministrowie, ma przybyć także i wodzirej z duchowieństwem. Księżniczkę wprowadzi się prosto z perystylu³⁵ tamże. Idź pan i czuwaj, aby przeprowadzono Najjaśniejszego Pana z łóżka na fotel i usadzono w cieniu. Tak, aby zmiana jego oblicza nie sprawiła zbyt groźnego wrażenia. I zrozum pan, że zależy na tym, aby do tej głównej, koniecznej chwili, zatrzymać życie. Pan rozumiesz, życie...

35 perystyl (gr. *peristyles*) – otoczony kolumnami; w starożytnych świątyniach egipskich wewnętrzny dziedziniec lub ogród otoczony portykiem kolumnowym; w zamożnych domach greckich lub rzymskich był to najczęściej ogród położony pośrodku domu i otoczony kolumnadą.

LEIBMEDYK

Raczej utrzymać życie. Uczynię wszystko, co będzie w mej mocy. Lękam się jednak...

klania się, wychodzi

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Wszystko pięknie obmyślane, ale zapomnieliście o jednej ważnej kwestii w tej całej sprawie.

PREZYDENT MINISTRÓW
z przechwałką

Sądzę, że o niczym nie zapomniałem Wasza Cesarska Wysokość.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Ejże! A ta mała garść prochu, którą rzuciliście Carewiczowi na drogę...

PREZYDENT MINISTRÓW

Ach! Zgaduję. Ach, to tylko garść prochu, jak Wasza Cesarska Wysokość doskonale określić raczyłeś. Garść prochu na cztery wiatry łatwo rozwiać można.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Nie zawsze. Czasem zaważy ona więcej niż pudy żelaza.

PREZYDENT MINISTRÓW

To wszystko zależy od tego, w jaki sposób rozwiewać się tę garść prochu będzie.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Tak! Złotym prętem czy nahajką.

PREZYDENT MINISTRÓW

Jest jeszcze inny sposób. Trzeba tylko umieć dobrać się do tego, co stanowi podłoże charakteru.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

U kobiety? Charakter?!

PREZYDENT MINISTRÓW

Są kobiety nic i są kobiety ludzie. Tu właśnie zachodzi ten drugi wypadek. Ani nahajka, ani złoty pręt by tu nie pomógł. A tam przecież jest droga, i to nawet prosta i łatwa, choć na pozór bardzo skomplikowana.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Idźże pan do niej, mnie to mierzi. Ja powiedziałbym won! I skończyłoby się wszystko.

PREZYDENT MINISTRÓW

Albo by się zaczęło.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Idę stąd. Przejmuje mnie wstręt! Czuję, iż stanie się tu rzecz podła. Aż panu się oczy śmieją. Baw się pan dobrze.

PREZYDENT MINISTRÓW

Ach, jeśli pan sądzisz, że to zabawa...

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY *z ironią*

Nie, to wielka praca. A zresztą, być może. Pan pracujesz nad utrzymaniem siebie i swojej falangi na raz zdobytych stanowiskach. Moglibyście bowiem rozlecieć się jak z procy.

PREZYDENT MINISTRÓW

Ha! Wasza Cesarska Wysokość – my nie mamy związków krwi, które by nam nasze stanowiska utrzymywały. Musimy więc albo tak... albo tak...

Odprowadza WIELKIEGO KSIĘCIA do drzwi wyjściowych. Gdy WIELKI KSIĄŻĘ wychodzi, PREZYDENT MINISTRÓW wyprostowuje się i posyła za nim groźny gest ręką, mówiąc przez zaciśnięte zęby.

Poczekaj!

dzwoni, wchodzi KAMERDYNER WANIA

SCENA 5

PREZYDENT MINISTRÓW, KAMERDYNER WANIA

KAMERDYNER

idzie ku drzwiom balkonowym

Wasza Światłość może zechce wytłumaczyć mnie przed Jego Cesarzewiczowską Mością, że spuściłem żelazną zasłonę na te drzwi. Lecz oto na dole coraz

większy tłum zbiera się koło krat pałacu. Nie wiemy właściwie, jakie jest jego usposobienie. Do tej chwili stali milcząc przed oknami apartamentu Najjaśniejszego Pana, obecnie dążą coraz więcej pod okna Carewicza. Spuścimy chyba zasłonę. Kilku już wdarło się do parku... a straż jakby zaczarowana, nie widzi ich...

PREZYDENT MINISTRÓW

Nie zasłaniać szyb. Przeciwnie. Czy według rozkazu policji reflektory na latarniach funkcjonują dobrze?

KAMERDYNER

Od kilku dni monterzy próbowali je.

PREZYDENT MINISTRÓW

Czy w razie potrzeby oświetlają zupełnie jasno całą loggię³⁶ i osobę na niej stojącą?

KAMERDYNER

Tak jest, Wasza Światłość.

PREZYDENT MINISTRÓW

O to idzie. A, jeszcze jedno. Czy gobeliny do przerzucenia przez balustradę, do udekorowania balkonu, są w pogotowiu?

KAMERDYNER

Tak jest, Wasza Światłość.

PREZYDENT MINISTRÓW

Gdzie Jego Cesarzewiczowska Mość?

KAMERDYNER

Sygnalizowano przybycie jego w apartamentach carskich. Do tej chwili w nich pozostaje.

PREZYDENT MINISTRÓW

Gdzie jest dziewczyna? Czy wróciła już do swego pałacu?

36 loggia – wnęka w zewnętrznej ścianie budynku, może być otwarta lub zamknięta (przeszklona).

KAMERDYNER

Sonia Iwanowna Bylina znajduje się tutaj – w przyległej komnacie.

PREZYDENT MINISTRÓW

A, doskonale. Odejdźcie.

KAMERDYNER WANIA wychodzi. PREZYDENT MINISTRÓW podchodzi do drzwi sypialni.

PREZYDENT MINISTRÓW

Proszę was, Soniu Iwanowno Bylino – wejdźcie tu na chwilę.

SCENA 6

PREZYDENT MINISTRÓW, SONIA, KAMERDYNER WANIA

SONIA wchodzi jakby strwożona i staje koło drzwi

PREZYDENT MINISTRÓW

Proszę – podejdźcie tu bliżej. I jedno – musicie wyzbyć się wszelkiej trwogi. Muszę rozmówić się tu z wami – nie chcieliście mnie przyjąć u siebie, mimo iż tyle razy pukałem do waszych drzwi. Nie byliście gościnni. Ale trudno. Proszę siadajcie.

SONIA opanowując się

Zdaje mi się, iż my dwoje nie mamy sobie nic do powiedzenia.

PREZYDENT MINISTRÓW

Mylicie się. Właśnie my dwoje mamy bardzo dużo, a właściwie wielkiej wagi spraw do omówienia.

SONIA

Co wspólnego mieć może pan Prezydent ministrów z ubogą kobietą z ludu, jaką ja jestem właśnie.

PREZYDENT MINISTRÓW

Zapomnieliście Soniu Iwanowno, iż to właśnie ten Prezydent ministrów miał szczęście wprowadzić was w te progi.

SONIA

Nie – tego nie zapomniałam nigdy. Jeżeli pan się do tych wspomnień odnosisz – wysłuchać cię mogę. Bo – bądź co bądź... panu jestem winna to, żem poznała szczęście.

PREZYDENT MINISTRÓW

Więc usiądźcie tutaj i pozwólcie mi jak najjaśniej i najkrócej – najtreściwiej wypowiedzieć wam żądanie moje.

SONIA siada na fotelu przy kominku, on naprzeciw niej

PREZYDENT MINISTRÓW

Źle powiedziałem – moje żądanie. Nie ja tu bowiem życzę sobie i nie ja tu pragnę czegokolwiek wyjątkowo. Tu cały kraj i całe państwo, miliony ludzi żądania swe formułują przez moje właśnie usta.

SONIA

Kraj cały? Miliony? Och, panie Prezydencie, czy Wasza Świątłość, czy jak się Wam mówi, nie rozumiem... o co idzie właściwie. Nie dobierajcie słów, mówcie jasno po prostu.

PREZYDENT MINISTRÓW

Skoro tego żądacie. A więc chodzi o to, ażebyście z życia Carewicza usunęli się.

SONIA patrzy na niego przerażonymi oczami

Usunęli się – zupełnie. Zrozumieliście mnie? Zupełnie.

SONIA

po chwili, zmienionym głosem

Ja tak mało miejsca tu zabieram. Ja jeszcze mniej będę miejsca zabierać.

PREZYDENT MINISTRÓW

Ja wiem o tym! Jednak i to mało jest za dużo. Najlepiej usłyszcie całą prawdę.

SONIA

Och! Miejcie litość!

PREZYDENT MINISTRÓW

Musicie. *twardo* Za godzinę może przybędzie do pałacu dostojna narzeczona

Carewicz. Przybędzie na ślub – rozumiecie, Soniu Iwanowno – na ślub, który odbędzie się natychmiast.

SONIA *zasłaniając uszy*

Cicho!... Cicho!... Chwilę tylko... pozwólcie odpocząć.

Opiera głowę o oparcie fotela, zamyka oczy – i tak pozostaje wybladła, zmieniona, nagle postarzała, dysząc ciężko. PREZYDENT MINISTRÓW chwilę patrzy na nią, wreszcie powstaje i przechodzi się po pokoju. We drzwiach zjawia się KAMERDYNER WANIA. PREZYDENT MINISTRÓW podchodzi do niego i pyta cicho.

PREZYDENT MINISTRÓW

Czy co do mnie?

KAMERDYNER

Tak jest. Jego Ekscelencja Leibmedyk pragnie się widzieć z Waszą Świątłością.

PREZYDENT MINISTRÓW

Wprowadź.

KAMERDYNER

Według rozkazu.

wychodzi – za chwilę wsuwa się szybko LEIBMEDYK

SCENA 7

PREZYDENT MINISTRÓW, LEIBMEDYK, SONIA

LEIBMEDYK

Szukam Waszej Świątłości.

PREZYDENT MINISTRÓW *cicho*

Mówcie cicho!

pozostaje przy drzwiach, scena ta winna być zamieniona szeptem

LEIBMEDYK

Katastrofa się zbliża, nic już gasnącego życia wstrzymać nie zdoła.

PREZYDENT MINISTRÓW

Musicie to uczynić za wszelką cenę. Dwie godziny, godzina może – do przyjazdu dostojnej narzeczonej. Młoda para musi otrzymać najwyższe błogosławieństwo.

LEIBMEDYK

Żądacie rzeczy niemożliwych. Nie mogę przyjąć żadnego zobowiązania.

PREZYDENT MINISTRÓW

W każdym razie wszystko, co zajdzie, musicie utrzymać w najgłębszej tajemnicy. Jedynie – ja – rozumiecie?

LEIBMEDYK

Tak. To przyrzec mogę.

PREZYDENT MINISTRÓW

Gdzie Carewicz?

LEIBMEDYK

W salce przytykającej do sypialni. Czeką na przebudzenie Najjaśniejszego Pana.

PREZYDENT MINISTRÓW

Nie dopuście... za żadną cenę.

LEIBMEDYK

Gdzie was szukać?

PREZYDENT MINISTRÓW

Jeżeli nie w apartamentach Najjaśniejszego Pana – to tu.

LEIBMEDYK

Odchodzę.

Wychodzi szybko. PREZYDENT MINISTRÓW podchodzi do SONI, która siedzi jak martwa, wciąż z oczyma zamkniętymi. Zbliża się do niej delikatnie, układa nie i mówi cicho.

PREZYDENT MINISTRÓW

Soniu Iwanowno, *dotyka jej ramienia* Soniu Iwanowno! Czas mija – musicie stąd odejść.

SONIA *wyrywając się z odrętwienia*
Ach! Tak...! A więc to prawda – prawda.

PREZYDENT MINISTRÓW
Pojmuję wasz ból i smutek, pojmuję w zupełności.

SONIA *starając się opanować*
Nie! Wy tego pojąć nie możecie. Na to trzeba mieć serce, być człowiekiem, a wy przecież...

PREZYDENT MINISTRÓW
siada znów naprzeciw niej

Ach tak! Naturalnie, wiadoma rzecz, dyplomata – trochę trocin, drzewa, sprężyn. Poza tym nic! A przecież, jak wy się mylicie, Soniu Iwanowno. Jak wy mnie nie znacie. Pomyślcie, przecież nic łatwiejszego usunąć was z tej drogi – ot, zatelefonować, zjawią się agenci, zwiążą, wyniosą, ukryją... A ja inaczej zupełnie postępuję. Mówię do was serdecznie, szczerze – mało tego – ja wam kładę w ręce wielką misję, nie tylko, że usuniecie się z życia Carewicza, ale wy sami jeszcze musicie dalszym życiem jego rozporządzić.

SONIA
Nie rozumiem!

PREZYDENT MINISTRÓW
Musicie go nakłonić, aby o was zapomniał, zaślubił swą narzeczoną, nie zwłóczył ani chwili, jak wymaga tego ważność i tragedia, przez którą przechodzimy.

SONIA
Tego ode mnie nie wymagajcie! Pragnę tylko dobra Aloszy – a wiem, że on jedynie ze mną i w ciszy będzie szczęśliwy. Pozwólcie mu ustąpić i żyć jak człowiekowi, nie jak carowi. On to już zrozumiał – zresztą, on to już dawno miał w duszy.

PREZYDENT MINISTRÓW
Być może – lecz tego mu nie wolno pod żadnym pozorem. On musi poświęcić się dla dobra swego narodu, on musi objąć tron po ojcu, który może...

SONIA *gorzko*

Dla dobra? Dla zła chyba. Och, Wasza Świątłość, jam proste dziecko ludu, ale ja wiem, że nie od tronu spodziewać się należy zbawienia ludzkości.

PREZYDENT MINISTRÓW

Słuchajcie mnie, Soniu Iwanowno! Wy patrzycie bystro, ale nadto prosto na skład rzeczy najwyższych. Ja zaś pokrewny wam jestem i zapatrywaniem, i tą miłością, jaka mnie do was wszystkich wiąże. Jeżeli teraz nie śmie być ani chwili pauzy, ani chwili luki w formie rządu – to ci, którzy wreszcie lud Kochają i dobra jego pragną istotnie, jak ja – jak wy, Soniu – powinni wyteńczyć wszystkie siły, aby z chwilą ostatniego tchnienia kończącego swe istnienie samodzielnicy, w tej samej chwili stanął przed tłumem drugi – do którego on przywykł, którego jedynie on uzna jeszcze, zaakceptuje bez wahania. Czy sądzicie Soniu, że ja nie znam duszy tego tłumu, który tam ciśnie się do krat pałacu i patrzy w okna niepewny i tajemniczy? Ależ ja żyję z niemi, dyszę ich myślą i pragnieniem, które nadejść muszą...! I nadejdą!

po chwili

Lecz gdyby teraz nadeszły – przyszłyby jak grom, zbyt wcześnie! Lud jeszcze nie jest dostatecznie przygotowany, uświadomiony – i pożogą, trupami, nie-szczęściem zaścieliłaby się ta ziemia, a to, co jest jeszcze fermentem, stałoby się krwawym chrztem bratobójczej walki. Czy słyszycie mnie, Soniu?

SONIA *zmienionym głosem*

Słyszę.

PREZYDENT MINISTRÓW

I wierzycie w szczerłość słów moich?

SONIA

Wierzę!

PREZYDENT MINISTRÓW

Och! Dziękuję wam Soniu Iwanowna. Dzielna z was kobieta i wielkie macie, i piękne serce. Cóż łatwiejszego byłoby dla was, jak zostać morganatyczną

żoną³⁷ Carewicza, który strącony dla was z tronu, pędziłby śmieszne życie rentiera, i starzał się jak przeciętny mieszczuch. Kto wie jednak, czy kiedykolwiek nie powstałby w nim żal dla was, że przez was to zdezerterował ze stanowiska, na które los go wyniósł. Natomiast, jak piękne są wasze role dwojga serc, które dobrowolnie składają na ołtarzu obowiązku swe egoistyczne cele, w gruncie rzeczy tak marne i żadne w porównaniu z tym, co dla milionów ludzkich istnień uczynić mogą.

SONIA głuchym głosem

Nie dla takiej marnej chwały uczyniłabym to, czego ode mnie żądacie, lecz dlatego, iż istotnie prostym rozumem moim widzę całe niebezpieczeństwo, które groziłoby w razie usunięcia się Aloszy. I to wiem jeszcze, że on nie-szczęsny, będzie tą jeszcze jedną lalką, na którą było miejsce tylko w chwili przełomu, niczym więcej. I kto wie, jakie będą dalsze jego losy. Lecz ani on, ani ja – nie wchodzimy tu w rachubę... Jesteśmy niczym, pyłem – zerem.

z rezygnacją

Niech tak będzie!

PREZYDENT MINISTRÓW z błyskiem radości w oczach

Lecz uczynicie to zaraz, bo Carewicz musi być w chwili śmierci swego poprzednika żonaty. Tak wymaga ustawa. Rozumiecie?

SONIA z ciężkim westchnieniem

Rozumiem!

SCENA 8

SONIA, PREZYDENT MINISTRÓW, CAREWICZ

CAREWICZ, który wpada ukrytymi drzwiami w płaszczu i czapce, widzi PREZYDENTA MINISTRÓW przy kominku naprzeciw SONI, która siedzi z głową opartą na rękach.

37 morganatyczny związek – małżeństwo zawarte przez członka rodu arystokratycznego lub dynastii z osobą uznawaną za będącą niższego stanu, która nie zyskuje wskutek tego awansu społecznego, a potomstwo z tego związku nie ma praw do tytułów, funkcji i dóbr dziedziczonych w rodzinie małżonka wyższego stanu.

CAREWICZ

Sonia tu? z wami, Księżę? Co chcecie od niej?

podchodzi szybko do SONI

Spójrz na mnie, Soniu Iwanowno!

SONIA patrzy na niego z wyrazem wielkiej boleści

CAREWICZ

Oczy ma łzami zalane. Powiedz mi pan, co się tu dzieje?

PREZYDENT MINISTRÓW

To ciężka chwila do przebycia – dla nas wszystkich.

wskazuje na SONIĘ

Ja ustępuję – Sonia Iwanowna ma głos.

CAREWICZ *niespokojny*

Nie rozumiem... nie wiem, słyszeć nie chcę... nie mogę. Wpadłem tu jedynie po to, aby ci powiedzieć, abyś natychmiast poszła do siebie, do swego pałacu, gdzie się zamknij i czekaj na mnie. Tłum się gromadzi dookoła pałacu coraz silniejszym pierścieniem – idź tym przejściem.

wskazuje na drzwi tajemne

Na dole idź prawym korytarzem, znajdziesz drzwi zawarte od wewnątrz – otwórz je – prosta ścieżka wśród cyprysów powiedzie cię do furtki i na ulicę. W ślad za tobą i ja podążę. Może za pół godziny... za godzinę... To będzie zależę. Idź... I bądź spokojna, bez troski. My się już nie rozstaniemy...

PREZYDENT MINISTRÓW usuwa się w głąb – wreszcie otwiera drzwi balkonowe i znika w nich na chwilę.

CAREWICZ

Każ mi przygotować apartament u siebie. Odtąd tam na mnie będziesz czekała.

patrzy na nią z miłością

Ty... żono moja!

SONIA
rzuca się ku niemu z krzykiem

Alosza!...

W tym krzyku powinien mieścić się cały bezmiar miłości, do jakiego jest zdolne serce kobiety i rozpacz bezdenna wobec bezsilności swojej. CAREWICZ całuje ją gorączkowo, ona jego przeważnie po rękach.

CAREWICZ
Idź...! idź...!

CAREWICZ powraca do drzwi tajemnych, już w drzwiach
Pamiętaj – na prawo – korytarz lewy prowadzi w głąb pałacu.

SONIA *gorączkowo*
Tak, tak.

CAREWICZ
I spiesz się – tłum czegoś niespokojny, wzburzony, o! Słyszać ich pomruk...

SONIA
Ja się ich nie boję, Alosza!
CAREWICZ *odchodzi*

SONIA
biegnie do drzwi balkonowych, mówi
Proszę – Wasza Światłość, pozwólcie na chwilkę.

PREZYDENT MINISTRÓW wchodzi z balkonu na scenę.
PREZYDENT MINISTRÓW
Carewicz odszedł? Powiedzieliście mu całą prawdę?

SONIA
Nie! Nie powiedziałam mu nic.

PREZYDENT MINISTRÓW
Jakże to?

SONIA

Żądacie ode mnie rzeczy nad moje siły. Teraz wy mnie zrozumcie. Zabraliście mi tu wszystko! Wszystko! Moją dziecięcą radość i wiarę w życie, mój spokój serdeczny kobiecy, a teraz chcecie, ażebym wyzbyła się już cienia litości nad sobą i nad nim nieszczęsnym! Ja napiszę. Dajcie mi papier, ołówek. Może macie notatkę przy sobie...

PREZYDENT MINISTRÓW

Chcecie napisać?

SONIA

To będzie łatwiejsze. List mu doręczą – ja sama zniknę naprawdę z jego życia.

PREZYDENT MINISTRÓW

Zatelefonuję – da się wam agentów, ukryję was – potem wywiezie się was za granicę.

SONIA *wyniośle*

To zbyt cenne – ja mam pewniejsze schronienie.

PREZYDENT MINISTRÓW

Służę wam, Soniu Iwanowno.

podaje jej kartkę wydartą z notatnika i ołówek

SONIA

Dziękuję. Za chwilę wrócę.

PREZYDENT MINISTRÓW

Spieszcie się.

SONIA

Nie potrzebujecie mi tego przypominać.

wchodzi do sypialni

SCENA 9

PREZYDENT MINISTRÓW, WIELKI KSIĄŻĘ JERZY, *później* SONIA,
KAMERDYNER, LOKAJE

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Dlaczego tu jeszcze jesteście? Tam tłum coraz większy, ciśnie się i gromadzi dookoła krat i głównej bramy – chciałem odjechać do siebie, niepodobna... Czego oni właściwie chcą?

PREZYDENT MINISTRÓW

Tego, nad czym ja teraz tutaj pracuję...

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

No dobrze – ale ja się stąd nie mogę wydostać.

PREZYDENT MINISTRÓW *z ironią*

Cóż to, boicie się ich?

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Ani na chwilę bym się nie bał, gdyby wszystko szło po mojej myśli. Zmobilizować wojsko i puścić na nich. Parę porządných salw i wszystko będzie w porządku.

PREZYDENT MINISTRÓW

Myli się Wasza Cesarska Wysokość – dopiero wtedy zaczęłyby się nieporządek. To nie są rozruchy głodowe, na które rzeczywiście wyśmienitym środkiem jest wojsko. To coś całkiem innego. Ten tłum jest głodny, ale czego innego... to mu dać jako żer potrzeba... Więc raczy Wasza Cesarska Wysokość pozwolić, że się tym zajmujemy.

dzwoni, wchodzi KAMERDYNER

Przynieście gobeliny!

LOKAJE *wnoszą zwinięte gobeliny*

Gobeliny rozwiesić na balustradzie, przygotować płaszcz biały Carewicza i kask z pióropuszem, niech będzie tu – pod ręką.

KAMERDYNER

Czy światła na balkonie zaświecić?

PREZYDENT MINISTRÓW

Nie, jeszcze. Skoro tłum wtargnie do parku i zacznie się ustawiać już pod loggią – wtedy dopiero światła zapłoną.

LOKAJE rozwieszają gobeliny na balustradzie, KAMERDYNER z nimi.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Co myślicie przedsiębrać?

PREZYDENT MINISTRÓW

Przed wszystkim należy się zająć imaginacją tłumy. Wydam rozporządzenie, aby zwiększono ilość agentów prowokacyjnych. Niech robią wzburzenie i odciągną tłum od okien Najjaśniejszego Pana i doprowadzą tutaj. Wtedy pokazemy im Carewicza – na białą, żeby go lepiej było widać, i w kasku, ażeby się wydawał jeszcze wyższy. To będzie bardzo dekoracyjnie i na razie weźmie ich... W tej chwili przychodzi mi myśl, żeby koło niego postawić jego narzeczoną. To wzmocni efekt. Tłumowi kobieta zawsze imponuje.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Mylicie się... to osłabi efekt.

PREZYDENT MINISTRÓW

Pozwólcie mi powiedzieć, iż ja się nie mylę. Muszę wydać rozporządzenie, aby pojazdy wprost z dworca zajechały pod ten podjazd. Lecz na to trzeba miejsca oczywiście...

idzie do drzwi sypialni.

Soniu Iwanowno, czas najwyższy.

SONIA staje w drzwiach w płaszczu czarnym, w kapturze na głowie. W rękę trzyma ćwiartkę papieru zapisaną i złożoną. Jest blada, spłakana i drżąca. Równocześnie z balkonu schodzi KAMERDYNER.

SONIA

Idę już, panie Prezydencie. Nie trzeba mnie wypędzać. Ja idę sama... dobrowolnie.

PREZYDENT MINISTRÓW

Dajcie mi list, wręczę.

SONIA
cofając rękę

Nie wy! Nie wy! Zranicie mu serce na resztę życia. Zabijecie go. To musi uczynić ktoś, kto ma serce – ktoś, kto ból prosto, szczerze pojmuję...

dostrzega KAMERDYNERA

O, Wania! Chodźcie tu Iwanie Piotrowiczu. Wy jedni – wy prości, serdeczni. Dzieje się smutna rzecz..., straszna... Ja idę stąd... tak być musi... Oto list mój do naszego małego – oddajcie mu to ostrożnie – nie zrańcie jego duszy, to główne.

KAMERDYNER

Ach, Soniu Iwanowno! Jakaż to ciężka chwila...

SONIA

Tak być musi, Iwanie Piotrowiczu. Tu przyjdzie inna kobieta – taka, którą mu sądzono.

KAMERDYNER

A wy? Gdzie wy idziecie?

SONIA

Wracam do swoich – z daleka patrzeć będę, co z nim nieszczęsnym! Gdy mu kiedyś będzie bardzo źle – oddajcie mu ten pocałunek ode mnie. Nie po lokajsku w rękę całujcie go – lecz w czoło – jakby go skrzydłem otulić. Bywajcie zdrowi.

KAMERDYNER chowa list

KAMERDYNER

Odprowadzę was.

SONIA

Nie trzeba – idę skrytymi drzwiami wprost już na ulicę. Jak morze ona mnie pochłonie.

spogląda po ścianach

Och! Ciężko. Jak ciężko!

Odchodzi skrytymi drzwiami. Wszyscy stoją chwilę nieruchomo patrząc za nią. Wicher wyje, drzewa w parku aż się ruszają pod tym powiewem – liśćmi miecie na scenę.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY do PREZYDENTA MINISTRÓW

To była ta ona – prawda?

PREZYDENT MINISTRÓW

Tak!

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Dużo dostała?

PREZYDENT MINISTRÓW

Nie!

Odchodzi głównymi drzwiami. Słysząc jak woła „telefon”! Pierwszy lokaj wnosi biały płaszcz kirasjerów Carewicza i kask z pióropuszem. KAMERDYNER odbiera.

SCENA 10

PREZYDENT MINISTRÓW, WIELKI KSIĄŻĘ JERZY, PROKURATOR
SYNODU, później LEIBMEDYK, KAMERDYNER

Prokurator Synodu³⁸ wygolony, twarz i cera eunucha, frak, sposób chodzenia i patrzenia bokiem, raczej agenta policyjnego jak dostojnika państwowego. Wszedłszy, składa głęboki ukłon WIELKIEMU KSIĘCIU. W ślad za nim wchodzi PREZYDENT MINISTRÓW.

PREZYDENT MINISTRÓW

Pozwoliłem sobie wezwać was do apartamentów Carewicza. Za chwilę przybędzie jego dostojna narzeczona. Ukaże się razem z nim tłumowi z tego właśnie balkonu.

38 prokurator synodu – synod był kolegialną instytucją zwierzchnią Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, ustanowioną w 1721 roku przez cara Piotra I w celu poddania jej władzy państwowej. Synodem kierował świecki prokurator.

PROKURATOR SYNODU

Pięknie.

PREZYDENT MINISTRÓW

Zechcecie być świadkami ich powitania.

PROKURATOR SYNODU

Ślicznie.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY *do PREZYDENTA MINISTRÓW*

Dlaczegoście nic nie dali tej dziewczynie?

PREZYDENT MINISTRÓW

Ach, Boże! Byłaby nie wzięła.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

Trzeba było chociaż zaproponować.

PREZYDENT MINISTRÓW

Byłaby wtedy może nie ustąpiła.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

No, ale to świństwo.

PREZYDENT MINISTRÓW

Są czasem czyny wielkiego poświęcenia, które mają wszelkie pozory świństwa.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

No, wiecie, to ona mi imponuje. Pierwsza kobieta w życiu. *patrzac na PROKURATORA SYNODU* Wyrzucicie stąd tę starą dewotkę, bo wszystko się we mnie przewraca, kiedy się na nią patrzę.

PREZYDENT MINISTRÓW

Niepodobna! Musi tutaj być koniecznie.

WIELKI KSIĄŻĘ JERZY

No, to ja odchodzę... Fabrykuje się tutaj błoto na wielką skalę. Bywajcie zdrowi...!

Odchodzi szybko trzaskając drzwiami, mija się w progu z LEIBMEDYKIEM, który wbiega wzruszony. LEIBMEDYK wpada i biegnie prosto do PREZYDENTA MINISTRÓW.

LEIBMEDYK *mówi przyciszonym głosem*
Wasza Światłość! Stała się rzecz nieunikniona.

PREZYDENT MINISTRÓW

Najjaśniejszy Pan?

LEIBMEDYK

Nie żyje! W chwili, gdy przeprowadziłem go na fotel i posadziłem, zakończył życie. Oparłem go na lasce – zasłoniłem parawanem, przyciemniłem światło. Nikt prawdy nie wie. Wszystkim oznajmiłem, że dostojny chory zapadł znowu w lekką somnolencję. Co dalej począć...

PREZYDENT MINISTRÓW

Przede wszystkim nie traćmy głowy. Chodzi jedynie o to, aby młoda para została pobłogosławiona. Uwiadomi się jedynie Archimandrytę³⁹ o istotnym stanie rzeczy. Pilnujcie, aby dostojny trup utrzymał się w pozycji. Archimandryta weźmie jego rękę i położy na głowie księżniczki i syna. Ubierzcie tę rękę w rękawiczkę, aby nie odczuto nic. Gdzie Carewicz?

LEIBMEDYK

Chciał mówić z Najjaśniejszym Panem, ale dowiedziawszy się ode mnie, iż usnął – wybiegł gdzieś jak szalony.

KAMERDYNER

wchodzi głównymi drzwiami, podchodzi do PREZYDENTA MINISTRÓW

Wasza Światłość pozwoli, zawiadomiono telefonicznie, iż dworskie pojazdy z dostojną narzeczoną i wysokimi osobami, opuściły właśnie dworzec kolejowy i jadą do pałacu.

PREZYDENT MINISTRÓW

Dobrze! Otwórzcie drzwi na rozcież – zaświećcie wszystkie światła u podjazdu. do LEIBMEDYKA Zejdźcie na dół. Czuwajcie! My tam przybędziemy za chwilę. Przyślijcie też ministra spraw wewnętrznych, nie wtajemniczając go w nic.

39 Archimandryta (gr. *archimandrites* – przełożony owczarni) – przełożony większego klasztoru lub kilku klasztorów; tytuł obecnie używany w Kościele prawosławnym.

LEIBMEDYK

Według rozkazu.

Wychodzi szybko. Zapalają się wszędzie światła, otwierają drzwi, widać oświetloną klatkę schodową, na której ustawiają się błękitni Czerkiesi.

PREZYDENT MINISTRÓW

Zaświecić żyrandol!

żyrandol zapala się

SCENA 11

KAMERDYNER, CAREWICZ, PROKURATOR SYNODU,
PEZYDENT MINISTRÓW

CAREWICZ

Wpada szybko w płaszczu i czapce. Przebiega salę – otwiera drzwi do sypialni, zagląda, wraca i woła.

Gdzie ona?

KAMERDYNER

Raczej się uspokoić, błagam was, raczej się uspokoić...

CAREWICZ *jeszcze gwałtowniej*

Gdzie ona?

KAMERDYNER

Posłuchajcie, raczej posłuchać.

CAREWICZ

Byłem u niej w pałacu, nie ma jej. Ciemno. Wszystko jakby wymarło. Tu jej nie ma... Czy uciekła?

KAMERDYNER

Nie uciekła, ona odeszła...

PREZYDENT MINISTRÓW zarządził otwarcie na rozcież drzwi balkonowych, zapłonęły światła po obu stronach balkonu. Biję blask z nich jasny, teatralny.

*Przez otwarte główne wejście wchodzi MINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH,
widać jak wita się z PROKURATOREM SYNODU.*

CAREWICZ do Wani

Dlaczego odeszła?

KAMERDYNER

Wy przecie wiecie, Cesarska Wysokość, ona tu zostać nie mogła... To nie po temu chwila.

CAREWICZ gorączkowo

Ale ona wróci?

PREZYDENT MINISTRÓW

zbliża się układnie z płaszczem i kaskiem

Wasza Cesarska Wysokość raczy przywdziać na siebie ten strój i pokazać się ludowi, który oto przez otwartą bramę, spod okien apartamentu Najjaśniejszego Pana, nadciąga pod okna Waszej Cesarskiej Wysokości.

CAREWICZ

Czego chcecie? Czego?

PREZYDENT MINISTRÓW

Chodzi o krótką chwilę, o ukazanie się tłumowi. Oto – głos jego cichy, ale wyraźnie słychać, czego żądają...

słychać istotnie pomruk tłumu, łomot łamanych gałęzi

CAREWICZ

Zostawcie mnie w spokoju! Nie wyjdę!

pada na fotel i zakrywa twarz rękami

KAMERDYNER cicho do PREZYDENTA MINISTRÓW

Raczej nas zostawić na chwilę... i darujcie, że ja...

PREZYDENT MINISTRÓW już zdenerwowany

Oddajcie mu list, czy co – już nie wiem.

KAMERDYNER

Tak... tak...

PREZYDENT MINISTRÓW składa obok płaszcz i kask – i oddala się do PROKURATORA SYNODU i MINISTRA SPRAW WEWNĘTRZNYCH.

PROKURATOR SYNODU

Wyjść nie chce? Czemu nie wychodzi?

PREZYDENT MINISTRÓW

Jest zdenerwowany.

PROKURATOR SYNODU

To przecie konieczne. Może kogo za niego przebrać.

PREZYDENT MINISTRÓW

Ach! Niepodobna. Tłum go musi doskonale widzieć.

KAMERDYNER

Zachodzi z tyłu za siedzącą nieruchomo na fotelu CAREWICZA, pochyla się nad nim i mówi serdecznym i ciepłym głosem.

Wasza Cesarska Wysokość, Sonia Iwanowna odchodząc, zostawiła na moje ręce list do was.

CAREWICZ

Ach! Dajcie!!! Dajcie!

chwytając list, usiłuje przeczytać, drży cała – nie może, oddaje list WANI

Nie mogę! Nie widzę! Czytaj!

KAMERDYNER WANIA pochylony nad nim, czyta z całą wielką siłą uczucia list SONI. CAREWICZ wsłuchuje się w niego. Gra twarzy artysty powinna tu wyrażać wszystko, tak samo jak intonacja głosu artysty grającego KAMERDYNERA, nada ton całej scenie.

KAMERDYNER czyta

„Alosza! Ty cierpisz, ty płaczesz! Lecz z bólu tego przyjmij chrzest, boś do tej chwili nie wiedział, co prawdziwy ból i jak to serce boleć może. Ja idę od ciebie

Alosza, bo muszę, bo tak nam obojgu każe nasz wielki i święty obowiązek, jaki na nas życie włożyło. Szczęśliwi my byli, choć krótko, ale bardzo szczęśliwi i to niech nam już na resztę życia wystarczy, bo my widać nie po to się urodzili, aby zaznać szczęścia, lecz nie żyć nim. Koło ciebie stanie druga kobieta – podaj jej rękę – może ona będzie ci wierna i dobra, jak ja byłam Alosza. Tylko ona będzie mądrzejsza, bardziej uczona i odpowiedniejsza dla ciebie, Alosza. Lecz przez to samo już ma prawa do ciebie, jakich ja nie miałam. Ze mną czekało cię wyrzeczenie się wszystkiego, ona ci pomoże do spełnienia Twego obowiązku, jakim jest wstąpienie Twoje na tron Alosza. Ja ciebie złożyłam na ofiarę, Ty mnie oddaj na ofiarę także. To będzie nasza wspólna modlitwa. Ostatnia modlitwa naszych serc! Wyjdź do tłumu Alosza, nie lękaj się nas, bo ja tam jestem pomiędzy nimi i czekam na ciebie. Stań przed tłumem i choćby nawet podniosła się jakaś mordercza ręka na ciebie, to zginiesz w dobrej sprawie, i za swoją, i naszą wolność.

CAREWICZ przy tych słowach podniósł się powoli, co widząc WANIA, narzuca na niego płaszcz, podaje mu kask, który on wszakże nie kładzie na głowę. KAMERDYNER czyta dalej – cofając się do balkonu i prowadząc jakby zahipnotyzowanego CAREWICZA na balkon.

Oto wszystko, co mam Ci powiedzieć. Alosza, i Ty zostaniesz dla mnie zawsze wszystkim, miłością i świętością moją... Kochaj mnie w duszy tłumu – to Twoja Sonia, ta dusza tego tłumu, Alosza! Alosza!”

CAREWICZ wyszedł prowadzony przez KAMERDYNERA na balkon. WANIA cofnął się i zostawił go tak stojącego, oblanego blaskiem światła, w płaszczu, zwróconego profilem. I tu następuje powolna przemiana na twarzy i w postawie CAREWICZA. Przywitany przez szmer tajemniczy i nieokreślony tłumu, drętwieje, zmienia się i starzeje w mgnieniu oka. Jakaś maska obojętności i nieokreślonej melancholii pozostaje już przywarta do jego twarzy. Pochyla się i gnienie w nim młodość. Pozostaje tylko manekin, lalka wypchana trocinami, która ma grób w sobie. KAMERDYNER WANIA usunął się pod ścianę i patrzy na niego ze smutkiem przez chwilę. Słychać turkot pojazdów.

PREZYDENT MINISTRÓW

Pojazdy z dostojnymi osobami przybyły z dworca.

Przez otwarte drzwi wejściowe widać wstępującą po schodach NARZECZONĄ CAREWICZA, WIELKIE KSIĘŻNE, WIELKICH KSIĄŻĄT – ambasadorów, ministrów. WIELKIE KSIĘŻNE w futrach, w kapeluszach.

SCENA OSTATNIA

NARZECZONA CAREWICZA wspaniała, wysoka, rasowa młoda kobieta, z wyrazem pewnej dumy i wyniosłości na twarzy, i w postawie. Odziana na biało – długi tren, futro białe narzucone na ramiona, kapelusz biały. Wchodzi, zatrzymuje się i stoi nieruchomo. Za nią księżne itd.

PREZYDENT MINISTRÓW
podchodzi do balkonu

Wasza Cesarska Wysokość raczy wyjść na powitanie swej dostojnej narzeczonej, zechce jej podać rękę, wyprowadzić na balkon i później udać się do apartamentów Najjaśniejszego Pana, po otrzymanie najwyższego błogosławieństwa.

CAREWICZ bez słowa, jak automat, zaczyna schodzić z balkonu, kierując się ku swej NARZECZONEJ. Idzie wolno, pochylony, zgaszony, zmieniony. Ona czeka na niego wyniośle, spokojnie. Wszyscy obecni kłaniają się nisko. CAREWICZ, nie patrząc na księżniczkę, pochyla się przed nią ruchem automatu, ona jak lalka kłania się mu nisko. CAREWICZ podaje jej rękę. Wkłada kask na głowę i wyprowadza ją na balkon. Wicher wyje, tłum na dole szemrze. Tych dwoje stoi obok siebie nieruchomo jak dwie lalki, cali biali w swych szatach, zwrócenie do tłumu. Wszystko to odbywa się w grobowym milczeniu ze strony obecnych. Wicher miecie zeschnięte liście i rozwiewa pióra na kapeluszu NARZECZONEJ i pióropuszu CAREWICZA. Obecni ufurmowali szpaler. Atmosfera rozpoczynającej się tragedii dwojga obcych sobie serc zaczyna się w ten straszny wieczór jesienny.

ZASŁONA POWOLI ZAPADA

KONIEC

Asystent

Żart sceniczny w 3 aktach

Osoby

DR RACZKIEWICZ
ASYSTENT HENRYK MACHOŃ
PREZES SOŁTYS
NADRADCA MAZGAJSKI
RADCA ZABIELSKI
PORSOWSKI, medyk
DOKTOROWA BARBARA RACZKIEWICZOWA
DOKTOROWA ORZECZ
RADCZYNI KONOPAJTYS
NADRADCZANKA MAZGAJSKA
PANNA IRENA
MECENASOWA BIERSTOCKEL
LILUSIA BIERSTOCKEL
PANNA STASIA
REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA
RÓZIA, masażystka
ZOSIA, pokojowa
GUSTAWA STRZYGOŃ
STEFAN, służący
POKOJÓWKA

Rzecz dzieje się w zakładzie przyrodoleczniczym DRA RACZKIEWICA „Gencjana”.

AKT I

Scena przedstawia przedsiónek pensjonatu „Gencjana” z widokiem na taras. Z tarasu jest widok na wspaniały sad. Po obu stronach sceny drzwi prowadzące z prawej do gabinetu dra Raczkiewicza, z lewej do pracowni i gabinetu elektrycznego, a zarazem gabinetu asystenta. Na scenie porozrzucane leżaki z kocami, poduszkami – garnitur ogrodowy ze stolikiem, po prawej przy ścianie szafka z książkami zamknięta. Obok niej schodki przysunięte do ściany, dla wyjmowania książek. Także mały stolik – na nim książka do zapisywania wziętych książek – przybory do pisania, dwie puszkę do wrzucania pieniędzy za wypożyczone książki. W kącie po prawej, jak tron, waga do ważenia pacjentów. Na ścianie tablice z sentencjami. I tak:

1. Zdrowa dusza w zdrowym ciele.
2. Zwróć się do przyrody, tam twoje zbawienie.
3. Słońce, światło, powietrze, dieta – uzdrowią cię.
4. Gdy wchodzisz w te progi – zbądź trosk – uśmiech twoim udziałem.
5. Unikaj jedzenia, ono niszczy nerwy.

Pod ścianami tu i ówdzie przysunięty stolik do gry w karty. Na chwilę przed podniesieniem zasłony słychać rzępolącą muzykę żydowską, skoczną polkę. Gdy zasłona idzie w górę, widać śliczny wschód słońca, cały złoty, oblewający scenę uroczym blaskiem. Scena jest dłuższą chwilę pusta – wreszcie na tle tego blasku, światła i ciepła, zjawia się Różia biegnąca z głębi sadu. Chwilę dziewczę stoi tak ozłocone, jakieś smutne i wahające się, jakby miało ochotę wrócić. Lecz nagle głośny wybuch śmiechu, kilka głosów kobiecych, słychać brawa i głos Henryka, liczący takt – raz, dwa – raz, dwa. Różia prostuje się, zatyka chwileczkę uszy i biegnie w stronę szafy.

SCENA 1

RÓZIA, PREZES SOŁTYS

Jest to młoda, smukła dziewczyna, o szlachetnym wyrazie oczu i ust. Odziana jest w spódnicę granatową, wełnianą, po kostki, i białą batystową bluzkę z długimi rękawami rozciętymi do łokcia dla wygody – i powiewającymi za każdym jej ruchem jak skrzydełka. Włosy ma ciemne, gładko uczesane, przepyszne, spięte na karku w węzeł. Spod spódnicy widać gołe nóżki w sandałach. Całość bardzo dziewczęca i bardzo kobieca. Jest prawie ciągle smutna i mówi cichym, miłym głosem.

Gdy głosy kobiet milkną powoli gamą histerycznych śmiechów, rozgdakanych kumoszek, RÓZIA wraca na próg sieni, patrzy znów w sad i nagle ładnym, miłym gestem posyła w sad pocałunek z obu rąk. Cała dusza zbudzona dziewczęcia jest w tym geście. Podpatrzy ten gest PREZES SOŁTYS, idący z przeciwnej strony sadu. I nagle staje przed RÓZIĄ uśmiechnięty pobłażliwie i sympatycznie.

PREZES SOŁTYS

Za kim? czy dla kogo?

RÓZIA chwilę zmieszana

Ach! Nic... dla nikogo!

PREZES SOŁTYS

Tak w przestrzeń?

RÓZIA

Dla słońca.

PREZES SOŁTYS

To ładnie...

RÓZIA

Ot, tak... zwyczajnie...

PREZES SOŁTYS

I całkiem naturalnie w pani wieku.

RÓZIA

Słońce świeci dla wszystkich.

PREZES SOŁTYS

Tak... ale... zależy jak działa...

RÓZIA

Chyba zawsze jednak.

PREZES SOŁTYS

Ho! Ho! Jest pewna różnica.

RÓZIA

Panu Prezesowi zostawić którą z gazet?

PREZES SOŁTYS

Jaką bądź i tylko jedną. Dostyc tych szmat mam przy cenzurze. Niech tym paniom służą do próbowania żelazek. Wystarczy. Idę trochę odpocząć, a potem przyjdę po ową gazetę – o ile mnie nie zaciągną do sukiennego, zielonego pola.

RÓZIA

To niech pan nie gra.

PREZES SOŁTYS

Dla formy. Ba, właściwie co będę robić? Starość panienko, starość, to i karty – damy papierowe – te kosza nie dadzą. Są cierpliwe.

RÓZIA

Pan Prezes nie taki stary.

PREZES SOŁTYS

Wolę ja to sobie sam powiedzieć, niż żeby mi to ktoś inny powiedział. W tym logika... o! Pa!

odchodzi na lewo

SCENA 2

RÓZIA, potem DR RACZKIEWICZ

RÓZIA otwiera szafkę z książkami, ustawia stolik, krzeselko, przysuwa schodki.
Wchodzi DR RACZKIEWICZ.

DR RACZKIEWICZ

Wysoki, chudy, kościsty – usiłuje nadać sobie ton i powagę. W istocie cień żony
i ASYSTENTA – ubrany jasno, bosy, idzie z sadu z drągiem gimnastycznym
w rękę, zmęczony, rzuca drąg w kąt i mówi przez zęby.

Psiakrew! spostrzega RÓZIĘ Czemu pani opuściła boisko?

RÓZIA

Chciałam uporządkować książki.

DR RACZKIEWICZ

W kontrakcie ma pani wymówione branie udziału w gimnastyce. Tu chodzi
o liczbę – z miasteczka przychodzą się przypatrywać. Zawsze wygląda więcej
o jedną pacjentkę. Ma pani te flaszeczki wymyte?

RÓZIA

Oto są.

podaje mu flaszeczki

DR RACZKIEWICZ

Po co pani przylepiła etykiety? Ja sam to zrobię. Wszystkim sam muszę się zajmować.

RÓZIA

Pan Asystent mówił...

DR RACZKIEWICZ

Tu ja, nie pan Asystent, dyrektor! Dlaczego pani nie jest jasno ubrana i nie
w kostiumie, tylko w długiej spódnicy? RÓZIA milczy Ja pani mówiłem, że
pani ma także chodzić do kolan.

RÓZIA

Jako z personelu...

DR RACZKIEWICZ

Właśnie – jeszcze krócej – dla przykładu. Potem godziła się pani przefarbować włosy na jasno... Pani wie, że u mnie personel musi być jasny blond. To działa wesoło, daje ton. Ciemne włosy sprowadzają melancholijny nastrój.

RÓZIA

Już nie mam wody utlenionej.

DR RACZKIEWICZ

A co? A co? A do czego Asystent – nie zapisze, nie sprowadzi. Tylko zęby suszy. On by do tej szczotki na schodach flirty urządzał, a o obowiązkach nie myśli... Ja sam wszystko. Jak woda przyjdzie, niech pani przypilnuje, żeby dziewczyny usługujące miały dobrze złote głowy. Jak marchew. I sama także... To konieczne...

SCENA 3

Ciż sami i STEFAN

Śmieszny typ, bose nogi do kolan, włosy nierówno jasno zrobione – wnosi gazety i listy.

DR RACZKIEWICZ

Jest co?

STEFAN

Listy.

DR RACZKIEWICZ

Nie miej takiej grobowej miny od rana. Wesoło, nie spode łba. Personel winien być wzorem – półnagi, jasnowłosy i wesoły. Zrozumiano?

STEFAN z westchnieniem

Zrozumiano!

DR RACZKIEWICZ

I nie wzdychać. *pootwierał listy* Pani odpisze – nie, tylko powysyłać prospekty, te jasnozielone albo różowe. I bilety moje i... mojej żony.

RÓZIA

Bierze listy i wychodzi do gabinetu doktorskiego. Przed tym odłożyła jedną gazetę na wierzchu szafki.

STEFAN

Tu jeszcze jeden list. To przynieśli z miasteczka prywatnie i czekają na odpowiedź.

DR RACZKIEWICZ

Dobrze. A z głową zrób porządek, panna ci da wody utlenionej na włosy.

STEFAN

I tak już jak pójde do miasteczka, to mnie własne dzieci nie poznają...

DR RACZKIEWICZ

Głupis – nie u swoich dzieci jesteś na służbie, ale u mnie – rozumiesz?

STEFAN

Rozumiem.

DR RACZKIEWICZ

Idź i przygotuj dla państwa drzewo do rąbania.

STEFAN

Piły poszczerbione, rżnąć nie chcą – siekiery popsuli... Gdzie to takiemu brać się do grubych robót i do uczciwej pracy.

DR RACZKIEWICZ

Nie krytykować... A to co? Niech dzisiaj układają buraki, a w nocy to, co zrobują, rozwali się z powrotem.

STEFAN

Pan Prezes urwał wczoraj łańcuch od studni, jak sobie wodę naciągał.

DR RACZKIEWICZ

A do diabła... znów trzeba naprawiać.

STEFAN

Bo gdzie to takiemu do uczciwej pracy.

DR RACZKIEWICZ

Cicho! Idź do buraków.

STEFAN

I buraków szkoda.

SCENA 4

STEFAN wychodzi środkiem. DR RACZKIEWICZ otwiera list, który mu wręczył – czyta, kładzie do kieszeni i idzie środkiem sadu, przygląda się, wchodzi Doktorowa Barbara w pończochach i trepkach – w jasnej sukni z utlenioną głową. I widząc męża zapatrzonego w głąb sadu, z którego znów dolatują wybuchy śmiechu kobiecego i głos HENRYKA, biegnie do męża.

BARBARA

Co tu robisz?

DR RACZKIEWICZ

A, Basieczka! Dzień dobry ci aniołku!

BARBARA

Czemu nie na gimnastyce?

DR RACZKIEWICZ

Tam przecież jest Asystent.

BARBARA

No więc cóż z tego, ty także powinienes być. Ale ty wolisz z kąta się przypatrywać. To znane – to deprawacja – to hańba! Skoro się ma taką żonę jak ja... pod każdym względem nieposzlakowaną...

DR RACZKIEWICZ

Ależ Basieczku – zaręczam ci...

BARBARA

No! no! – znam ja ciebie na wylot. Zasługiwałbyś na to, na co zasługiwałbyś... Ale one się wcale o ciebie nie troszczą. Nie bój się! Im pan Asystent wystarcza. Zresztą do tego się właściwie tego nieroba tu trzyma... To skandal!

DR RACZKIEWICZ

Jest nowa pacjentka.

BARBARA

Przyjechała?

DR RACZKIEWICZ

Nie, zatrzymała się w miasteczku i napisała list – oto jest...

BARBARA

Dlaczego otworzyłeś? Mnie trzeba było pierwszej dać.

DR RACZKIEWICZ

Przepraszam, ale tak się to stało.

BARBARA

No, żeby się to więcej nie stawało.

czyta list

DR RACZKIEWICZ

Może pojechać po nią?

BARBARA

Może ty? Jak cię zobaczy, to ucieknie. Niech jedzie Asystent. Ten ją przywiezie.

DR RACZKIEWICZ

Tak! Ten ją przywiezie...

BARBARA

I skokietuje – przebrzydłe stworzenie. Ale po to się go trzyma – musi się go trzymać, bo gdyby to był inny... Ale co, Boże zmiłuj się! Co tu gadać. *przegląda list* Jakaś Gustawa... Strzygoń. Co to? To nie jest nazwisko, to Bóg wie co! A potem gdzie tytuł? W „Gencjanie” każdy ma tytuł.

DR RACZKIEWICZ

To już mniejsza...

BARBARA

Wcale nie mniejsza. W moim zakładzie muszą być same nieposzlakowane osoby. Ja odpowiadam za honor „Gencjany” – tak mój aniele. Ty i twój Asystent sprowadzilibyście tu ładne towarzystwo, żeby tylko wam pozwolić. Ja was znam!

DR RACZKIEWICZ

Ależ Basieczku, aniele...

BARBARA

No! no! wystarczy... Lepiej fałszujcie swoje lekarstwa. Ale kto jest w „Gencjanie”, musi być solidny, jak jego właścicielka – solidny, choćby się to jej mężowi nie podobało. Ale są zasady i zasady.

DR RACZKIEWICZ

Zgoda! Ja wiem...

BARBARA

Bo doprawdy tak wygląda, jakbyś powątpiewał.

DR RACZKIEWICZ

Ależ Basieczku klnę się na sumienie!... Panna Róża u mnie w gabinecie rozsypała prospekty...

BARBARA

Gdzie? Komu? Muszę skontrolować... Skandal! Wszystkim się muszę zająć.

pędzi do gabinetu doktora

SCENA 5

DR RACZKIEWICZ, RADCA ZABIELSKI

RADCA ZABIELSKI idzie z ogrodu. Typ starzejącego się, ale niechcącego się zestarzeć mężczyzny. Jest zupełnie łysy i ma silnie uczernioną brodę – ubrany w białe spodnie, dekolowaną koszulę, pas i granatową kurtkę, a na czubku głowy mały kapelusz angielski, biały, słomkowy z granatową wstążką – bosy, szepleni.

DR RACZKIEWICZ

Pan Radca opuścił boisko?

RADCA ZABIELSKI

Chmurzy się.

DR RACZKIEWICZ

A pan ciągle wody się boi.

RADCA ZABIELSKI

Troseczkę – troseczkę... potem pan Asystent pozwolił...

DR RACZKIEWICZ

Tu ja mam głos – ja głównie.

RADCA ZABIELSKI

Kiedy pan Asystent pozwolił...

DR RACZKIEWICZ

Pan dziś przyjdzie do elektryzacji...

RADCA ZABIELSKI

Dobrze prose pana, i ja miałem powiedzieć coś, co mnie niepokoi. Panie doktorze, ja się stazeję.

DR RACZKIEWICZ

Skąd pan to wie?

RADCA ZABIELSKI

Panie doktorze, ja się cały marscę.

DR RACZKIEWICZ

Co takiego?

RADCA ZABIELSKI

Marscę się, ręce, nogi, łokcie, kolana.

DR RACZKIEWICZ

No, bo pan wody unika. Raz, drugi pod tusz, to się pan rozmarszczy. Czemu pan Radca w tej ciemnej kurtce chodzi? Jasno, całkiem jasno – to grunt.

RADCA ZABIELSKI

Kiedy to bardziej smukło.

DR RACZKIEWICZ

Jak?

RADCA ZABIELSKI

Bardziej smukło.

DR RACZKIEWICZ

Pan Radca kokiet...

RADCA ZABIELSKI

Ho! Ho! Robi się co może.

DR RACZKIEWICZ

Niech się pan Radca żeni...

RADCA ZABIELSKI

O, Bóg strzegł. To nie dla mnie. Kobieta w domu to zaraz pełno gałganków na podłodze. Ja tego nie lubię...

DR RACZKIEWICZ

Pan Radca woli jak motylek.

RADCA ZABIELSKI

Chciałbym jeszcze trochę...

DR RACZKIEWICZ

No, no, kilka sezonów w „Gencjanie” – zwrot do przyrody, tego – panie, i będzie jeszcze z pana osiemnastoletni chłopak...

śmieje się

SCENA 6

Ciż sami, BARBARA

BARBARA

Idź i zobacz, co tam twoja Różia nawyrabiała! Żeby nie ja... *spozrzega Zabielskiego – zmiana tonu* A! pan Radca – razem ze słońcem, powitać, powitać!

DR RACZKIEWICZ

wychodzi do swego gabinetu

BARBARA

patrzy chwilę za mężem i zwraca się do ZABIELSKIEGO

Znalazłeś?

RADCA ZABIELSKI

Dotąd – nie...

BARBARA

Ależ to straszne! To okropne. Czy ty chcesz koniecznie, żebym ja sobie życie odebrała?

RADCA ZABIELSKI

Ależ Basieczku, aniele...

BARBARA

Tu nie czas na anioła, tu chodzi o moją reputację, o mój honor nieskalany; od tej podwiązki wszystko zawisło... Ja mówię wtedy, że ktoś jest po drugiej stronie stogu. Teraz, jeśli się to wykryje, to ja wdrapię się na ten stóg i podpale się... Zresztą, nie wiem jak i co, ale się zabiję.

RADCA ZABIELSKI

Proszę pani, kto to będzie wiedział, że to pani podwiązka...

BARBARA

Mąż pierwszy, a potem – ja jedna jako dyrektorka mam tu prawo nosić pończochy. A ja panu powiadam, ja się domyślam, kto jest panem naszej tajemnicy. Asystent, czyli Asystent. Od tej pory na jego wstrętnej, przystojnej twarzy jest ciągły wyraz ironii.

RADCA ZABIELSKI

No to go wyrzucić...

BARBARA

Boże! Albo to raz już się chciało, ale co, zaraz się wszystkie damy zaczynają pakować i „Gencjanę” opuszczają... Niechże pan szuka...

RADCA ZABIELSKI

Spróbuję... a tymczasem rączka na dzień dobry...

BARBARA

Ani paluszka, dokąd pan nie znajdzie! To zapowiadam! Niech pan idzie...

RADCA ZABIELSKI

Nie mogę – desc zaczyna padać.

BARBARA

O Boże!

Słychać zbliżającą się orkiestrę grającą polkę, wybuchy śmiechu, głos HENRYKA, z gabinetu wychodzi RÓZIA, DR RACZKIEWICZ. RÓZIA idzie do szafki z książkami i siada na stopniach schodków, które przystawiła. Głębią z sadu widać wchodzącą orkiestrę żydowską, złożoną z czterech muzykantów, rzepolących zawzięcie. Wchodzą do sieni i lokują się w kącie w zbitą grupę.

SCENA 7

Ciż sami, HENRYK

I głębią wchodzą do taktu prowadzeni przez HENRYKA pacjenci i pacjentki. A więc: MECENASOWA BIERSTOCKEL, DOKTOROWA ORZECZ, RADCZYNI KONOPAJTYS, PANNA IRENA, pani REWIDENTOWA JÓZEFczykiewiczowa, NADRADCZYNIA MAZGAJSKA, LILUSIA BIERSTOCKEL i RADCA MAZGAJSKI. Wszyscy w kostiumach gimnastycznych – nagie łydki, nogi, ręce i biusty – na głowach kokieteryjnie powiązane fulary bądź czapeczki. HENRYK śliczny, rostry, młody mężczyzna – kostium jasny, bosy, pewny siebie, rzutki i śmiały. Jest w nim coś, co pociąga kobiety, w twarzy oprócz wyrazu kokieterii, także wyraz melancholii, a nawet jakiejś rozpacz. Wszystkie też patrzą na niego jak w tęczę, zacząwszy od MECENASOWEJ BIERSTOCKEL, a skończywszy na małej LILUSI BIERSTOCKEL. Wszyscy mają w rękach drągi gimnastyczne i wykonują w takt ćwiczenia. Później PANNA STASIA.

HENRYK¹

Panie Radco Zabielski do szeregu! Do szeregu! Tutaj deszcz nie pada, dalej – raz, dwa – raz, dwa!

1 Asystent Henryk Machoń w tekście dramatu występuje jako Henryk i tak też jest tu identyfikowany.

RADCA ZABIELSKI

Kiedy...

HENRYK

Nie ma kiedy. Proszę, oto mój drag. *podaje mu kij* Raz-dwa. O, pan Nadradca, jak ślicznie się gimnastykuje, aż serce rośnie. A więc do szeregu, a potem poleczkę z panną Lilusią.

LILUSIA

Mizdrząc się. Mała dziewczyna, najwyżej 8 lat, jasne włosy, typ z pocztówki.

Ja nie chcę, ja nie potrzebuję – ja z panem Asystentem.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Ona jest niemożliwa, ta Lilusia.

śmieje się

HENRYK

No to z panią Józefczykiewiczową.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

gruba, typ burżujki obżartej

Dziękuję, ja sobie wolę z panem Asystentem.

DOKTOROWA ORZECZ

pół sport, wąsiki, brunetka

To i ja!

RADCZYNI KONOPAJTYS

obłudna, wyblanszowana², mdlejąca

To ja!

Wszystko to mówione przy ćwiczeniu drągami, zalotnie i z uśmiechami w stronę HENRYKA. RADCA ZABIELSKI także bierze udział w gimnastyce.

2 wyblanszowana – pokryta pudrem. Zob. przypis 13 na s. 29.

HENRYK

Spostrzega RÓZIĘ patrzącą smutnie na cały ten rozweselony zespół.

A pani, panno Róziu, nie z nami?

RÓZIA

zwraca się po gazety i układać je zaczyna na stoliku

Pan widzi, panie Asystencie, że jestem zajęta...

PANNA IRENA

typ suchej, nerwowej, niespokojnej panny, do NADRADCZANKI MAZGAJSKIEJ

Cóż to? Czy on myśli z nią tańczyć?

MAZGAJSKA

zrezygnowana, bogobojna panna

Może dla żartu.

DR RACZKIEWICZ

No halt³! Już dosyć na dzisiaj. *nikt go nie słucha prócz mężczyzn* No... halt powiedziałem.

MECENASOWA BIERSTOCKEL *mizdrząc się*

Panie Asystencie, czy halt?

HENRYK

Niech będzie halt.

DR RACZKIEWICZ

Tak! tak! już dosyć. *wszystkie panie zwrócone do HENRYKA* Troszeczkę odpoczynku, potem śniadanie i proszę część do buraków, część do zabiegów. Niech pan to rozporządzi.

HENRYK

Już to się robi.

panie rzucają się na leżaki w malowniczych pozach

3 Halt (niem.) – stój; tu w znaczeniu: stop.

DR RACZKIEWICZ

A gdzie panna Stasia?

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Została w sadzie, siedzi pod gruszą, nie chciała przyjść – mówi, że nie może chodzić, i że ją zahamowało...

LILUSIA

Bo chciała, żeby ją pan Asystent znów na rękach przyniósł...

BARBARA do ASYSTENTA

Czemu pan jej nie przyniósł?

HENRYK

który okrywał kocykiem wdzięczącą się DOKTOROWĄ ORZEC

Bo miałem w ręku drąg – więc było trudno.

BARBARA

Niech pan ją przyniesie.

HENRYK

patrzy chwilę na BARBARĘ ze śmiechem

Kiedy nie mam czasu. Stefan! Stefan!

STEFAN

wchodzi z głębi

HENRYK

Weź wózek – tam pod gruszą siedzi panna, przywieź ją!

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Teraz mnie kocykiem!

HENRYK

Służę! Ale ostrzegam panią, że jeśli pani będzie tak ciągle leżeć, to raczej pani utyje niż schudnie.

DR RACZKIEWICZ

Właśnie chciałem to pani powiedzieć, pani utyje... tak...

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Ach! Panie Asystencie, pozwoli pan! Takam zmęczona! Za to podwójnie będę drzewo rąbać, podwójnie wodę nosić... podwójnie wszystko, co pan każe.

DOKTOROWA ORZECZ do p. KONOPAJTYS

To wariatka! Niech go pani odwoła.

RADCZYNI KONOPAJTYS

Panie Asystencie!

HENRYK

Służę!

RADCZYNI KONOPAJTYS

Tak mi ręce mdleją

wyciąga ręce

HENRYK

Panna Róża pani po kąpieli rozmasuje.

RADCZYNI KONOPAJTYS

Ach, ona nie potrafi tak jak pan Asystent.

HENRYK

Ja będę w łazienkach.

DOKTOROWA ORZECZ

Ja mam dzisiaj tusz, przypominam panu Asystentowi.

HENRYK

z kokieterią pochylając się nad nią

Takich rzeczy się nie zapomina.

STEFAN staje na progu z wózkiem do wożenia chorych, pustym.

DR RACZKIEWICZ

Gdzie panna Stasia?

STEFAN grobowym głosem

Panna spod gruszy kazała mi, żebym się wypchał ze swoim wózkiem i powiedziała, że czeka na pana Asystenta.

LILUSIA

A, to hiena cętkowana!

BIERSTOCKEL *zanosząc się ze śmiechu*

Ta Lilusia jest niemożliwa – zaczyna znów swoje mocne wyrazy!

BARBARA *do HENRYKA*

Pan słyszał? Niech pan idzie po pannę Stasię i przyniesie ją.

BIERSTOCKEL

Ależ to go wyczerpuje.

BARBARA

Ach proszę pani Mecenasowej, trzeba zastosować się do życzenia pacjentki...
Niechże pan idzie.

HENRYK

Chciałem jeszcze okryć pannę Irenę.

PANNA IRENA

Niech pan idzie. Wspaniałomyślnie pozwalam.

DR RACZKIEWICZ

Ja pannę Irenę okryję.

PANNA IRENA

Dziękuję – ja zaczekam na pana Asystenta.

HENRYK

wychodzi środkiem

LILUSIA

biegnie do RÓZI

Proszę mi dać jaką książkę.

RÓZIA

Wczoraj wieczór Lilusia wzięła *Sodomę i Gomorę*⁴.

4 Po dwu latach od powstania *Asystenta* – M. Proust, kontynuując *W poszukiwaniu straconego czasu*, pisze część zatytułowaną *Sodoma i Gomora*. Bez wątpienia jednak Lilusia czytała zupełnie inną powieść.

LILUSIA

Ja oddam, przeczytałam zakończenie – nudne – pobrali się. Proszę mi tymczasem dać coś innego.

RÓZIA

Na razie nie ma nic.

LILUSIA

No to *Historię występku*⁵.

RÓZIA

Ale to już tyle razy Lilusia czytała.

LILUSIA

To nic... proszę jakie mocne książki sprowadzić.

bierze książkę i biegnie do leżaka

BIERSTOCKEL

Lilusiu, podaj mamie jaką gazetę.

LILUSIA

Ach! Nie nudź! I tak nie będziesz czytać.

BIERSTOCKEL

To od much!

LILUSIA wskakuje na leżak i zaczyna czytać książkę. [BIERSTOCKEL] z uśmiechem wstaje z leżaka i idzie do RÓZI.

Panno Róziu! Mnie jakie coś drukowanego!

RÓZIA

Proszę – to pozawczorajsze.

BIERSTOCKEL

Wszystko jedno.

5 W roku 1908 Stefan Żeromski opublikował *Dzieje grzechu*. Powieści towarzyszył rozgłos, okrzyknięto niemalże literacki skandal; w 1909 roku odbywały się inscenizowane sądy nad bohaterką Ewa Pobratyńską; powstały filmy oparte na powieści.

RÓZIA

Ostrzegam panią, że Lilusia wzięła po raz piętnasty *Historię występku...*

BIERSTOCKEL

Ach! Proszę pani! Może jej pani wszystko dać – ona nic nie rozumie – to takie dziecko!

BARBARA

wraca z werandy

Deszcz przestał padać, kazałam nakryć do śniadania na małej werandzie. Proszę, może Państwo...

MAZGAJSKI

Chciałem właśnie ustawić stolik.

DR RACZKIEWICZ

To za wcześnie, proszę na śniadanie.

Wychodzi głębią: DR RACZKIEWICZ, MAZGAJSKI, za nimi BARBARA i RADCA ZABIELSKI, który przechodząc potrąca leżak z LILUSIĄ.

LILUSIA zła

A to piernik toruński!

BARBARA *do RADCY ZABIELSKIEGO*

A potem szukać, szukać, bo będzie źle.

RADCA ZABIELSKI

Będę, tylko niech podeschnie.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Co ten Asystent tak długo pod tą gruszą robi?

DOKTOROWA ORZECH

Panią to niepokoi?

PANNA IRENA

Idzie!

Głębią wchodzi HENRYK – niesie na rękę STASIĘ, która przybiera omdlewającą pozę.

PANNA STASIA

tlusta, wypasiona, burżujska jedynaczka o płaskich instynktach

Proszę mnie złożyć na moim leżaku...

spostrzega LILUSIĘ rozłożoną w jej leżaku

O! To co?

HENRYK

Ja panią na inny położę.

PANNA STASIA

Ja nie chcę! Ja na moim, tam są moje poduszki. Ustąp się, ty niezdolna!

LILUSIA

Ani myślę!

PANNA STASIA

Musisz!

LILUSIA

Figa! Małpizson królewiecki!

PANNA STASIA

zeskakuje z rąk HENRYKA

Przepraszam, dziękuję panu.

rzuca się do LILUSI, ta zrywa się, biegnie do wyjścia, wołając

LILUSIA

Hiena cętkowana!

Za nią sady pędem PANNA STASIA, przeskakując hamak z PANIĄ MAZGAJSKĄ i RADCZYNIĄ KONOPAJTYS. Po chwili obie z piskiem i wrzaskiem giną w głębi sadu. HENRYK ociera pot z czoła.

BIERSTOCKEL

Pan Asystent się zmęczył! Po co było ją nosić, niechby tam była siedziała. Pan widział, jak leciała. Potem ona taka ciężka.

HENRYK

To było nerwowe.

BIERSTOCKEL

Niech pan siada tu przy mnie.

HENRYK zbliża się, siada w nogach leżaka

Dlaczego ja zawsze czekam cierpliwie, aż pan sobie o mnie przypomni.

HENRYK

całuje ją w rękę

Bo pani jest aniołem.

BIERSTOCKEL

Nie – tylko jestem doskonale wychowaną kobietą.

DOKTOROWA ORZECH *do p. KONOPAJTYS*

Aluzje do nas...

KONOPAJTYS

Anioł z rudą głową!

DOKTOROWA ORZECH

I z takim nosem!

KONOPAJTYS

To nie nos, to katastrofa!

PANNA IRENA *do MAZGAJSKIEJ*

Niechże go pani odwoła. Widzi pani, co się dzieje, całuje ją po rękach.

MAZGAJSKA

Kiedy jakoś nie wypada...

PANNA IRENA

Boże! Jakikolwiek pretekst.

HENRYK *do p. BIERSTOCKEL*

Cóż pani więcej zmarzło?

BIERSTOCKEL

Serce.

HENRYK

Nie wierzę...

BIERSTOCKEL

Proszę się przekonać.

PANNA IRENA

Panie Asystencie! Prośba! Niech pan mi przyniesie z sadu liść łopucha, tak mi bije w skroniach. To jedno mnie uspokoi. I dla panny Nadradczanki także, tylko szeroki. Pan to doskonale wybiera...

DOKTOROWA ORZECH

A dla nas gałęzi od much...

HENRYK

wstaje powoli z leżaka – widać, że jest znużony

I co jeszcze?

RÓZIA

chwilę jakby się wahała, nagle wybiega na środek sceny

Pan pozwoli, panie Asystencie. Ja pana wyręczę i przyniosę tym paniom co potrzebują.

HENRYK

Ależ ja pójdę.

RÓZIA biegnie w głąb sadu, skąd widać ją, jak szybko rwie łopuch i gałązki.

HENRYK

A pani Józefczykiewiczowa znów zasnęła... proszę pani, niech się pani obudzi.

DOKTOROWA ORZECH

Niech pan krzyknie jej w ucho: śniadanie – to zaraz wstanie.

RÓZIA wróciła, dała paniom łopuch, pokładły je na głowy. LILUSIA wróciła zła, idzie do leżaka.

LILUSIA

Żeby ją wszyscy diabli wzięli!

HENRYK

A to ładnie tak kląć?

BIERSTOCKEL

Ona tak z dziecinady... Ale Lilusieczko rzeczywiście, to brzydko.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA *budząc się*
A jakie śniadanie, suche czy mokre?

HENRYK

Suche – najsuchsze dla pani.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Może by kawusi...

HENRYK

Nie! do RÓZI Dziękuję pani!

RÓZIA wraca do szafki, słychać dzwonek na śniadanie, panie się zrywają.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA *błagalnie*

Proszę kawy.

HENRYK

Dostanie pani dwa orzechy, surową rzepę i dwie rzodkiewki, tam już zarządzone.

LILUSIA *ironicznie*

Kto chce być piękny, musi cierpieć!

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Czego ta osa mnie się czepia... do MECENASOWEJ BIERSTOCKEL Niech pani jej co powie.

BIERSTOCKEL

Ależ to dziecko!... Lilusiu, to nieładnie.

LILUSIA *do matki*

Daj mi spokój! Widzisz, że jestem zdenerwowana.

DOKTOROWA ORZECH

No chodźmy! Chodźmy! A pan, panie Asystencie...?

HENRYK

Proszę usiąść, a ja tam przyjdę.

LILUSIA

Ja nie chcę, ja nie potrzebuję – ja z panem Asystentem.

HENRYK

Ja zaraz przyjdę.

panie wychodzą głębią

LILUSIA

Słowo honoru?

PANNA IRENA

*Idąc pod rękę z NADRADCZANKĄ MAZGAJSKĄ w liściach łopianu na głowie,
przechodzą przed HENRYKIEM.*

Czy nam do twarzy?

HENRYK

A w każdym razie bardzo stylowo...

DOKTOROWA ORZECH *do p. KONOPAJTYS*

Dwie stare panny. *do panien* Cudownie wyglądacie – jak dwie rusałki.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Więc stanowczo tylko rzepa i dwie rzodkiewki.

HENRYK

Tak – tak...

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Co za los!...

HENRYK

A jak pani to zje, to dostaniecie na pocieszenie nowiusienki rydel i pójdzie pani okopywać drzewa w sadzie. Nowiuteńki rydel – prima sort.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA
Ja bym wolała kawę... Ale pan tu przyjdzie pod to drzewo?

wychodzi za innymi, na scenie zostaje RÓZIA i HENRYK

HENRYK

Ma pani flaszeczki?

RÓZIA

wyjmuje je z kieszeni od sukni

Oto są.

HENRYK

Pani je napełni – tak po połowie. Do tej pani wsypie trochę cukru, do tej trochę soli.

RÓZIA

Jak zawsze?

HENRYK

Tak! Napisy to już ja sam dam.

widocznie znużony siada na kanapce ogrodowej

RÓZIA

patrzy na niego smutnie przez chwilę

Pan Asystent nie idzie na śniadanie?

HENRYK *znużonym głosem*

Zaraz pójde.

Zamyka oczy i siedząc, zasypia. RÓZIA zbliża się na palcach, bierze z leżaka jakąś poduszkę i ostrożnie podsuwa mu ją pod głowę.

HENRYK *nie otwierając oczu*

Tak... chwileczkę... cicho... odpocznę sobie... dobrze...

RÓZIA bierze jedną z porzuconych przez damy gałązek i delikatnie, stojąc za HENRYKIEM, ogania go od much.

SCENA 8

RÓZIA, HENRYK

[PREZES SOŁTYS] *wchodzi i widzi tę grupę – patrzy przez chwilę. RÓZIA dostrzegłszy go, chowa gałkę za siebie i idzie w stronę szafki. HENRYK siedzi nieruchomo – na pół śpiący z zamkniętymi oczyma.*

RÓZIA

Pan Prezes ma swoją gazetę... Oto jest.

zdejmuje ją z wierzchu szafy i mówi przyciszonym głosem

PREZES SOŁTYS

Dziękuję! Może jakoś wymknę się tym dwom od kart i pójde na kąpiel słoneczną. *patrzy na HENRYKA* Cóż to, Asystent śpi?

RÓZIA

Tak – troszeczkę znużył się tym wszystkim.

PREZES SOŁTYS

siada na krzeselku po drugiej stronie stolika naprzeciwko RÓZI

Czym? W jego wieku wszystko to nie powinno go jeszcze wyczerpać! Boże! Ja, gdy miałem jego lata... Dać tak na jego miejsce Radcę Zabielskiego... Pani wie, panno Róziu. Urwałem wczoraj łańcuch w studni. Myślałem, że mnie Stefan bić będzie.

RÓZIA

To głupstwo – to tutaj na porządku dziennym. Wszystko się psuje. Daje się do naprawy.

PREZES SOŁTYS

Wstawia się w rachunek.

RÓZIA

To już...

PREZES SOŁTYS

Nie – już wolę grać w karty z tymi panami i z dziadkiem. To mniej kosztuje, jak na starość zwrot do przyrody, co? Ho! Ho! Gdzie to te czasy, kiedy z pani

tatusiem grywało się tak zapamiętałe u was w szachy. Dwóch kolegów – co, pamięta pani?

RÓZIA *po chwili*

Pamiętam!

PREZES SOŁTYS

Przygotowała pani nam szachownicę – potem przyniosła nam od mamusi kawę czarną i siadała cichutko przy nas... taka śliczna mała dziewczynka... i tylko od czasu do czasu śmiała się pani jak skowronek, takim cudownym srebrnym śmiechem.

HENRYK, nie poruszając się, otwiera oczy i patrzy na nich zasłuchanych w dalszych wspomnień, nie słyszy jednak, co mówią, bo oni mówią przyciszonym głosem.

PREZES SOŁTYS

Dobre to były czasy.

RÓZIA

Tak... mamusia żyła, tatuś.

PREZES SOŁTYS

Niech pani się roześmieje jak dawniej.

RÓZIA

To niepodobna... Ja śmiać się już nie umiem.

PREZES SOŁTYS

No!

RÓZIA

Zapomniałam.

PREZES SOŁTYS

O! Pani się teraz uśmiechnęła.

RÓZIA

Ja się uśmiechnęłam, ale nie roześmiałam, a to jest różnica.

PREZES SOŁTYS

Pani musi być ciężko na świecie – została pani taka sama.

RÓZIA

Ja się nie skarżę – tylko mi tęskno za rodzicami.

PREZES SOŁTYS

Pani bierze pensję po ojcu?

RÓZIA

Już nie. Mam osiemnaście lat.

PREZES SOŁTYS

Byłby teraz tak jak ja, Prezesem...

RÓZIA

Byle tylko żył!

PREZES SOŁTYS *wstając z krzesła*

Gdyby było pani coś potrzeba, może jakąś posadę... ja pani w każdej chwili służę radą, pomocą, proszę się udać jak do ojca.

RÓZIA

Dziękuję panu! Staram się iść przez życie sama.

PREZES SOŁTYS

Ale zawsze... proszę mi dać na to słowo, że pani o mnie nie zapomni.

RÓZIA

Ależ najchętniej.

Podaje rękę. HENRYK widzi to, i zarazem zamknął oczy, siedząc nieruchomo.

PREZES SOŁTYS

Do widzenia złote dziecko! Do widzenia!

wychodzi środkiem

SCENA 9

HENRYK, RÓZIA, STEFAN w głębi z rydłem, później ZOSIA

STEFAN

Jest tu Asystent?

RÓZIA

Cicho – jest. O co chodzi?

STEFAN

To szkoda dla tej grubej takiego ślicznego rydła – ona go zaraz złamie. Gdzie to takiej do uczciwej pracy. Ja go schowam dla siebie, a dam jej starą łopatę.

RÓZIA

Niech Stefan przyśle tu przez Zosię śniadanie dla pana Asystenta i niech będzie sól, cukier mąka, woda.

STEFAN

A one kazały mi powiedzieć, że czekają.

RÓZIA

Dobrze, dobrze – ale niech Zosia tak niesie, żeby nie widziały, przez gabinet elektryczny.

STEFAN

Dobrze, ale jak Boga kocham – rydła nie dam.

Wychodzi. Przez ten czas HENRYK odrzucił ze wstrętem poduszkę podłożoną mu przez RÓZIĘ, zamknął oczy i jak dziecko sam do siebie.

HENRYK

Jeszcze chwileczkę...

Róża uporządkowała książki, zamknęła szafkę. Wchodzi ZOSIA z tacką, na której jest śniadanie.

ZOSIA

Bosa – w sukni białej, naszytej po krakowsku wstążkami, gorset aksamitny wyszywany blaszkami, krótkie rękawy, włosy utlenione na złoto, uczesane, kokietyjnie ufryzowane. Cicho.

Tam już siedzi jedna w gabinecie elektrycznym, wlaźła przez okno. Powiedziałam, że to dla panny Rózi śniadanie.

RÓZIA

Dobrze.

ZOSIA wychodzi środkiem, RÓZIA idzie cicho do HENRYKA, przysuwa stolik, ustawia śniadanie. HENRYK otwiera oczy i z kokieteryą mówi, nie ruszając się.

HENRYK

To dla mnie?

RÓZIA

Tak, żeby pan wypił spokojnie.

HENRYK

Ale się zdrzemnąłem! *siada wygodniej* O! kakao! A pani już była na śniadaniu?

RÓZIA

Nie! Ale ja...

HENRYK

Tu jest dla dwojga dosyć – niech pani siada.

RÓZIA

Doprawdy nie mogę.

napełnia wodą z karafki stojące na tacy flaszczyki i daje HENRYKOWI

Pan sam tu dosypie cukru i soli – proszę, a tu ma pan masło i bułeczki...

HENRYK

Pani mnie psuje.

RÓZIA *zdziwiona*

Ja?

HENRYK

Nie tak jak wszystkie panie.

RÓZIA

Przeciwnie – one chyba...

HENRYK *jedząc*

Nie, proszę pani, są dwa rodzaje psucia. One ciągle ode mnie coś żądają, ale o mnie się nie troszczą, a pani o mnie się troszczy, a dla siebie nic nie żąda.

RÓZIA

Bo nie mam do tego prawa.

HENRYK

Ma pani takie samo prawo jak one.

RÓZIA

Ach! One są pacjentki, a ja...

HENRYK

pociera ręką po włosach – potem wacha rękę

Ktoś, kiedy spałem, podsunął mi poduszkę, która pachnie jak sto diabłów tą panią Stasią. Zdaje mi się, że ją niosę na rękach. To ohydne! Kobieta powinna pachnieć sobą, a nie sklepem z perfumami... Ot pani, panno Róziu, pani pachnie sobą i to jest cudowne, to nie męczy, nie narzuca się. Niech mi pani da swoją rękę.

RÓZIA

instynktownie cofa rękę

HENRYK

Pani słyszy? Proszę panią o rękę. Och! Nie do ołtarza, może pani tak myślała...

Śmieje się. Rózia marszczy czoło widocznie wzburzona.

Na taki zbytek nie mogę sobie pozwolić. Może jakiś prezes...

RÓZIA

Proszę pana...

HENRYK

A cóż? To byłaby dobra partia. Widziałem tak przez sen, jak się pani do niego uśmiechała. Musiał mówić pani coś bardzo miłego.

RÓZIA *walcząc ze łzami*

O tak! Bardzo miłego...

HENRYK *mimo woli także rozdrażniony*

I rękę mu pani dawała na odchodne. Ode mnie ją pani cofa, a pani źle robi, raz dlatego, że i ja mam swoje neurasteniczne dni, a potem, że my należymy przecież do personelu; pótnago – jasno i wesoło, i na usługi wszystkich. A!

RÓZIA

Proszę pana – ja pana nie upoważniłam niczym, ażeby mi pan ubliżał.

HENRYK *rozdrażniony*

To nie jest żadne ubliżanie, to jest Prezes – to nie w kij dmuchał.

RÓZIA

Pan jest chory.

HENRYK

Ça s'e peut⁶.

RÓZIA

Proszę mnie przepuścić...

Chwileczkę mierzą się wzrokiem, ona harda i wyniosła, on zdenerwowany.

SCENA 10

Ciż, DR RACZKIEWICZ

DR RACZKIEWICZ

Pan tutaj? Nie na burakach? A pani do łazienek! Co pani tu robi? Wszystkim się zajmować sam muszę... Tam już są pacjentki dochodzące z miasta.

RÓZIA

Idę!

wychodzi głębią

6 Ça s'e peut (fr., właśc. ça se peut) – To możliwe.

HENRYK

Tu już są flaszeczki z wodą ocukrowaną i soloną. Jak je nazwać? Już była botanika, mineralogia, i wszyscy święci. To niech się nazywa Bzikanda – to na sen, a to na serce – Amorosina.

DR RACZKIEWICZ

Doskonale! – To na serce to można zafarbować sokiem malinowym.

HENRYK

Nalej sok malinowy!...

napisuje na etykietce nazwy

DR RACZKIEWICZ

A ja wieczorem im porozdaję.

HENRYK

Nie – to ja porozdaję. Inaczej skutku nie będzie.

DR RACZKIEWICZ

Może jednak...

HENRYK

Założę się, że tak by było. Żadna by nie spała...

DR RACZKIEWICZ

Ciekaw jestem, czym je pan usypiasz?

HENRYK

O-bie-tni-ca-mi! Z kobietą to wielkie słowo. W porę użyte – niezawodne w skutkach.

DR RACZKIEWICZ

Ba! Ale skoro się obiecuje – trzeba dotrzymać.

HENRYK

Bóg strzegł – wtedy wszystko diabli biorą.

SCENA 11

Ciż sami, BARBARA

BARBARA

Wy tu? Naturalnie! A tam skandal. Józefczykiewiczowa dorwała się do kawy, wypila dwie szklanki, poszła okopywać drzewa, rozwalila się z łopata pod jabłonią i chrapie w najlepsze. Ta kobieta to hańba „Gencjany” – ona ciągle je i śpi, i przybiera na tuszy. Przez nią ja się muszę głodzić i chudnąć, żeby widzieli w miasteczku, że się tutaj chudnie.

DR RACZKIEWICZ

Uspokój się Basieczko – ja pójdę ją zbudzić, a potem pognam ją na buraki.

BARBARA *do HENRYKA*

To pan musi zrobić, inaczej ona nie wstanie.

HENRYK

Tam w gabinecie czeka pani Konopajtys, mam ją elektryzować.

DR RACZKIEWICZ

Ja to zrobię!

idzie do gabinetu i cofa się

Jak mnie zobaczyła – uciekła.

BARBARA

Naturalnie.

wpada STEFAN z kartką do HENRYKA

STEFAN

Kartka od tej panienki, co chodzić nie może.

HENRYK *czyta*

Żeby ją zaniósł na buraki.

BARBARA

Niech pan idzie, to ważna pacjentka. Nam na niej zależy. Jej rodzice doskonale za nią płacą.

wpada Zosia

ZOSIA

Pani Doktorowa Orzech nie chce pozwolić pannie Rózi na tusz. Powiedziała, że czeka na pana Asystenta.

DR RACZKIEWICZ

Ja tam pójdę.

BARBARA

To ucieknie jak tamta.

DR RACZKIEWICZ

Nie ucieknie, bo jest goła.

wychodzi środkiem

BARBARA *do HENRYKA*

Na co pan czeka? Niech pan idzie.

HENRYK

Właściwie, gdzie ja mam iść, czy budzić panią Józefczykiewiczową, czy lać wodę na panią Orzech, czy elektryzować panią Konopajtys, czy nieść pannę Stasię... proszę mi powiedzieć.

BARBARA

Pan zaniedbuje swoje obowiązki.

HENRYK *zirytowany*

E! Proszę pani, żebym ja był nawet tak rozciągliwy jak ze *znaczeniem* podwiązka z różowej gumy, to jeszcze bym na to nie wystarczył.

BARBARA *zmieszana*

Co za subtelna aluzja! Nie rozumiem!

HENRYK

Ale ja rozumiem.

BARBARA *ażebym odwrócić uwagę*

Co za nieporządek, po co tutaj ta taca? Zosiu! *wybiega środkiem* Zosiu!

HENRYK *wściekły*

A to psiakrew zwykła!

SCENA 12

LILUSIA, BIERSTOCKEL *środkiem*

HENRYK

Padł na krzesło wściekły i zdenerwowany – LILUSIA podbiega z tyłu i zasłania mu oczy.

LILUSIA

A kuku!

HENRYK

Cóż tam znowu?

LILUSIA

To ja! Przyszłam na masaż elektryczny. Ja pierwsza przed wszystkimi. Ja słyszałam, jak te dwie stare panny z łopuchami na głowie zmawiały się, że przyjdą pierwsze.

HENRYK

Niech mnie Lilusia puści! To później.

LILUSIA

czepiając się i nie dając mu wstać

Ja nie chcę! Ja nie potrzebuję – ja pierwsza przed wszystkimi. Ja chcę masaż elektryczny.

HENRYK

A to piła!

Wściekły chwytając ją, przewraca sobie na kolana i daje jej pięć porządných klap-sów, potem stawia ją na ziemi, sam się zrywa.

Ma Lilusia masaż elektryczny

LILUSIA

W furii, czerwona, z zaciśniętymi pięściami, stoi z rozstawionymi nogami.

Osiół koronny!

HENRYK

Padam do nóg! Słodka dziewczeczko!

ucieka głębią

LILUSIA

beczy, tupie nogami, i woła szlochając

Osiół koronny! Osiół koronny!

ZASŁONA OPADA

AKT II

Scena przedstawia tę samą dekorację, tylko po lewej rozłożony stolik do gry w karty i przy nim siedzą, grając NADRADCA MAZGAJSKI, RADCA ZABIELSKI, PREZES SOŁTYS. Chwilą słysząc tylko łomot rzucanych na stół kart i słysząc głosy grających.

SCENA 1

BARBARA, PREZES SOŁTYS, NADRADCA MAZGAJSKI, RADCA
ZABIELSKI

BARBARA nadzwyczaj uprzejmie
Ej! Ej! Panowie znów przy kartach.

PREZES SOŁTYS
Skoro nie wolno nam drzemać po obiedzie, dajemy się skusić panu Nadradcy i oto partyjka.

NADRADCA MAZGAJSKI
Zresztą skończone.

BARBARA
Gdyby panowie choć stolik na werandzie postawili.

NADRADCA MAZGAJSKI
Kiedy Radca Zabielski boi się mgły, która o tej porze z gór się usuwa. A pani Doktorowa dobrodziejka mogłaby nam pożyczyć swego męża, ażebyśmy nie grali wiecznie z dziadem. To jest ostatnia nędza grać z dziadem.

PREZES SOŁTYS

Ale co pan chce, to bardzo odpowiednie dla nas towarzystwo. Cztery dziady...

NADRADCA MAZGAJSKI

Pan Prezes niech sobie tak nie mówi, bo panu jeszcze do dziada daleko.

BARBARA

Ja mojemu mężusiowi nie bronię, ale przede wszystkim ma obowiązki jako dyrektor zakładu, a poza tym on kart nienawidzi.

NADRADCA MAZGAJSKI

Pani Doktorowa daruje, ale w to nie wierzę. Aż mu się oczy iskrzą, kiedy zobaczy jak siadamy. Zresztą to naturalne. Kobieta w pewnym wieku chodzi na kazania, a mężczyzna gra w karty. Inaczej bardzo smutna starość.

BARBARA

Ach, to mniejsza. Panie Radco Zabielski, do pana mała sprawa, ściśle zakładowej natury.

RADCA ZABIELSKI

wstaje

Służę pani Doktorowej.

BARBARA

Znalezione?

RADCA ZABIELSKI

Szukałem i ani sposob znaleźć.

BARBARA

Badać – badać tego nieroba Asystenta. Wczoraj wyjechał z taką aluzją o różowej podwiązce, że wszystko we mnie zamarło.

RADCA ZABIELSKI

A ja ciągle mówię, wyrzucić go...

BARBARA

Muszę mieć pewność. Inaczej padnę ofiarą jego zemsty. O, ja szalona, że zaufałam panu.

NADRADCA MAZGAJSKI

Chowa karty do kieszeni i składa stolik. Do pana SOŁTYSA.

Co ona od tego Zabielskiego chce... Aż się cały skurczył. Oto Herdebus⁷ baba...
Mężuś, mężuś, ale to zdaje się rozmaicie.

PREZES SOŁTYS

Widzi pan, jak patrzę na takie rzeczy, to widzę, jak dobrze się stało, żem się
nie ożenił.

NADRADCA MAZGAJSKI

O, to znów inna sprawa. He! He! Są panienki już trochę starsze w latach, ale za
to stateczne, bogobojne, gospodarne i z dobrego gniazda.

PREZES SOŁTYS

Nie, panie Nadradco, już gdybym zwariował i ożenił się, to z jakąś młodą
i świeżą dziewczyną, ot, jak poranek majowy. Panie, jak pan wchodzi do
sklepu z kwiatami, czy pan weźmie zwiędły kwiat? Nie, i słusznie.

NADRADCA MAZGAJSKI

Może!

RADCA ZABIELSKI do BARBARY

Mam zamówioną elektryzację...

BARBARA

Zawsze coś – to mgła, to elektryzacja, to deszcz.

SCENA 2

Ciż sami i DR RACZKIEWICZ, później HENRYK

DR RACZKIEWICZ

Ja po pana – panie Radco...

7 Nawiązanie do określenia herod-baba – oznaczającego kobietę wysoką, silną, stanowczą,
lubiącą przewodzić.

BARBARA

Właśnie przypominałam panu Radcy.

DR RACZKIEWICZ

A panów potem kolejno będę czekał w gabinecie elektrycznym.

idzie do gabinetu elektrycznego, wchodzi HENRYK

DR RACZKIEWICZ

Pan jeszcze nie pojechał po tę panią?

HENRYK

Zaprzęgają.

BARBARA

Niechże pan tylko jakoś...

RADCA ZABIELSKI

Co to? Nowa pacjentka?

BARBARA z błyskiem złości w oczach

Tak, panie Radco.

NADRADCA MAZGAJSKI *do PREZESA SOŁTYS*

Wie pan, szkoda żeśmy się na niego natknęli. Miałem zamiar zabrać pana karty i wleźć do kukurydzy, bylibyśmy tam sobie ucieli partyjkę.

PREZES SOŁTYS

Co się odwlecze, to nie uciecze. Chodźmy na werandę – tu duszno.

wychodzą na werandę

DR RACZKIEWICZ

który wpuścił radcę ZABIELSKIEGO do gabinetu elektrycznego – do HENRYKA

Niechże pan jedzie – ja tu wszystko załatwię. Zważę Józefczykiewiczową, w ogóle załatwię, co będzie do załatwienia. Niech mi pan da te lekarstwa, które się wczoraj sfabrykowało.

HENRYK

Oto są.

podaje mu flaszczeni

DR RACZKIEWICZ

Zamykam mój gabinet i biorę klucz. Ba, mam tyle do czynienia, że to... urwanie głowy.

BARBARA

która porządkowała leżaki i poduszki na nich

Idźże już do tego Zabielskiego, bo tu mówił mi, że ma ochotę pójść trochę się przejść.

HENRYK

Nie radziłbym mu...

BARBARA

Dlaczego?

HENRYK

Bo deszcz może padać, broda mu się odfarbuje i wtedy co?

BARBARA

Pan jest zanadto złośliwy. Pan się nie uchowa.

HENRYK

Ja się już dawno uchowałem. Ale w stronę stogu to bym nie radził chodzić... Tam dla starszych teren niebezpieczny...

DR RACZKIEWICZ

który zamknął drzwi do swego gabinetu na klucz, idzie do gabinetu elektrycznego, wchodząc mówi

Służę panu Radcy.

SCENA 3

Ciż sami, STEFAN

HENRYK

Czemu nie zajeżdżają?

STEFAN

Bo jak wczoraj goście wzięli wozic dachówki do altany na brodzenie, tak klacz okula wili jak łysiego psa.

BARBARA

Tego tylko brakowało.

wybiega środkiem

HENRYK

Niech Stefan powie, żeby mi zaprzęgli w pojedynkę do wózcza. Stefan! Czeka j jeszcze!

STEFAN

Słucham pana Asystenta.

HENRYK

Wydało się, że Stefan przynosi pacjentom wiktuały z miasteczka.

STEFAN

Tylko tej grubej i to nie zawsze... Mówi, że umiera z głodu!

HENRYK

Ona tu po to jest, aby umierała z głodu.

STEFAN

Kręcka można dostać z takiej kuracji. A poza tym, to nie po chrześcijańsku ludzi głodem morzyć.

HENRYK

No! No! To do Stefana nie należy. Zapowiadam: jeszcze jedno salami – jeden porter, a Stefan pójdzie stąd jak strzała. Proszę wybierać.

STEFAN *po chwili*

Wybrane! Zostają... ale jeśli co złego się stanie przez to głodzenie, ja nie biorę na swoje sumienie.

HENRYK

Tylko proszę pamiętać – żadnego pardonu – wyrzucę!

STEFAN

Pan tego nie robi, panie Asystencie. Dla głupiego, przeżartego burżujskiego żołądka dwóch ludzi inteligentnych ma sobie robić przykrość?

HENRYK

Tymczasem, niech ten jeden człowiek inteligentny pójdzie założyć dla drugiego inteligentnego kuce.

STEFAN

Ano pójde szukać. Ale to takie małe jak szczury, zaszyło się to w koniczynę.

HENRYK

No dobrze – pójdziemy razem, bo widzę, że nie pojedę do miasteczka.

Kieruje się ku wyjściu i natyka się na biegnącą z sadu BARBARĘ.

SCENA 4

Ciż sami, BARBARA, później DR RACZKIEWICZ

BARBARA

Padła!!!

HENRYK

Kto?

STEFAN ucieka

BARBARA

Ona! Klacz! Zabili ją, wpakowali ją na płot jak wozili dachówki...

HENRYK

Ja ich spotkałem – jak się z nią prowadziła Doktorowa Orzech za uzdę, a dwóch radców podpierało ją na bokach.

BARBARA

I tak ją dostawili do stajni i postawili przy żłobie, niby nic. *nagle* Ale to pana wina, czemu pan to tolerował?

HENRYK

A co miałem robić? Może ją wziąć na rękę jak pannę Stasię – z kopytami i ogonem. E! Pani Doktorowo, daj mi pani spokój.

wybiega głębią, BARBARA puka do drzwi gabinetu elektrycznego

BARBARA *słucha*

Mężusiu! Proszę na chwileczkę

DR RACZKIEWICZ *spoza drzwi*

Nie wolno!

BARBARA

Konieczni! Mój drogi, proszę!

DR RACZKIEWICZ *pokazuje się*

O co chodzi?

BARBARA *z furią*

Ach, ty stary niedołęgo! Przez ciebie klacz padła. Mówiłam, nie dawać im nic żywego do ręki, to niepewne... Nadziali ją na płot i zabili...

DR RACZKIEWICZ

Mówiła Doktorowa Orzech, że jest z obywatelskiego domu i że się na koniach zna...

BARBARA

Właśnie – ona nie z domu, a z chałupy. A teraz komu wstawić tę klacz do rachunku? Doktorowej nie ma co – to żona kolegi. Mazgajski – jak mu piłę dać do rachunku, to wrzeszczy, *jakby go kto ze skóry darł* chyba ten Prezes.

DR RACZKIEWICZ

To, to – ale chyba w ostatnim tygodniu, jak już będzie miał wyjeżdżać – bo taka klacz to poważna pozycja.

BARBARA

Było bez tego nieroba Asystenta ich nie puszczać.

DR RACZKIEWICZ

A może ona jeszcze żyje, pójdę, zobaczę...

BARBARA

Daj jej pod nos któreś z waszych fabrykowanych lekarstw, to ożyje.

DR RACZKIEWICZ

Ach, Basieczko! Jak ty nieprzychylnie odnosisz się do mojej wiedzy.

BARBARA

No, dobrze już...

Wychodzą i natykają się na NADRADCĘ MAZGAJSKIEGO.

SCENA 5

NADRADCA MAZGAJSKI, NADRADCZANKA MAZGAJSKA,
później DOKTOROWA ORZECZ

DR RACZKIEWICZ

na werandzie do NADRADCY MAZGAJSKIEGO

Pan Nadradca raczy zaczekać na swoją kolej. Ja muszę w czysto administracyjnej sprawie na chwilę.

Odchodzi w głąb z BARBARĄ. NADRADCA idzie do stolika do gry w karty i stamtąd zabiera żetony. NADRADCZANKA MAZGAJSKA wbiega i spostrzega ojca – później DOKTOROWA ORZECZ.

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Ja właśnie szukam ojca.

NADRADCA MAZGAJSKI

O cóż ci się rozchodzi?

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Będę potrzebowała trochę pieniędzy.

NADRADCA MAZGAJSKI

Naturalnie, jak zawsze...

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

To dla... pana Asystenta...

NADRADCA MAZGAJSKI

Przecież go wstawiają do rachunku co tydzień.

wyciąga trochę pieniędzy i daje córce z westchnieniem

Przynajmniej oświadczył ci się który?

NADRADCZANKA MAZGAJSKA *smutniejąc*

Nie...

MAZGAJSKA siada, ojciec nad nią

NADRADCA MAZGAJSKI

A ja ci zapowiadam, że to ja i matka zdobyliśmy się na ostatni sezon. Wiem, co matka pisała – żeby bez jakiego bądź narzeczonego nie wracać. Sprawilo ci się na kredyt trzy suknie, i kapelusze, i kostium do gimnastyki, i włosy przescieradlo, i czort wie co, to profituj⁸ się i staraj się... Masz do wyboru Prezesa i Asystenta.

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Kiedy, proszę tatki, pan Asystent młodszy ode mnie...

NADRADCA MAZGAJSKI

Gęś jesteś – nie masz metryki na czole. A przy ślubie, to już moja rzecz – jakoś się go tam zagada. A po ślubie to już mniejsza. Tylko pamiętaj sobie – ja nie jestem wieczny. Zostaniesz na bruku. Tylko matka będzie brała po mnie tę nędzę, więc staraj się! Zdobyłem się nawet na nocne czuwanie pod pozorem bólu gardła. Myślałem, że ci się wreszcie oświadczy. Nad ranem zaglądam, a wy najspokojniej łupiecie w pikietę!

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Proszę ojca, ja widziałam, że on się nudzi, nie wiedziałam, co z nim mówić. A że tatko, jak tylko kto do nas przyjdzie, zaraz proponuje pikietę... więc i ja...

NADRADCA MAZGAJSKI

To i ja! Ja nie jestem panną na wydaniu i nie siedzę rodzicom na karku chrystusowe lata – mnie wolno grać w co chcę – ale nie tobie.

8 profituj się (przest.) – wykorzystaj okazję.

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

E! Proszę tatki! To już za późno! Teraz to i święty Boże nie pomoże. Ja bym wolała nauczyć się czegoś praktycznego, to może by się coś dołożyło do tego, co mam po ciotce. Te trzy tysiące w kasie.

ociera nos i oczy

NADRADCA MAZGAJSKI

To nie będzie wypadało... jakiś sklepik z barchanami... To wstyd byłby dla mnie... Wybij to sobie z głowy. Szukaj sobie jeszcze męża... to jedyny twój ratunek.

MAZGAJSKA ociera ukradkiem łzę

Może pan Asystent nieładny? Może się nie podoba?

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Właśnie proszę tatki, on jest za ładny dla mnie.

NADRADCA MAZGAJSKI

Wiedziałem, że jesteś głupia, ale żeby aż do tego stopnia...

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Ach! Proszę tatki! Proszę tatki! Czy to moja wina to wszystko? Tatko zawsze tylko siedział w kasynie, a mamcia dbała tylko o to, żeby jeść było na czas i pod dostatkiem. No i młodość moja przeszła.

NADRADCA MAZGAJSKI

Cicho! Nie rób mi tutaj sceny... Dość mam tego piekła w domu.

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Och...! Ja mam dosyć całego życia. Jezus Maria! Jak mam dosyć.

Zasłania oczy, wypuszcza pieniądze. Wpada Doktorowa Orzech.

DOKTOROWA ORZECZ

Jest tu pani tatko?

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Jest tu.

DOKTOROWA ORZECH

Dziękuję! O, tu leżą jeszcze pieniądze.

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Dziękuję, tak mi się wysunęły z ręki.

ociera oczy, zabiera pieniądze i wychodzi środkiem

DOKTOROWA ORZECH do NADRADCY MAZGAJSKIEGO

Pan wie – wydało się. Widziałam, jak oboje pędzili do stajni.

NADRADCA MAZGAJSKI

Zmykajmy!

DOKTOROWA ORZECH

Gdzie?

NADRADCA MAZGAJSKI

Ja pani coś zaproponuję. Weźmy karty, wykradnijmy Zabielskiego i zaszyjmy się w kukurydzę – tam nas nikt nie znajdzie.

idzie do drzwi gabinetu elektrycznego

DOKTOROWA ORZECH

Ja się tam nie boję. Wielka awantura... taka głupia, chuda klacz... co to może być warta – parę koron. Przecież porządny pudel kosztuje 20 koron...

NADRADCA MAZGAJSKI

E! Co pani mówi! A zresztą to może być *pretium afektions*⁹ – a pani gra w preferka¹⁰?

DOKTOROWA ORZECH

Ja gram we wszystko.

NADRADCA MAZGAJSKI *u drzwi gabinetu*

Pst! Radca.

9 *pretium afektions* (łac., właśc. – *pretium affectionis*;) – cena amatorska.

10 *preferka* – (fr.) *préférence*; gra w karty popularna w XIX i na początku XX wieku.

RADCA ZABIELSKI

Służę Nadradcy.

NADRADCA MAZGAJSKI

Zaszły okoliczności, które zmuszają mnie i Doktorową Orzech na jakąś chwilę się ukryć. Proponuję preferka... schronienie bezpieczne. Poza tym i tak nas czeka wieczorem odczyt naszego dyrektora. Pan wie, czym to pachnie. Zmykajmy!

RADCA ZABIELSKI

Może by wziąć parasol.

NADRADCA MAZGAJSKI

Nie ma czasu, pani Doktorowa. Dobrodziejko, weź pani Radcę pod drugą rękę, bo gotów uciec.

biorą Zabielskiego pod rękę

Dalej! Marsz! Zostawmy im na łup Prezesa, niech się z nimi ułoży. Prędkiej! Prędkiej!

Wychodzą dużymi krokami głębią. Po chwili wchodzi z sadu Mecenasowa Bierstockel i Henryk.

SCENA 6

MECENASOWA BIERSTOCKEL, HENRYK, *głębia prawa*

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Nie! Nie! To darmo, nie daruję panu życia. Dobrze, iż pana złapałam. Mnie się należy moja gimnastyka oporowa... Nie ustąpię.

HENRYK

Ależ ja za chwilę jadę – już kuce się znalazły.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Czy mam tak powiedzieć, jak moja Lilunia?

udając dziecko

Ja nie chcę, ja potrzebuję, ja pierwsza...

HENRYK

Więc dobrze – nie traćmy czasu. Niech pani staje do pozycji!

MECENASOWA BIERSTOCKEL

A co? Ja wiem, że ja u pana wszystko uzyskam. Zresztą ja mam sposób postępowania znie-wa-la-ją-cy. Mnie to w ogóle mówią.

stoją do pozycji, ona słodko mrużąc oczy

Czy pociągać – czy odpychać?

HENRYK *mimo woli trochę zawzięty*

Może pani mnie odepchnie. O! Taki słaby opór?

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Bo czynię to bez przekonania.

HENRYK

Teraz – *garde à vous*¹¹ – ja panią odpycham.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Tak okrutnie? Bezwzględnie...

HENRYK

Musiałem zebrać całą siłę woli.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Po cóż? Ach!

HENRYK

Co się stało?

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Pa-zno-kieć...

HENRYK

Złamał się?

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Nie, ale o mały włos, że się tak nie stało. Byłabym niepokieszona. Według mnie,

¹¹ *garde à vous* (fr.) – baczność.

można poznać stopień kultury estetycznej u kobiety, studiując jej paznokcie. Dlatego tak bardzo dbam o moje paznokcie. O ten piąty szczególnie, widzi pan – jak migdał i jak lustro. Wielką mu poświęcam uwagę... Co? Teraz ćwiczenie z szyją? Tylko ostrożnie. Zawsze mi się przy nich kręci w głowie.

HENRYK

Nie wierzę. Pani zna się na liniach najłatwiejszego oporu?

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Tak... ale bywają sytuacje, które nawet solidną indywidualność, jak moja, wytrąca z równowagi.

omdlewa mu prawie na rękę

Och – mecenas – pan wie – mój mąż mówi, że mam szczególny zapach włosów, tych na karku drobnych. Czy prawda?

HENRYK *oddychając ciężko*

Może...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Mecenas jest czasem taki śmieszny – aż naiwny.

HENRYK

Może pani teraz usiądzie.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Dobrze.

Siada, HENRYK wyciąga ręce, ona czyni gest leniwy wyciągając swoje pazury ruchem kotki.

Ach, tak chętnie bym kogoś podrapała.

HENRYK

Proszę pani – oto moje ręce...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Pana? Nie! Nie miałabym serca, do tego jest przecież mecenas – mój mąż. Nie-raz go zadrapię do krwi – takie już mam perwersje. On nawet czuje się wtedy szczęśliwy.

HENRYK

Biedny człowiek.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Przeciwnie – zupełnie szczęśliwy! Umiem go cenić! *Intérieur*¹² mi zrobił – pierwszej klasy – sam palisander – ja mam już taki gust – palisander wolę – nawet niż sam mahoń! Jest trochę cieplejszy. Och! Zmusza mnie pan do posłuszeństwa... Uniosłam się. Cóż? Zobaczę pana u nas? Mecenasa będzie bardzo rad.

HENRYK

Nie wiem, czy będę miał czas.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Och! Nie słucham żadnych wymówek. A zresztą, pan musi bywać w lokalach. Co? Ja się panu przyznam, że ja głównie i przeważnie także. Od czwartej do piątej pan mnie zastanie w „Uroczysku” – po piątej w mleczarni Tustanowieckiej, po szóstej u Drechslera na muzyce, a jeżeli nie tam, to niech pan zajdzie do cukierni Pomadoniego, tam będę z pewnością. Wszędzie mam swoje stoliki – tak z Lilusią biegamy, a dependenci mecenasa zawsze nas odnajdą.

HENRYK

A Lilusia także?

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Och! To bajeczne dziecko – ona bardzo lubi takie życie. Pan wejdzie do którego z tych lokali i zapyta pan o mnie pierwszego lepszego kelnera. Albo i to zbyteczne. Lilusia chodzi zawsze między stolikami – pan przystąpi do nas dobrze?

HENRYK

Dobrze, ale co pani robi w takim lokalu?

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Och! Ja albo rozmawiam w kwestiach wysoce inteligentnych, albo ironizuję na koszt bliźnich. Bardzo zajmujące, skoro się ma dowcipnych partnerów. Zresztą pan musi także przesiadywać w lokalach.

HENRYK

Mam jedną specjalną studencką kawiarnię – to mi wystarczy.

12 *intérieur* (fr.) – wnętrze, w znaczeniu „wnętrze mieszkania”.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Ach! Czemu jedna? To właśnie zajmuje – zmiana.

HENRYK

Niemożliwe, bo mnie wiąże, wie pani co? Kreda – no! Kreda! Pani to niepo-trzebne, ale mnie...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Nadzwyczajne! Ale ja przed panem czynię spowiedź z mojego bytowania.

ze śmiechem

Jak się teraz mówi – a pan wykorzystuje ten brak oporu i zdana jestem po pro-stu na łaskę i niełaskę pana. To może zawrócić w głowie widocznie nawet tak silnej jak ja naturze.

HENRYK

Proszę być spokojną. Nie wykorzystam.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Nie każ mi pan żałować tej naszej wspólnej siły woli.

*patrzy na niego przeciągle, oboje milcząc uśmiechają się do siebie, po chwili
MECENASOWA mdlejąco*

I nie zapominajmy, że pan jest... młody... bardzo młody...

HENRYK

A pani piękna, bardzo piękna...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

I dzisiaj bardzo gorąco...

HENRYK

A w powietrzu górską magnetyczna burza...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Więc lepiej przerwać... ten...

HENRYK *z ukłonem*

Seans oporowej gimnastyki.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Która może przestała być oporową.

Z ukłonem rozchodzą się, nagle wchodzi PREZES SOŁTYS.

SCENA 7

PREZES SOŁTYS, HENRYK, MECENASOWA BIERSTOCKEL, która przechodzi do głównego wyjścia, kokietując HENRYKA I PREZESA SOŁTYSĄ, stojąc już na werandzie mówi do HENRYKA

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Zapomniałam panu powiedzieć... Lilusia popadła w jakąś depresję, nie jadła obiadu, chciałam posłać po pana i... O, cudo! Nie pozwoliła. Coś między wami zdaje się zaszło... Ej, panie, bo pan nie będzie moim zięciem... A szkoda. Wszyscy dependenci mego męża się o nią ubiegają. Lilusię zabrała panna Różia do łazienek, niech pan się z nią pogodzi... Pa! Arrivederci!¹³

odchodzi

PREZES SOŁTYS

patrząc na nią

Wspaniały okaz. Wszystkiego w miarę.

HENRYK

Morowy numer, trzeba przyznać. Niech pan Prezes uderzy w konkury.

PREZES SOŁTYS

Nie chcę panu wchodzić w drogę.

HENRYK

Mnie? Czy pan nie widzi, że cała moja przewaga i wszystko, czym się tu trzymam, jest to, że nie rzucam chustki, ale migocę nią w przestrzeń. Doktor, a zwłaszcza Asystent, żonaty, gdy taki zrobił wybór – przepadł! Żadna mi tego nie daruje, że to nie ona właśnie. Ale pan, panie Prezesie... co pana krępuje... niech pan wybiera.

¹³ arrivederci (wł.) – do zobaczenia.

PREZES SOŁTYS

Przede wszystkim to, że ja wyprzegam, panie drogi, jak mówił któryś z wielkich Ludwików, a pragnę wyprzegnąć z godnością. A poza tym panie Henryku, czy to warto, ażeby znów się zapominać?... Może pan... bo młody...

HENRYK

Wie pan, tak ściśle rzeczy biorąc...

PREZES SOŁTYS

Ano... widzi pan... i pan nawet... no więc...

HENRYK z pewnym zdumieniem

Ja panu powiem... jest jedna rzecz warta grzechu i godna uwagi, to jest taka prawdziwa, jasna, dobra, jednolita dziewczyna. Taka jest naprawdę piękna.

PREZES SOŁTYS

Tak! Ma pan rację – to jest ta jasność życia, czy dla młodego, czy dla starego, i to jest prawdziwa piękność kobieca.

HENRYK

O, dla niej jednej zapomnieć się warto...

PREZES SOŁTYS

Wie pan, że – warto...

HENRYK

A zwłaszcza, gdybym tak jak pan miał za sobą...

PREZES SOŁTYS

Co? Moje lata?

HENRYK z ironicznym uśmiechem

Ach! To nie – to jest bagatela, pierwszy lepszy fornał potrafi i musi być młodym. Ale e-me-ry-tu-ra to wielkie słowo! Ja, panie Prezesie, gdybym miał emeryturę za sobą, to zaręczyłbym się z najcudowniejszą i najśłodszą dziewczyną na świecie. A tak, patrzeć jak czynią to drudzy, a samemu pchać powoli półtrocza medyczne, jedno za drugim z *westchnieniem* jedno za drugim...

PREZES SOŁTYS

Studia medyczne są kosztowne?

HENRYK

Phi! Tu idzie o tysiące... to cała tragedia, zwłaszcza jeżeli się miało ojca, którego całą duszą i pragnieniem było mieć syna na medycynie. I nagle wyobraź pan sobie, gdy wszystko jest na najlepszym torze, gdy całe miasteczko nie ma słów uwielbienia dla małego urzędnika, który potrafił tak sobie od ust wszystko odejmować, gdy ten Henryś już przepchał pierwsze rygorium¹⁴, wykazuje się u biednego urzędnika cukrzyca z karbunkulem¹⁵, brudna operacja i – śmierć. Henryk pcha dalej medycynę, matka zapożycza się i bardziej do szkieletu, jak do człowieka podobna, czeka na ów doktorat, wpatrzona w niego jak w tęczę, Henryś zostaje asystentem, tu i tam – walczy z neurastenią swoją młodą, z pięknoscią pań mecenasowych itd. I ot, mała tragedia codzienna, bardzo głupia, bardzo żadna i bardzo zwyczajna, o której taki pan Prezes nie ma pojęcia. Przechodzi się mimo i nawet nie powie się: o, patrzcie, ten chłopak z czymś walczy, ten chłopak nie ma ambicji, ten chłopak jest kokiet na wielką skalę, ten chłopak jest leń, ten chłopak jest żelazny medyk, ten chłopak jest nierób... ten chłopak lepiej, żeby nie był żył. *zdenerwowany śmieje się nerwowo* Co? Pannie Prezesie, jak się pan dziwnie na mnie patrzy...

PREZES SOŁTYS

W każdym razie z wyraźną sympatią.

HENRYK

O, tylko nie z politowaniem, panie Prezesie.

PREZES SOŁTYS

Przed wszystkim nie nazywaj mnie pan Prezesem. Mów mi pan zwyczajnie po ludzku pan, albo jak tam bądź.

HENRYK

Ach! To cudownie, przestanę gadać za dużo o połowę. Gdy się mówi z tytułem, to jakby szło się dwa kroki naprzód, a jeden w tył. Nienawidzę tego.

14 *rygorium* (łac.) – egzamin.

15 *karbunkul* (łac. *carbunculus*) – rodzaj schorzenia, polegającego na występowaniu licznych, położonych blisko siebie czyraków, które łączą się w jedno znamię; karbunkul najczęściej występuje na karku.

PREZES SOŁTYS

I ja także. I bądź pan częściej ze mną tak szczery, jak byłeś przed chwilą.

HENRYK

O, lepiej nie – szczerłość to jest zbytek. A na niego nie można sobie zawsze pozwolić. Tak jak na miłość.

Słychać śmiech LILUSI i RÓZI, widać tęczę na ubrylantowanych drzewach sadu. Mężczyźni odwracają mimo woli głowy w stronę, skąd dobiega śmiech kaskadą srebrną dwojga dziewczynek i gra tęczy.

PREZES SOŁTYS

Jak pięknie śmieją się te głosy.

HENRYK

Po dziewczęcemu! Bardzo po dziewczęcemu!

Na werandzie ukazuje się RÓZIA z LILUSIĄ. LILUSIA skacząc wlecze za sobą białe prześcieradło, którym jest owinięta, mając pod nim trykotowe, białe ubranko kąpielowe. Wyciąga broniącej się i śmiejącej się RÓZI z włosów dwie wielkie szylkretowe szpilki i ucieka z nimi za scenę wołając.

LILUSIA

Niech mnie pani goni.

RÓZIA pozostaje na werandzie zalana falą rozpuszczonych włosów, które powabną, długą falą spadły jej nagle na twarz i ramiona. RÓZIA jest ubrana w jasnoblękitnym kitlu z lśniącej srebrno ceraty, które to kitle we wszystkich miejscach kąpielowych używają do kąpania pacjentów. Przepasany paskiem nisko koło bioder – okrywa ją cała – spod płaszcza widać jej białe stopy. Teraz, gdy tak stoi na tle tęczy w fali swoich rozpuszczonych włosów, robi wrażenie Madonny – olśniewa sama – walcząc z włosami, cudna i dziwnie urocza, pociąga oczy swą pięknnością i wdziękiem. Dostrzega wpatrzonych w nią mężczyzn – zawstydzona, chwilę waha się, nie wiedząc, co począć ze sobą.

PREZES SOŁTYS

Jaka ona piękna!

HENRYK *zapatrzony*

To mało, piękna!

LILUSIA spostrzega mężczyzn, przebiega obok HENRYKA, nachmurzona skacze na jeden z leżaków po prawej stronie widzów, zawija się w swoje prześcieradło i tak pozostaje z głową przykrytą, RÓZIA woła do niej

RÓZIA

Lilusi, moje szpilki.

SCENA 8

PREZES SOŁTYS, HENRYK, RÓZIA, LILUSIA, *później* STEFAN

LILUSIA spod prześcieradła

Tu są, proszę przyjść i wziąć.

RÓZIA biegnie i zatrzymuje się przed mężczyznami zawstydzona

RÓZIA

Och! Przepraszam panów!

PREZES SOŁTYS

Za co? Słodkie dziecko? Za to, że jesteś tak piękna? To my raczej dziękować ci winniśmy za tę uroczą chwilę, którą nam twoja piękność sprawiła.

RÓZIA

O! Proszę pana.

zbliża się do LILUSI

Widzisz, coś zrobiła?

LILUSIA

Dobrze pani tak – trzeba było mnie przynieść aż tutaj – niechby zobaczył, że i mnie na rękach noszą.

Słychać dzwonki zajeżdżających kuców, wchodzi STEFAN.

STEFAN

Ekwipaż pana Asystenta

wychodzi

HENRYK

Dobrze – idę.

PREZES SOŁTYS

Wie pan co – niech mnie pan także wywiezie. Wyjdę na gościńce i tam będę czekać na pana – przysiądę się...

HENRYK

Nie będę wracał sam, tylko może z pacjentką.

SOŁTYS

Wrócę dorożką – uciekam przed odczytem dyrektora. Widziałem, że na dachu ponad kąpielami słonecznymi przygotowują mównicę. Ma mieć odczyt o potrzebie oddychania nosem. Miałem dosyć przeszłego odczytu o strącaniu fluidu czy pracy z końców palców.

HENRYK

Siedzi teraz w stajni i opatruje z Basią klacz.

PREZES SOŁTYS *wychodząc*

Ach! Trzeba będzie za tę klacz zapłacić! To biedni ludzie na dorobku. Żal mi ich! No, ja idę, a pan za chwilę wyjedzie kucami po mnie. Muszę kupić w miasteczku tytoniu.

do RÓZI, która przez ten czas upięła sobie włosy i okryła LILUSIĘ prześcieradłem

A tobie Róziu, co przywieść? Cukierków? Czekolady?

RÓZIA

Dziękuję, mnie nic nie trzeba.

PREZES SOŁTYS

Poczęstujesz panią Józefczykiewiczową...

HENRYK

Gniewamy się ciągle!

RÓZIA

Ja się nie umiem gniewać!

HENRYK

Szkoda!

RÓZIA

Zresztą na pana dziś gniewać się nie można.

HENRYK

Dlaczego dziś?

RÓZIA z prostotą

Bo dziś pana imieniny.

HENRYK

Co pani mówi? Zapomniałem.

RÓZIA

Ale ja pamiętam! Życzę panu *przeciera ręką po czole* wszystkiego... wszystkiego...

HENRYK

A ja dziękuję... proszę, daj mi pani...

RÓZIA

Cóż? Ja nie mam nic...

HENRYK

O, tę różę, którą masz przy pasku...

RÓZIA

Ach, z całej duszy. Oto ona!

HENRYK

wpina do butonierki przepyszną różę, którą mu RÓZIA podała

Tak pozostanie przy mnie, dokąd nie zwiędnie.

RÓZIA

O, to za długo!

HENRYK

Za krótko raczej... przynajmniej dla mnie.

Chce pocałować Rózię w rękę, ona zmieszana zwraca się do LILUSI, która leży zawinięta i zasłonięta prześcieradłem.

RÓZIA

Proszę pana Asystenta, Lilusia naprawdę jakoś zdenerwowana, nie jadła obiadu i nie chce jeść podwieczorku.

HENRYK

Niech jej pani da na podwieczorek czekoladę, ciastko, to zaraz wyzdrowieje.

RÓZIA

A dużo ciastek?

HENRYK

Trzy, cztery.

RÓZIA

Sama przyniosę...

wybiega, spotyka REWIDENTOWĄ JÓZEFCZYKIEWICZOWĄ

SCENA 9

HENRYK, JÓZEFCZYKIEWICZOWA, STEFAN, LILUSIA

zakryta głębiami

REWIDENTOWA JÓZEFCZYKIEWICZOWA

Jest tu nasz Asystent?

RÓZIA

Jest tam właśnie.

REWIDENTOWA JÓZEFCZYKIEWICZOWA

Panie Asystencie.

HENRYK

Służę pani!

podchodzi do LILUSI

Panno Lilusiu... jaka depresja, trwa ciągle?

LILUSIA

spod prześcieradła

Ja śpię, proszę się mnie nie czepiać!

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA jest ubrana w długą angielską nocną koszulę i trepki, na czubku ma spięte trochę włosów, na koszuli ma modne palto w kratkę z pasem i guzikami. W kieszeni palta tkwi ogromna marchew. To wszystko robi wrażenie ruszającej się kopy siana, sapie, dyszy ciężko, mimo to mizdrzy się do HENRYKA i uśmiecha.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Ja tu prosto z kąpieli słonecznej i tuż przed kolacją. Dziś dzień mojej wagi. Pan mnie zważy, luby panie Asystencie. Niech wiem, jaki wyrok zapadnie. Czy dalej będziecie mnie biedną głodzić, czy wreszcie wrócę do normalnego życia. Zdaje mi się, że troszeczkę schudłam.

HENRYK

To się pani zdaje! Bo ja widzę wręcz przeciwnie. Ważyć pani nie mam czasu, bo ja jadę do miasteczka, niech to uczyni sam dyrektor albo panna Różia.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Za nic w świecie, nikt tylko pan! Ja siadam na wagę i siedzę dotąd, dopóki pan nie wróci.

wyłazi, sapiąc, na wagę i rozsiada się

HENRYK

Jak się pani podoba.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Pan jest okrutny!

STEFAN wnosi dużą lampę niezapaloną i stawia na szafie z książkami, przechodząc mówi grobowym głosem

STEFAN

Ośmielam się zwrócić uwagę pana Asystenta, że kuce się denerwują.

HENRYK

Idę! Słyszysz pani? Mus mnie woła!

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Ja czekam...

HENRYK

Wesołej zabawy!

Wychodzi i znika w głębi sadu, słysząc odjeżdżające kuce i ginący głos dzwonków.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Pst! Pst! Stefanie!

STEFAN

O co się rozchodzi wielmożnej pani?

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Jak Stefan będzie kupować dla mnie na noc konserwy z homara, bryndzę i bułki, proszę wstąpić do cukierni i wziąć tort czekoladowy, który dla mnie zamówiono.

STEFAN

Nie będzie ani torta, ani czorta!

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

A to co znowu?

STEFAN

Rzecz prosta – wykryto nasze konszachty i oto konsekwencja. Miała wielmożna pani rydel i łopatę, mogła zakopać w ziemię pudełka i flaszki, zaklepać i byłoby wszystko w porządku. Ja nie mogę mojej kariery dla wypełniania żołądka pani narażać!

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Cóż ja teraz zrobię?

STEFAN

Będzie wielmożna pani żyć własnym przemysłem. Ja tak żyłem za moich sierocych lat i jestem chudy jak szkielet, bez żadnych fiksum-dyrdu przyrodo-

lecniczych. Między nami mówiąc – moje dzieci tak samo żyją i są takie jak ja szkielety, ale to rozwija i poucza. Wielmożna pani także się rozwinie i wykształci.

Wchodzi RÓZIA, niesie na tacce dzbanuszek z czekoladą, cztery duże ciastka i niesie do LILUSI, która przez ten czas pod prześcieradłem naprawdę zasnęła. RÓZIA przysuwa krzeselko i stawia tacę przy leżaku, na którym leży LILUSIA.

RÓZIA do STEFANA

Czy nie ma wieczornej poczty?

STEFAN

Nie wiem, co się stało, ale nie ma listonosza...

RÓZIA

Może jeszcze nadjedzie. Czy Stefan przygotował katedrę na dachu dla pana dyrektora na odczyt?

STEFAN

Właśnie niosę drabinę. Ale deszcz wisi w powietrzu – to może nas Pan Bóg ocali od tego odczytu.

wychodzi głębią

RÓZIA do REWIDENTOWEJ JÓZEFCZYKIEWICZOWEJ

A może panią zważyć?

REWIDENTOWA JÓZEFCZYKIEWICZOWA zła

Dziękuję! Ale pani wie, że ja nie lubię kobiecych zabiegów medycznych.

RÓZIA

Właśnie idzie pan dyrektor, to on panią zważy.

SCENA 10

REWIDENTOWA JÓZEFCZYKIEWICZOWA *na wadze*,
LILUSIA *pod prześcieradłem*, RÓZIA, DR RACZKIEWICZ

DR RACZKIEWICZ do RÓZI

Gdzie pani Radczyni Konopajtys?

RÓZIA

Była na słonecznej kąpieli.

DR RACZKIEWICZ *napuszony*

Proszę ją zawiadomić, że przed odczytem wstrzyknę jej licytynę¹⁶.

RÓZIA

cicho odprowadzając go na bok

Nie ma licytyny – wyszła, a w aptece nie ma.

DR RACZKIEWICZ *cicho*

Proszę mi przynieść cichaczem przegotowanej wody w szklance, to będzie wystarczające.

do REWIDENTOWEJ JÓZEFCZYKIEWICZOWEJ

Co pani robi na tej wadze?

REWIDENTOWA JÓZEFCZYKIEWICZOWA

Czekam na pana Asystenta, żeby mnie zważył!

RÓZIA wyszła śródkiem

DR RACZKIEWICZ

Ja to uczynię! *zabiera się do ważenia* Co pani tam ma w kieszeni?

REWIDENTOWA JÓZEFCZYKIEWICZOWA

Moją kolację. Przecież pan doktor kazał mi, żebym jadła to, co wyciągnę z ziemi, więc wyciągam, co mogę!

wyciąga z kieszeni olbrzymią marchew

16 licytyna – organiczny związek chemiczny; w organizmie człowieka licytyna jest obecna w każdej komórce ciała, zwłaszcza jako składnik błon komórkowych; bierze udział w rozmaitych procesach przemiany materii, jest bardzo ważnym elementem składowym mózgu i tkanki nerwowej, stanowi barierę ochronną ścian żołądka, bierze udział w gospodarce cholesterolu.

DR RACZKIEWICZ

Pięknie, to dla pani jedyne zbawienie. Tylko niech pani pamięta, uderzyć trzydzieści sześć razy zębem w to, co pani ma pod zębem.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

W co mam uderzać? W tę marchew, na surowo?

DR RACZKIEWICZ

Tam pod płotem rośnie koper, niech pani zerwie łydźki... bardzo zdrowe, można także jeść na surowo.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Dziękuję! To wszystko byłoby bardzo odpowiednie, gdybym miała żołądek zwierzęcia przeżuwającego, ale tak jak jest – to rozpaczliwe – jak Boga Kocham, to rozpaczliwe!

DR RACZKIEWICZ

Czy pani żyje dlatego, aby jeść?

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Ale jem, żeby żyć!

DR RACZKIEWICZ

Ja pani powiem prawdę, pani znów utyla o 2 kilo. Ja nie wiem, co pan Asystent powie, jak przyjdzie...

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

A niech sobie gada, co chce. Mnie to już wszystko jedno!

DR RACZKIEWICZ

Ale honorowi „Gencjany” to nie wszystko jedno. Napiszę pani kartkę, ile pani dziś ważyła!

Wchodzi do swego gabinetu, który otwiera kluczem. REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA chwilę patrzy za nim, wreszcie zeskakuje z wagi, biegnie do krzeselka, na którym stoi czekolada LILUSI, wypija z dzbanka czekoladę, chwytając ciastka, pakuje do kieszeni palta i wraca na wagę, na którą wdrapuje się, sapiąc i pakując pospiesznie kawałek ciastka, który ukryła w kieszeni.

DR RACZKIEWICZ

wraca z kartą w ręku

Oto jest, ile pani ważyła dziś. Smutne to, ale prawdziwe. Niech pani idzie teraz pojeździć na sztucznym, drewnianym koniu w sali gimnastycznej, można dziś kurs galopa – będzie pani miała lepszy apetyt na kolację.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

To mi chyba niepotrzebne.

DR RACZKIEWICZ

A potem zapraszam na odczyt.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Nie omieszkam... nie omieszkam.

wychodzi środkiem, do siebie

Będziesz mnie widział, jak swoje ucho!

SCENA 11

DR RACZKIEWICZ, LILUSIA

która budzi się, dostrzega tackę z podwieczorkiem, zagląda do dzbanuszka, dostrzega, że jest pusty i wrzeszczy

LILUSIA

Tu była czekolada! Gdzie jest moja czekolada!

DR RACZKIEWICZ

Naprzód dawno po podwieczorku – teraz kuchnia zamknięta i regulamin zakazuje wydawania jedzenia.

LILUSIA

Ja byłam głodna...

DR RACZKIEWICZ

Regulamin zakazuje być głodnym pomiędzy jednym posiłkiem a drugim...

LILUSIA

Ja chcę moją czekoladę. Pan ją pewnie wypił albo ta gruba stwora, co siedziała na wadze...

wchodzi STEFAN i niesie gramofon, który ustawia w kącie

STEFAN

Niosę z ogrodu gramofon, bo zabiera się na burzę i państwo będą pewnie po ciemku tańczyli.

LILUSIA

Czy to Stefan mi wypił czekoladę?

STEFAN

Bóg strzegł!

LILUSIA

To pewnie ta gruba...

STEFAN

Pewnie – bo ona się teraz żywi własnym przemysłem. Widziałem, jak się zapychała ciastkami, kiedy stąd leciała.

LILUSIA biega po scenie w prześcieradle

LILUSIA

Moja czekolada! Ja chcę moją czekoladę!

DR RACZKIEWICZ

który przez ten czas siedząc na kanapce przeglądał kartę swego odczytu, mówi półgłosem

Szanowni słuchacze i słuchaczki! Wy nawet nie wiecie, co się mieści w końcach waszych palców, oto treść waszego życia – koncentracja i aglomeracja waszych sił żywotnych. Prana¹⁷ – jednym słowem – prana...

LILUSIA

staje przed nim

Ja chcę moją czekoladę...

DR RACZKIEWICZ

A cóż to za nieznośne stworzenie. Stefanie, przynieś jej tej czekolady i zadzwoń pierwszy raz na odczyt!

17 prana – w hinduizmie życiodajna energia, przenikająca organizm ludzki.

LILUSIA

Ja nie chcę, ja nie potrzebuję... ja chcę tego, co było w tym dzbanuszkę...

DR RACZKIEWICZ

To niepodobna do ziszczenia.

LILUSIA

To ja się rozchoruję i umrę...

rzuca się na swój leżak i zakrywa się prześcieradłem

DR RACZKIEWICZ

Strach! Żadnego szacunku dla mego stanowiska i wiedzy!

Zabiera kartki i ucieka do swego gabinetu, na scenie pozostaje LILUSIA pod prześcieradłem. STEFAN nastawia gramofon.

STEFAN

Radziłbym trochę opanowania zbyt przedwczesnych wybujałości temperamentu kobiecego.

LILUSIA

Bałwaniorum domestica!

STEFAN

Zgoda! Niech będzie, ale jak tak dalej pójdzie, to powinszować przyszedłemu małżonkowi wielmożnej panienki.

wychodzi, słychać dzwonek na odczyt

SCENA 12

PANIE – MECENASOWA BIERSTOCKEL, RADCZYNI KONOPAJTYS,
PANNA IRENA, NADRADCZANKA MAZGAJSKA,
REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA,
później PANNA STASIA, PANNA RÓZIA

RADCZYNI KONOPAJTYS

Jest tu pani Mecenasowa Bierstockel?

STEFAN

Pani Mecenasowa jeździ na drewnianym koniu galopem w hali gimnastycznej.

RADCZYNI KONOPAJTYS

STEFAN w głębi

Proszę jej powiedzieć, że ja tu jestem i czekam na nią.

STEFAN wychodzi, wpadają PANNA IRENA, NADRAD CZANKA MAZGAJSKA, LILUSIA nakryta prześcieradłem.

PANNA IRENA

Jesteśmy! Chodźmy... zaprowadzę was boczną ścieżką – będziemy z powrotem w dwadzieścia minut.

RADCZYNI KONOPAJTYS

Byle tylko dostać to, co pragniemy.

PANNA IRENA

Proszę pani, szampana pani dostanie nawet na biegunie północnym. A tu się rozchodzi o szampan – prawda?

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Będziemy pić szampana?

PANNA IRENA

A cóż! Pani chciała kwaśne mleko? To byśmy go uraczyły na imieniny...

Wpada MECENASOWA BIERSTOCKEL i REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA w spódnicy i w płaszczu.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Jesteśmy, chodźmy...

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

A może on szampana nie lubi!

PANNA IRENA

Gdzie pani widziała mężczyznę, który by szampana nie lubił?

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Mój tatko...

PANNA IRENA

Takie gadanie! Ale jak tam w kasynie? Każdy mężczyzna mówi, że nie lubi szampana – a gdzie się te krocie butelek podziewają na całym świecie?

REWIDENTOWA JÓZEFczykIEWICZOWA

Co nas to obchodzi, co on lubi czy nie lubi. Dla mnie proszę, żeby była madera...

RADCZYNI KONOPAJTYS

A dla mnie...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Powiecie mi po drodze – uciekajmy, bo czeka nas albo burza, albo co gorsza, odczyt dyrektora.

LILUSIA

odrzuca prześcieradło, wpada między nich wołając

Ja z wami! Musicie mnie zabrać ze sobą!

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Ależ Lilusiu, sensu nie ma, my zaraz będziemy z powrotem.

LILUSIA *do matki*

Cicho bądź! Nie denerwuj mnie... Ja także muszę wybrać to, co lubię...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Ja wiem, którą markę lubisz, bądź spokojna...

REWIDENTOWA JÓZEFczykIEWICZOWA

A zresztą dzieci i ryby nie mają głosu...

LILUSIA

wściekła, do JÓZEFczykIEWICZOWEJ

Ja jestem już dorosła, a potem, to pani jest wieloryb kamerdalski! *do pań* Jak mnie nie weźmiecie z sobą, to ja w te pędy biegnę do dyrektora i was zdradzę.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Nie ma co, trzeba ją wziąć – ona nam wszystko popsuje. Ale jesteś nieubrana.

LILUSIA

Ja biegnę po płaszczyk... was dopędzę.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Boczną ścieżką...

LILUSIA

Wiem, wiem.

wybiega środkiem, mija się z panną STASIA, która wpada jak bomba z ogrodu

PANNA STASIA *z listami*

Idziecie? Czekajcie sekundę – macie pocztę. *rozdaje listy* Od mężusia, od mężusia, od mężusia *do panien* jakieś zagadkowe... nie od męża, bo z tych kawałków trudno będzie... my panny...

NADRADCZKA MAZGAJSKA

To od mamusi.

PANNA STASIA

Ja także i szkoda, że tylko... ale tu mam coś, co wam pokażę tylko w sekrecie, pamiętajcie, musicie przysiąc...

panie skupiają się obok niej

PANNA STASIA

To do... Asystenta

wszystkie zainteresowane

A! Jak mamusię kocham. I to od kobiety.

wszystkie z oburzeniem

O!

MECENASOWA BIERSTOCKEL

To może mu nie winszujemy.

PANNA STASIA

Ale co najkomiczniejsze *zaśmiewa się* to jest to, że to także od jego mamusi...

wszystkie rozjaśnione

E! Ale co za list! Konać ze śmiechu, słuchajcie.

Wyjmuje z ubogiej koperty na brudnej ćwiartce papieru – i kartkę pocztową z twarzą kobiecą, mającą przyklejone sztuczne włosy.

Tak mi się list otworzył niechcący – myślałam, że to do mnie... że ktoś z rodziny... *Enfin*¹⁸, tak się rozdarło! I wyleciała taka kartka. Nie! Patrzcie tylko! Coś bajecznego... u nas kucharka ma nad łóżkiem z prawdziwymi włosami, widziałyście coś takiego? Pomacajcie.

Panie dotykają kartkę i zanoszą się ze śmiechu, ubite w gromadkę. Środkiem weszła RÓZIA i szła w stronę szafki z książkami, zatrzymała się, widząc co się dzieje, one zaciętrzewione na nią uwagi nie zwracają.

SCENA 13

Te same, RÓZIA

PANNA STASIA

A tu list! Arcydzieło...! Więc... Kochany synu, ale kochany przez „h”. W dzień twego patrona przesyłam... śmieje się tu była nie na żarty walka z ortografią... owo „przesyłam” było kilkakrotnie poprawiane – „sz” na „cz” itd. czyta ci życzenia – znów walka i „sz” na „rz”, nadetatowy jakby powiedział mój papa i „śliczną pannę, żebyś się z taką zaręczył, tam gdzie jesteś i był zdrowy, czego ci z całego serca życzę. A w tym roku, to już na mnie nie licz – bo mi coraz ciężiej – i zdaj już raz na tego doktora, to i mnie będzie z pomocą i te długi i ofiary, co się zaciąga pospłaca... mówi A te ofiary to osobno „o” a osobno „fiary”. Jak mamę kocham!

RÓZIA

wchodzi pomiędzy panie

Przepraszam, ale zdaje mi się, że ten list nie był do pani pisany.

PANNA STASIA *chwilę strapiona*

Listonosz mnie spotkał przed bramą i oddał mi wszystkie listy. Tutaj są gazety... i list do doktora.

18 *enfin* (fr.) – nareszcie, wreszcie.

RÓZIA

Pani mi odda także i ten list!

PANNA STASIA

Proszę! Choć mogłabym nie oddawać. Sama mogłabym wręczyć Asystentowi.

RÓZIA

Taki otwarty!

PANNA STASIA

Och! To wypadek...

RÓZIA

Kolportowałyby go pani tymczasem dalej. Ale to nieładnie.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Rzeczywiście – to nieładnie...

RADCZYNI KONOPAJTYS

Chciałam to pani powiedzieć...

REWIDENTOWA JÓZEFczykiewiczowa

Ja także...

PANNA IRENA

Dziwiłam się nawet, jak to panie może zajmować...

PANNA STASIA

Tak? Jakiście wysłuchały, to się teraz dziwicie. do RÓZI Pani jakim tonem do mnie mówi. Ja do tego nie jestem przyzwyczajona...

RÓZIA

Do wszystkiego w życiu musi się pani przyzwyczaić...

PANNA STASIA

Najzupełniej nie potrzebuję. Pochodzę ze sfery, w której się nie potrzeba do niczego przyzwyczajać. Powiem to doktorostwu, a oni napiszą do moich rodziców. Ja mam tu *carte blanche*¹⁹ na wszystko, co mi się żywnie podoba i nikt

19 *donner carte blanche* (fr.) – dać swobodę działania.

mi żadnych uwag nie może robić, a tym bardziej pani! Jestem nerwowo chora i jako taka robię, co chcę... U nas służba jest dobrze wytresowana! Chodźmy, moje panie!

odchodzą, na scenie zostaje RÓZIA

RÓZIA do RADCZYNI KONOPAJTYS

Zwracam pani uwagę, że pan dyrektor ma pani zastrzyknąć licytynę. Prosił, żeby pani czekała w gabinecie.

RADCZYNI KONOPAJTYS

Wolę poczekać na pana Asystenta.

Słychać dzwonek odczytowy, uciekają wszystkie – spotyka ich LILUSIA ubrana w płaszczyk, biegnąca na lewo cichaczem. RÓZIA zostaje sama, chowa list HENRYKA do kieszeni płaszcza, bierze schodki, przystawia do szafy, wchodzi na nie, kładzie tam gazety i zostawia schodki tak przy szafie.

SCENA 14

DR RACZKIEWICZ, RÓZIA, BARBARA, później STEFAN

DR RACZKIEWICZ wychodzi z uroczystą miną, ma w ręku kartki z odczytem

RÓZIA

Proszę pana dyrektora, to jest list do pana, napisane – osobiste – nie do dyrekcji zakładu.

DR RACZKIEWICZ

Dobrze. *bierze list, nie otwiera – do RÓZI* Dzwoniono po raz pierwszy na odczyt.

wchodzi środkiem BARBARA

BARBARA zła

Panno Róziu, trzeba przygotować pokój dla nowej pacjentki, pan Asystent może raczy ją przywieźć z miasta.

RÓZIA

Dobrze.

wychodzi

DR RACZKIEWICZ

Szkoda, że panna Różia nie będzie na odczycie, byłaby jedna osoba więcej.

BARBARA

Na jakim odczycie?

DR RACZKIEWICZ

Moim, który mam mieć za chwilę na dachu kąpieli słonecznych. Już dzwoniło...

BARBARA

Nie kompromituj się najlepiej, nikt na twój odczyt nie przyjdzie.

DR RACZKIEWICZ

Kiedy mówię, że już dzwoniło.

BARBARA

Widziałam z okien mojego pawilonu, jak te wszystkie panie pędziły jak wariatki bocznymi ścieżkami do miasteczka... Tam pan Asystent zabrał Prezesa po drodze i pognął także do miasteczka. Orzechowa zaszyła się z mężczyznami w kukurydzy i gra w karty. W ogóle jej prowadzenie jest skandaliczne. Pod pozorem sportów ciągle z mężczyznami. Trzeba, aby się mąż o tym dowiedział.

DR RACZKIEWICZ

Daj spokój – on nam tu przysyła pacjentów. Tutaj Basieczko jest do mnie list osobiwy, proszę cię, może przeczytasz pierwsza?

BARBARA

Dawaj!

czyta po cichu list, środkiem wchodzi STEFAN

STEFAN

Czy dzwonić na odczyt po raz drugi?

DR RACZKIEWICZ

Tak jest...

STEFAN

Może pan dyrektor weźmie na ten dach parasol, bo zabiera się na deszcz.

podaje parasol

DR RACZKIEWICZ

Regulamin zakazuje chodzić z parasolem.

STEFAN

stawia w kącie parasol

Dobrze, tam już urządziłem publikę. W pierwszym rządzie siedzi kucharz, za nim podkuchenny i przyłapałem listonosza. Po stronie dachu w pierwszym rządzie roztasowała się klucznica, dalej pokojówki... kąpielowa. Zosia nie chciała przyjść, fryzuje się czy coś. Potem będę ja... to już wszystko... Wielmożnych państwa ani śladu. Jak wymiótł...

DR RACZKIEWICZ

Jeszcze nadejdą... Niech Stefan raz jeszcze zadzwoni.

STEFAN

Mogę...

BARBARA

Takie mam spłakane oczy, że dobrze listu nie mogę przeczytać.

DR RACZKIEWICZ

Och żonusi! Dlaczego płakałaś?

BARBARA

usiłując, aby ją STEFAN nie słyszał

Jak to? Stracić taką ulubioną klacz, to nic nie znaczy? Ja byłam do niej przywiązana, jak do najwierniejszego pudła...

DR RACZKIEWICZ

Ależ Basieczko – ty jej ścierpieć nie mogłaś...

BARBARA

Ja? Niech Stefan idzie...

STEFAN wychodzi, po chwili słychać dzwonek na odczyt, ściemnia się, zabiera się na burzę. Do męża.

Boże! Czy u ciebie nie ma za grosz sprytu? Chodzi o to, żeby ludzie wiedzieli, że nam na tej klaczy moralnie zależało...

DR RACZKIEWICZ

A tak?

BARBARA

Ja muszę myśleć za nas oboje.

DR RACZKIEWICZ

Ach, Basieczko – taki jestem spracowany i ważyłem Józefczykiewiczową, zarządziłem uspokojenie nerwów małej Bierstockel, przygotowałem wodę zamiast licytyny dla Konopajtysowej. Mało się nie rozerwę – poza tym wzruszenie przed odczytem. Basieczku, aniele, idź na odczyt, błagam cię.

BARBARA

Ani myślę! Tutaj burza idzie, a ten błazen Asystent wziął kuce i poleciał jak szalony do miasteczka. Jak gdzie z kucami utknie na płocie, to kto zapłaci? On nie ma koszuli na grzbiecie.

DR RACZKIEWICZ

Nie bój się, on nie jest z obywatelskiego domu, ani Prezes. On potrafi dać sobie radę z końmi i z kobietami.

BARBARA

A ja ci mówię, że jego musi się wygnać jak najprędzej raz-dwa. Zastępca się znajdzie, a tu twój kolega Mazakiewicz pisze, że ma jakiegoś, który może w tej chwili przyjechać. Trzeba napisać *par exprès*²⁰, niech jedzie. A tu trzeba tak mądrze coś wymyślić z tym zerwaniem kontraktu z tą piękną potworą, aby się żadna z tych bab nie ruszyła. To nie dość, że będą miały zastępcę – ale trzeba, ażeby im właśnie o tego przestało chodzić.

DR RACZKIEWICZ

Ja taki list napiszę i wyślę zaraz *par exprès*. Ale Basieczko! Czy nie lepiej byłoby już dotrzymać Henryka do końca?

BARBARA z *wybuchem*

Właśnie!... Po głowach nam chodzi, nic nie robi, trzęsie całym zakładem, ty jesteś zerem, niczym, pośmiewiskiem. Stefan tu więcej znaczy. Jeżeli nie masz ambicji i znosisz to, to ja mam ambicję za ciebie i za siebie. Nie mogę ścierpieć tego dłużej i nie ścierpię. Sprowadzaj nowego, a z nim ja się jakoś załatwię.

20 *par exprès* (fr.) – przez posłańca.

DR RACZKIEWICZ

Pamiętaj tylko, żebyśmy się nie skompromitowali.

BARBARA

Będzie tak, jak postanowiłam, albo ja wyjadę z „Gencjany”, wybieraj!

DR RACZKIEWICZ

Basieczku! Jak może być mowa o czymś podobnym. Niech idzie na złamanie karku! Wyślij list Stefanem. Zaraz po kolacji – odjedzie rannym pociągami, a teraz Basieczku, aniele, chodź na odczyt.

BARBARA

Ani myślę – idę do siebie i piszę ci brulion listu o nowego asystenta, chodź ze mną.

DR RACZKIEWICZ

Tam czekają...

BARBARA

Kto? Kucharz i klucznica? To ważniejsze, chodź!

Zabiera męża i wchodzi do gabinetu DRA RACZKIEWICZA, chwilę scena pusta, wreszcie w głębi pędem wpada GUSTAWA STRZYGOŃ, oglądając się strwożona.

SCENA 15

GUSTAWA STRZYGOŃ, później DR RACZKIEWICZ, BARBARA I STEFAN

GUSTAWA STRZYGOŃ jest to ładna, młoda kobieta o wydatnym biuście, ubrana w wyzywającą przesadą mody czarno, krótko, ma duży kapelusz, czarne włosy, ażurowe pończochy, półbuciki na wysokich obcasach. Jest to amalgamat czegoś zuchwałego i jakby półsmutnego. Twarz jej wychudła, blada, robi wrażenie kwiatka wyhodowanego w północnym mieszkaniu, który zakwitł, ale bez barwy i woni. Jest to typ kawiarnianej kasjerki, która życie swe pędzi półśpiąc, półdrzemiąc za bufetem. Rozgląda się po scenie, pokazując od czasu do czasu język i dotykając porzucanych przedmiotów. Nagle z gabinetu wychodzi DR RACZKIEWICZ i mówi do będącej w głębi gabinetu BARBARY.

DR RACZKIEWICZ

Dobrze Basieczku! Odwołam odczyt i najlepiej niech Stefan od razu idzie z tym listem na stację.

odwraca się, dostrzega STRYGOŃ, ona przerażona chwyta za krzesło, cofa się i zastawia nim, wołając

GUSTAWA STRYGOŃ

Proszę się do mnie nie zbliżać... proszę się nie zbliżać.

DR RACZKIEWICZ

Cóż to znowu? Czego pani dobrodziejka się boi? Ja jestem dyrektor tutejszego zakładu, dr Raczkiewicz, a pani dobrodziejka?

GUSTAWA STRYGOŃ

To pan nie jest tutejszy pacjent?

DR RACZKIEWICZ

Ja jestem właściciel, kierownik i twórca tego zakładu.

GUSTAWA STRYGOŃ

opuszcza krzesło

Ja myślałam, że pan jest *mente captus*²¹ i przestraszyłam się. Bo tak między nami mówiąc, chodzi pan na bosaka, jakby już całkiem butów na świecie nie było... i komik z pana – jak Boga kocham, pana się można przestraszyć, jakby się tak pana w ciemnym przejściu spotkało...

DR RACZKIEWICZ

Nie sądzę... a pani dobrodziejka z czym tu raczyła przybyć? Czy po poradę lekarską, czy...

GUSTAWA STRYGOŃ

Pan mnie pamięta? Ja przecież pisałam list do was z miasteczka, że przyjeżdżam na kurację i czekałam w hotelu na odpowiedź, ale że nikogo nie było widać, to wzięłam dryndę i pojechałam trochę na spacer i oto jestem...

21 *mente captus* (łac.) – głupkowaty, ograniczony umysłowo, tępy.

DR RACZKIEWICZ

A tak! Mój Asystent pojechał właśnie po panią.

GUSTAWA STRZYGOŃ

Takie małe koniki jak szczury i dwóch facetów, jeden stary, drugi solidny, młody. Tośmy się właśnie minęli. Ja tu nie na kurację do was, ale na odpoczynek. Bardzo jestem zmachana, tak, że już chwilami żyć się nie chce. Mój doktor powiedział, że to się wyrówna i że tu podobno przerabiacie ludzi na nowo. To by się przydało.

DR RACZKIEWICZ

Przede wszystkim, kto pani jest. Panna, mężatka czy wdowa?

GUSTAWA STRZYGOŃ

Co pan chce, do wyboru. To jest przecież głupstwo. A nazywam się naprawdę Strzygoń. To sobie zatrzymałam, tylko sobie przybrałam Gustawa, bo zauważyłam, że mężczyźni lubią kobiety, które mają wąsiki i męskie imiona. A pan?

DR RACZKIEWICZ

Ja nie wiem.

GUSTAWA STRZYGOŃ

Co pan mówi! Tak pan już w latach, a nic pan nie wie. Pan jest komik – naprawdę, że pan jest komik, ale z pana musi być coś pocziwego. Takie pan ma siwe, pocziwe ślepie. Tylko z pana musi być pantofel. To aż bije w oczy. Ma pan żonę? Mój doktor mówił, że jest i że ona wszystkim trzęsie. Ale ja sobie z nią dam radę! Nie z takimi sobie poradziłam. Ja zaraz wypenetruję, gdzie słaba strona i będę w tę biła.

DR RACZKIEWICZ

ogląda się niespokojnie na drzwi swego gabinetu

Zapewniam panią, że moja żona...

GUSTAWA STRZYGOŃ

E! Co mnie tam obchodzi. Byłe dobrze jeść dawała. Tyle grunt. Bo w miasteczku to pękają z was ze śmiechu. Nazywają was wariaty z mokrą głową. Ale mnie się to wszystko podoba. A już te góry, to panie, pycha! Ja nigdy gór nie widziałam – tylko w kinie – ale cóż, to trzęsiem się i ze szmat. A tu tak się

dobrze oddycha, aż płuca nastarczyć nie mogą. Ja mało nie zwariuję, tak mi tu dobrze...

DR RACZKIEWICZ

Cieszy mnie to, iż widzę w pani miłośnicę przyrody...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Ja tam nie wiem, czy to przyrody, czy jak, ale wiem, że mi tu jak w raj. Pan się będzie dziwił, jak się pan dowie, że takie coś jak ja, to biedne bardzo, bo to nie powącha nigdy świeżego powietrza, słońca nie widzi, pan wie. We dnie śpi, a w nocy siedzi za tym bufetem.

DR RACZKIEWICZ

Jak to za bufetem?

GUSTAWA STRZYGOŃ

No, bo ja jestem taka nocna kasjerka. To pana dziwi... Teraz jestem w „Piekło”.

DR RACZKIEWICZ

Pani dobrodziejka daruje, ale to zmienia postać rzeczy...

GUSTAWA STRZYGOŃ

E! To się panu nie podobało. Ja sobie tak myślałam od razu – dlatego najpierw zajechałam do miasteczka.

DR RACZKIEWICZ

Proszę pani, u nas są same pacjentki, osoby poważne, solidne – mężatki albo panny...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Także wielka awantura. Być panną to się musi, a mężatką to można zostać na upartego także. No i co? Kiedy się mam sprowadzić? Pobiegnę do miasteczka i jestem z powrotem... Ja bym chciała dziś jeszcze...

DR RACZKIEWICZ

Proszę pani dobrodziejki, jestem trochę w ambarasie. Ja się muszę naradzić z moim... tym... współnikiem. Gdyby to ode mnie zależało...

GUSTAWA STRZYGOŃ

A co? Mówiłam, że pan jest pantofel. No! Naradzaj się pan, naradzaj...

DR RACZKIEWICZ

Czy pani dobrodziejka mówiła w miasteczku, kto pani właściwie jest?

GUSTAWA STRZYGOŃ

Komu? Nie głupiam. Ubrałam się na czarno, a zresztą, co komu do tego. Wyglądam całkiem na coś porządnego... No tatuńciu, nie bądź nudny, ja się sprowadzę. O! Już oczka się panu śmieją.

DR RACZKIEWICZ

mimo woli rozweselony, ale wyglądający na drzwi gabinetu

No! No!... Dobrze... postaram się zrobić, co będę mógł. Może pani wejdzie do tego gabinetu, posiedzi spokojnie i poczeka, aż ja panią zawołam.

otwiera drzwi do gabinetu elektrycznego

Tylko niech pani tu nic nie rusza, bo to są cenne aparaty elektryczne.

GUSTAWA STRZYGOŃ

Mój doktor ma także takie blagi. Ale to mnie tyle pomaga, co umarłemu kadzidło. O tak! Słońce, powietrze, mleko, w to, jak Bożię kocham, wierzę, że mnie podreperuje.

DR RACZKIEWICZ

Niechże pani tu wejdzie... A przez co pani oddycha?

GUSTAWA STRZYGOŃ

Czy ja wiem – no przecież nie łokciem.

DR RACZKIEWICZ

Bo należy nosem – rozumie pani – w „Gencjanie” będzie pani musiała oddychać nosem...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Ale tatuńciu – czym chcesz – byle tylko tu być...

przechodzi, podskakując do gabinetu elektrycznego

DR RACZKIEWICZ

Nosem – pani ma doskonałe do tego nozdrza, coś tego...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Za-dar-ty, ale na co dzień starczy.

Zadzierając nos końcem palca, chowa się do gabinetu. DR RACZKIEWICZ patrzy za nią z lubością, prostuje się, przybiera postawę trochę bardziej młodą, poprawia włosy – tymczasem z jego gabinetu wychodzi BARBARA, dostrzega męża, podchodzi do niego i trąca go ramieniem.

BARBARA

Co ty wyprawiasz?

DR RACZKIEWICZ

A! Basia, Basiuchna!

BARBARA

Kto był tutaj? Pościarałam ci kurz na biurku, ale tu słyszałam jakiś głos kobiety. Kto tu był?

DR RACZKIEWICZ

odprowadzając ją na drugą stronę sceny

Tu jest ta nowa pacjentka, ta pani Gustawa Strzygoń, minęła się z Asystentem i przyjechała.

BARBARA

Gdzie ona?

DR RACZKIEWICZ

Ale Basiuchno – ja muszę cię ostrzec. To zdaje się będzie dobry gość. Można jej będzie dać ten biały narożny pokój z balkonem... Ona dobrze zapłaci. Pacjentka solidna... tylko...

BARBARA

Na cóż się tak wykręcasz...

DR RACZKIEWICZ

Tylko – to jest osoba... zdaje się lekkiej konduity – nie wiem dokładnie, ale tak suponuję... tak coś...

BARBARA

A któż to taki?

DR RACZKIEWICZ

To kasjerka jakiejś cukierni, czy coś, gdzieś... Takie dziewczęta czasem są wyjątkowo solidne... i świetnie idą za męż...

BARBARA

Czy ty oszalał? Do „Gencjany”, pomiędzy te panie, sprowadzać takie coś? A nie! To świat się kończy...

DR RACZKIEWICZ

Ona jest czarno ubrana...

BARBARA

A niech będzie, jak chce. Ja za nic nie pozwolę na taki skandal! Wierzę, że tobie bardzo by się to podobało, stary rozpustniku, a jeszcze więcej twojemu Asystentowi...

DR RACZKIEWICZ

Oni się nie znają – minęli się na gościńcu.

BARBARA

Ale się poznają... swój swego zawsze znajdzie, chociaż nie szuka... Nie pozwolę, nie wezmę, nie przyjmę, żeby nie wiem co się działo!

STEFAN

ukazuje się w głębi

Czy dzwonić jeszcze raz na odczyt?

BARBARA

Nie ma żadnego odczytu, niech służba wraca i przygotuje kolację, a Stefan niech bierze ten list i zanieś na kolej, pociąg teraz szedł i będą wybierać z puszek...

STEFAN

Dobrze.

DR RACZKIEWICZ

I proszę powiedzieć publiczności, że z powodu niepewnej pogody odczyt odkłada się na dni następne.

STEFAN

Nie omieszka się! Tylko zabiorę drabinę.

wychodzi z listem

BARBARA

A ty wyrzuć to stworzenie...

DR RACZKIEWICZ

Basieczku... tak jakoś nieporęcznie, może ty, jako kobieta...

BARBARA

Nigdy w życiu – ja znanadto się szanuję, ażeby z taką gadała. Proszę to zrobić zaraz, bo ulewa tak po górsku nagle lunie i ona gotowa się tu roztasować na noc... *z godnością* wtedy ja wyjdę spod...

zaciemnia się pośpiesznie, BARBARA wychodzi głębią

DR RACZKIEWICZ

bardzo zmartwiony i zakłopotany idzie do drzwi gabinetu elektrycznego i mówi

Pani dobrodziejka będzie łaskawa, pozwoli...

GUSTAWA STRZYGOŃ

O! Po minie pana widać, że się nie powiodło. Co? Nie chcesz mnie?... *zmar-twiona, dziecinnym tonem* To szkoda, ona była taka konkretna.

DR RACZKIEWICZ

Kto ona?

GUSTAWA STRZYGOŃ

No, ona *puka się w piersi* Gucia! A teraz z tego wszystkiego nic... Ni-ci! Ale dlaczego?

DR RACZKIEWICZ

Wspólnik mój twierdzi, że zawód pani mógłby zrazić grono naszych pań...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Ojoj! Trzymajcie mnie – takie hrabskie figury – ale ona nie potrzebuje wie-dzieć, kto ja jestem... Ja się tak zachowam, całkiem jak ona, niczym się nie zdradzę, daję słowo...

DR RACZKIEWICZ

Wspólnik mój jest nieubłagany... Przy tym nie ma już pokoi wolnych...

GUSTAWA STRZYGOŃ

O! Gadanie austriackie – a poza tym, to nie żaden wspólnik – tylko pańska żona. Jakie one niedobre, takie panie. Ha! No! Sobie pójdę.

DR RACZKIEWICZ

Proszę mi wierzyć, że bardzo żałuję...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Ja wierzę, że pan żałuje. Ludzie mnie lubią, bo jestem bardzo dobra i zjadliwa. I my dwoje żylibyśmy w wielkiej przyjaźni. Jeszcze byłby jaki *techtelmechtel*²² z tej przyjaźni. śmieje się A tak! Posiedzę trochę w miasteczku i będę udawać także hrabinę. Będą tacy, co się na to wezmą. Tego mi żona pana nie zabroni...

DR RACZKIEWICZ

Zechce pani dobrodziejka wierzyć...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Całuj mnie panie dobrodzieju w piętę...

Wybiega środkiem, słysząc dzwonki nadjeżdżających kucy, oddalony grzmot błyskawicy, wbiega Zosia i zaczynają z drugą dziewczyną znosić pośpiesznie z werandy fotele, książki, z ogrodu wolanty.

SCENA 16

DR RACZKIEWICZ, ZOSIA, później HENRYK

DR RACZKIEWICZ

Zdaje się, że w sadzie są hamaki...

ZOSIA

Już zabrane – o, puściła się ulewa... W sam czas powróciły.

22 *das Techtelmechtel* (niem.) – flirt, romans.

DR RACZKIEWICZ

Gdzie chodziły?

ZOSIA *kłamie*

Nie wiem – gdzieś bocznymi ścieżkami na spacer... Ale już wszystkie są i siadają do kolacji w małej salce.

HENRYK *wchodzi*

No! Wszyscyśmy uciekli na czas...

DR RACZKIEWICZ

Nic się kucom nie stało?

HENRYK

Zdrowe są jak rydze... Nie ma tu panny Rózi, mam do niej interes.

ZOSIA

Ja panu Asystentowi pannę Rózię przyślę...

HENRYK

Proszę to zrobić *do DRA RACZKIEWICZA*. Prezes, zdaje mi się, nie wróci na kolację – został w miasteczku, kupował sobie tytoń.

DR RACZKIEWICZ

Co za niepoprawny palacz.

HENRYK

No! Nie gniewajmy się – będzie nas przynajmniej w kącie częstował...

DR RACZKIEWICZ

Ja nie palę...

HENRYK

Tylko w sekrecie...

DR RACZKIEWICZ

do przebiegającej pokojówki

Tu trzeba postawić miednicę, bo tu zacieka.

POKOJÓWKA

Właśnie przyniosłam...

DR RACZKIEWICZ

Trzeba okna pozamykać w moim gabinecie.

wchodzi do gabinetu, słysząc łomot zamykanych okiennic, wbiega RÓZIA, za nią ZOSIA

RÓZIA

Jestem, panie Asystencie, tylko pozamykamy okna i drzwi w gabinecie elektrycznym.

wbiega z ZOSIĄ do gabinetu elektrycznego

DR RACZKIEWICZ

wychodzi ze swego gabinetu

Już wszystko zamknięte, story spuszczone, idę na kolację, idzie pan? Już podali.

HENRYK

Zaraz przyjdę.

DR RACZKIEWICZ *wychodzi, mocując się z wichurą przy otwieraniu drzwi*

SCENA 17

DOKTOROWA ORZECZ, później przez scenę przebiega ZOSIA, burza wzrasta. HENRYK z pewną radością wstuchuje się w hałas ulewy i burzy, zjawia się głównym wejściem ZOSIA, biegnie przez scenę, poprawia miednicę, w którą zalecia woda i przy wyjściu natyka się na DOKTOROWĄ ORZECZ, która wpada z sadu, ociekając wodą, ma spódnice od sukni założoną na głowę, widać białą, koronkową spódniczkę.

ZOSIA

Jezus Maria – a to co znowu?

DOKTOROWA ORZECZ

Pst! Nie ma tu gdzie pana Asystenta?

ZOSIA

O, tu właśnie

wybiega, grzmot

DOKTOROWA ORZECH

Ja za panem jak za zbawieniem.

HENRYK

Gdzie pani tak zmokła?

DOKTOROWA ORZECH

W kukurydzy *śmieje się* graliśmy w karty.

HENRYK

Niechże pani idzie się rozebrać, weźmie termofor ciepły i napije się herbaty.

DOKTOROWA ORZECH

Jak moja prababka – mnie nic nie będzie. Ja ze wsi – ja do tego przywykłam. Ale tam stała się katastrofa. Pan musi ratować sytuację.

pęka ze śmiechu

HENRYK

Cóż się stało?

DOKTOROWA ORZECH

Radca Zabielski grał z nami w karty. Ulewa nagle się puściła, tak po górsku – i panie Asystencie, skakać można ze śmiechu! Cały zmókł w jednej chwili i od-far-bo-wał się.

HENRYK

Jak to? Nie rozumiem...

DOKTOROWA ORZECH

On był cały farbowany, to pierze, jakie miał na głowie i na brodzie było białe, a on pofarbował na czarno. Dlatego tak się zawsze wody bał. Zagraliśmy się w karty w kukurydzy – nagle prast! Lunęło jak z cebra. *zanosi się od śmiechu* W jednej chwili przemokliśmy jak zające, nie było się gdzie schować, bo kukurydza to kukurydza i wszystko.

HENRYK

Czemuż nie wróci do pokoju?

DOKTOROWA ORZEC

Nie może, bo wejście do jego pokoju z małej jadalni, a tam teraz wszyscy siedzą przy kolacji. Zobaczyliby go tak na szaro-papuszasto i dopiero byłby śmiech! A on pan wie – w kokieteriach! Niczym żadna dama.

HENRYK

No to niech siedzi, aż się skończy kolacja i światła pogasną. Ja mu pošlę parasol – o, tu jakiś stoi.

bierze z kąta parasol

DOKTOROWA ORZEC

Daj pan – ja mu sama zaniosę... Nie trzeba biednemu staruszkowi robić na złość. Zresztą on się tak zaszył w kukurydzy, że nikt go oprócz mnie nie znajdzie.

HENRYK

Bierze parasol, który poprzednio STEFAN zostawił dla DOKTORA RACZKIEWICZA i daje DOKTOROWEJ ORZEC.

No, pójdzie pani tam do tej kryjówki pod parasolem, ale wróci pani jak?

DOKTOROWA ORZEC

Jak? Jakem przyszła, kiecka na głowę i dalej! Ja nie jestem farbowana i nie rozmoknę się. Nie ma strachu. A poza tym ja jestem panie ze wsi – obywatelska córka – i sportwomen w każdym calu, że się tam czasem coś z kłaczą nie uda, to nie moja wina – ona lepiej знаła drogę ode mnie i każdy kołek w płocie.

HENRYK

Pięknie – ale niech ta sportwomen pójdzie z powrotem do siebie, zdejmie te mokre kiecki, wlezie do łóżka, każe sobie dać ciepły termofor i napije się ciepłej herbaty.

DOKTOROWA ORZEC

O! Jeszcze co! Nie chwyci panie, nie chwyci...

HENRYK

Może pani dostać...

DOKTOROWA ORZECZ

Kataru – wielka awantura! To będę miała czerwony nos dla odmiany! otwiera parasol A tera w imię Boga zaczyna nucić Marsylianę *Allons enfants de la patrie... Le jour de gloire est arrivé... Le jour de gloire*²³...

HENRYK pomaga jej otworzyć drzwi, wicher szalony i deszcz szarpie nimi – parasolem i DOKTOROWĄ – która śmiejąc się, śpiewając i szamocząc z wicherą ginie w ciemnościach.

SCENA 18

HENRYK, POKOJÓWKA z latarką zapaloną, potem RÓZIA I ZOSIA

POKOJÓWKA

Czy tu jest panna Rózia?

HENRYK

Tam, w gabinecie elektrycznym.

Pokojówka stawia latarkę na stole i mówi, otwierając drzwi do gabinetu elektrycznego.

POKOJÓWKA

Panno Róziu! Czy ma pani klucz od pustych pokoi? W niektórych okna pootwierane, nie pozakładane na haczyk... wicher szarpie...

RÓZIA

Mam nawet przy sobie.

Pokojówka porywa klucze i leci z powrotem, zostawiając latarkę zapaloną na stole.

RÓZIA

wchodzi na scenę – ma zmoczone ręce i sukienkę

Ledwie zdołałam wymaczać wodę, która się tam ponalewała.

23 *Allons enfants de la patrie, / Le jour de gloire est arrivé* – I naprzód marsz, Ojczyzny dzieci, / Bo nadszedł chwały naszej dzień (początkowe dwa wiersze Marsylianeki).

HENRYK

Ja mam dla pani pewien sprawunek. Pan Prezes Sołtys został jeszcze w miasteczku, bo właśnie czeka na świeży transport papierosów. Ale mnie dał dla pani jakiś prezent i prosił, aby to pani wręczyć.

Podaje jej ogromne pudło cukierków, owinięte starannie w bibułkę i związane wstążeczką.

RÓZIA

Dziękuję panu... taki pan dobr...

HENRYK

To nie ja dobry – to on. To czekoladki „Marynia” kosztują bająnskie sumy, tu w miasteczku i tak w ogóle...

RÓZIA

Och! Po co on to robił?

HENRYK

Tam nawet coś na bilecie napisał.

Różia bierze bilet, chowa do kieszeni obojętnie, nie czytając.

RÓZIA

Raz jeszcze panu dziękuję, że pan zechciał mi to przywieźć.

HENRYK

Pędziłem jak wicher, kuce rwały się nerwowo... Tak mi czegoś było śpieszno z powrotem.

piorun

RÓZIA

mimowolnie zastania oczy

Och!...

HENRYK

Coś wspaniałego – boi się pani?

RÓZIA

z prostotą i dziecinnym głosem

Troszkę.

HENRYK

Niech pani tu podejdzie i zobaczy, jaki cudowny widok.

RÓZIA posłusznie podchodzi i staje także przy drzwiach, błyskawice rozświetlają ich co chwila.

Żeby pani wiedziała, jaka pani piękna w tym blasku... tylko niech pani oczu nie zamyka...

RÓZIA

To mimowolne... błyskawica O! Pan ma jeszcze moją różę?

HENRYK

Mówiłem pani, że będzie ciągle przy mnie...

RÓZIA

ze smutnym uśmiechem

Dokąd nie zwiędnie...

HENRYK

Wtedy zostanie wspomnienie... i tego dnia... i tej burzy... i tego wszystkiego.

RÓZIA

Och! Ja mam jeszcze coś dla pana... List.

wyjmuje z kieszeni list, który odebrała STASI

Uprzedzam, że jest otwarty.

Henryk bierze list i chmurzy czoło

RÓZIA

Ja tego nie zrobiłam...

HENRYK

Ani na chwilę nie podejrzewałem pani o taką podłość. Chyba nie ma nic boleśniejszego, jak nie mieć prawa do swojej własnej tajemnicy listowej. I to się przecież znieść musi.

HENRYK podchodzi do latarki, którą pokojówka zostawiła na stole i siada przy stole – przegląda list oświetlony. RÓZIA chwilę jeszcze stoi przy oknie.

HENRYK

To od mojej matki!

RÓZIA zbliża się do niego i staje pochylona nad latarką. HENRYK przygląda się ze wzruszeniem listowi i kartce, wreszcie mówi z ciężkim westchnieniem.

Biedne moje matczyisko!

RÓZIA

Pan jest szczęśliwy, pan ma matkę...

HENRYK

Tak, to wielkie szczęście, ale to są wielkie obowiązki.

RÓZIA

Dla matki nic nie jest ciężkiego.

HENRYK

Tak! Ale pani ma także jakichś kilka słów od pana Prezesa, które pani przywiozłem.

RÓZIA

Przeczytam później...

HENRYK

Dlaczego pani tak to lekceważy. Gdyby pani wiedziała, jak on te cukierki wybierał... Najlepsze, jakie były i tak ślicznie kazał spakować...

RÓZIA

On mi często cukierki dawał, gdy byłam malutka.

HENRYK

Ale teraz zmieniła się postać rzeczy. To jest doprawdy zacny człowiek i mający dużą wartość...

nie patrzy na nią i widać, że to, co mówi jest z przymusem

RÓZIA

Ja nie przeczę... *po chwili* Ja mam do pana wielką prośbę...

HENRYK

Proszę, niech pani rozkazuje...

RÓZIA

Ja tylko proszę. Oto... tylko niech pan się nie obrazi i nie odmówi mi. *nieśmiało* Niech pan weźmie to pudełko cukierków dla swojej matki. Pan jej powie, że to od takiej biednej dziewczyniny... która już nie ma matki.

HENRYK *wzruszony*

Dobrze, nie odmawiam, bo wiem, że to pani sprawiłoby wielką przykrość. I dziękuję pani w imieniu mamy. *całuje ją w rękę* I będzie to dla niej wielki bal... bo mama bardzo lubi czekoladki, a teraz u nas... to trochę trudno i potem...

RÓZIA *ucieszona*

Tym lepiej... tym lepiej

ZOSIA wbiega, deszcz trochę ustaje, grzmoty się oddalają.

ZOSIA

Panie Asystencie, nie ma pan co chodzić na wieczorne wizyty, bo wszystkie panie już poszły z kolacji do swoich pokoi – mówiły, że się kładą spać i pozamykają drzwi. A pani, panno Róziu, trzeba żeby pani poszła do pani dyrektorowej wysmarować jej lewą piętę, która boli ją na tę słoć.

HENRYK

Ja pójdę do pana Mazgajskiego. Czy jest u siebie?

ZOSIA

Jest – wszystko pogaszone, kolację ja państwu zaniiosłam do ich pokoi. Owoce, chleb, masło, mleko. A ja mam tu czuwać przez noc, pozamykać potem okna, bo Stefan poszedł na kolej. Jak już burza się skończy, to ja zamknę główne drzwi i pójdę spać. Tak państwo dyrektorostwo kazali.

HENRYK

Niech pani pójdzie, ja panią odprowadzę do pawilonu dyrektorostwa, bo bardzo ciemno.

RÓŻA

Dziękuję panu!

on podaje ramię, wychodzą, ZOSIA biegnie za nimi

ZOSIA

Może państwo wezmą latarkę...

HENRYK

Dawaj dziewczyno swoją latarkę.

Bierze latarkę, wychodzi z RÓZIĄ. ZOSIA chwilę czeka, ażeby odeszli, potem gwiżdżąc walca z „Wesołej wdówki”, drapie się po drabinie stojącej przy szafie z książkami, wyjmując z kieszeni fartucha pudełko z zapalnikami i zapala jedną – ta gaśnie...

ZOSIA

A to psiakrew... zmokły...

Znów gwiżdże, wreszcie jedna zapalnik się zapaliła. ZOSIA zapala lampę stojącą na szafie, zlatuje z drabinki, ale ją odstawia – biegnie na werandę, przynosi stamtąd koszyk, w nim szklaneczki szampanowe – kieliszki do wina, kilka talerzyków deserowych – koszyczki do owoców, patera do cukierków.

SCENA 19

[ZOSIA, MECENASOWA BIERSTOCKEL, LILUSIA]

Wpada MECENASOWA BIERSTOCKEL, owinięta czerwonym szalem, za nią LILUSIA z olbrzymią czerwoną kokardą na włosach – pukają – ZOSIA otwiera tajemniczo drzwi.

ZOSIA

Wielmożna pani już idzie. Oj! Tylko prędko, żeby ktoś światła nie dojrzał. Tu jest koszyk z naczyniem.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Dobrze! Lilusiu, dawaj coś przyniosła...

ZOSIA

Ja już zamroziłam szampana...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Cudownie!

ZOSIA

O, ja się na tym znam, proszę pani Mecenasowej.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Wierzę – wierzę.

LILUSIA

Proszę, mamy – winogrona – a tu ciastka.

ZOSIA

Tu są koszyczki – może jeszcze co uda mi się ściągnąć z kredensu.

wybiega

SCENA 20

MECENASOWA BIERSTOCKEL, LILUSIA, następnie RADCZYNI
KONOPAJTYS, DOKTOROWA ORZECZ, PANNA IRENA,
PANNA STASIA, NADRADCZANKA MAZGAJSKA,
wreszcie REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Panie wkradają się kolejno, to same, to po dwie. Każda coś przynosi, to flaszki, to paczki, mają także kwiaty, które PANNA IRENA kładzie z długimi łądługami w koszu, a cięte kładą na leżakach, krzesłach itd. Mówią cicho, prawie szeptem, śmieją się, w doskonałych humorach, ubrane przeważnie w szlafroczy z wielką kokieterią.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Cicho! Cicho! Był nikt nie posłyszał.

RADCZYNI KONOPAJTYS

Dyrektorowa leży, a dyrektor przy niej czuwa.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA
do ZOSI, która wpadła ze dworu

Zosiu, tam światło będzie widać ze dworu.

ZOSIA

Zaraz.

do MECENASOWEJ BIERSTOCKEL

Tu są dwa korkociągi... a tu jeszcze dwa talerzyki. oddaje, co przyniosła Spuszczę żaluzje.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

A ja przyćmię lampę.

Zdejmuje swój szal, drapie się na schodki i owija klosz od lampy, purpurowy blask zalewa pół sceny.

RADCZYNI KONOPAJTYS

A to nawet demonicznie wygląda.

Panie krzątają się koło urządzenia stolika, który przeniosły na stronę, na której stoi szafka, tak że na ten stół pada czerwone światło lampy. Przesuwają leżaki, krzesła.

LILUSIA

Mamusiu! Pani Józefczykiewiczowa porwała ciastko...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

No to wielka historia, dziś wszystko każdemu wolno...

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Kiedy to przecież nie nasze imieniny.

PANNA IRENA

O, jaka z pani formalistka... Gdzie Asystent?

ZOSIA

która otwierała butelkę

Już zdaje się u siebie...

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Był u tatki, żeby mu zmienić plaster, ale tatko już drzemał – więc poszedł.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

No, wszystko gotowe... teraz chodzi o to, która z nas ma nogę złamać, czy zwichnąć...

siada na leżaku i wyjmując z kieszeni szlafroka karnet z ołówkiem

DOKTOROWA ORZECH

Może panna Stasia.

PANNA STASIA

A! On w to nie uwierzy, bo on właściwie wie, że ja się dobrze na nogach trzymam, on gotów nie przyjść...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

On musi! Jako Asystent.

WSZYSTKIE

Tak, on musi!

REWIDENTOWA JÓZEFCZYKIEWICZOWA

Niech będę ja, byle się już prędzej zaczęło!

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Ma pani papier i ołówek – Zosia zanieśie...

REWIDENTOWA JÓZEFCZYKIEWICZOWA

Pisać? O! Ja tego nie lubię...

LILUSIA

Może pani nie umie...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Lilusiu! Niech pani napisze tak – przysłałam do hali po gazetę, upadłam, coś mi się stało w nogę...

DOKTOROWA ORZECH

Niech pani doda – niech pan natychmiast przyjdzie.

REWIDENTOWA JÓZEFCZYKIEWICZOWA

aż się spociła z wysiłku – ociera czoło

A to ciężka praca...

PANNA IRENA

Prawda? Co?

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Zosiu, weź te kartkę i leć po niego.

ZOSIA

Migiem.

wybiega

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Szkoda, że się napisało, że ja przyszedłam po gazetę, bo ja nigdy gazet nie czytam – jeszcze w nocy... gotów nie uwierzyć...

PANNA IRENA

Musi.

DOKTOROWA ORZECZ

Teraz musimy tak siedzieć cicho jak myszy pod miotłą.

PANNA STASIA

A tu są kwiaty...

Rozdaje kwiaty, które przypinają sobie do gorsów i do pasków. LILUSIA wzięła jakieś wielkie kwiaty i powpychała sobie we włosy i za pasek, po czym drapie się na drabinkę i tam siada.

RADCZYNI KONOPAJTYS

Zdaje się idzie...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Stańmy w półkrąg. *panie otaczają wejście, śmiejąc się* Lilusiu! Chodź także!

LILUSIA

Ja się gniewam! Ja nie mogę! Powiedz mu, żeby mnie przeprosił. Znieważył we mnie majestat kobiecy.

PANNA STASIA

Komedia!

słychać pospieszne kroki HENRYKA na werandzie i głos ZOSI

HENRYK

za sceną

Tu jest?

ZOSIA

Tak, panie Asystencie...

SCENA 21

Też same, HENRYK, który wbiega w białym płóciennym kitlu, w który ma wpiętą różę od RÓZI, gdy wbiegł panie otaczają go i rzucają na niego kwiatami nucąc.

WSZYSTKIE

O, witaj nam, witaj, przyszły profesorze...

HENRYK

Cóż to znów? Filia Kulparkowa²⁴?

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Przecież to dziś pana imieniny.

DOKTOROWA ORZECH

Więc my z powinszowaniem.

RADCZYNI KONOPAJTYS

Jak przystało na wdzięczne pacjentki.

REWIDENTOWA JÓZEFczykiewiczowa

A potem zaproszenie na malichną przekąskę i kieliszek, co kto lubi...

HENRYK śmiejąc się

A pani w to graj.

ZOSIA wnosi szampana

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Proszę się nie oburzyć, siadać tu między nami i powiedzieć, czym mamy pana uraczyć.

24 Kulparków – to nazwa jednej z dzielnic Lwowa. Pierwotnie znajdował się tam samotny folwark nazywany Goldberghof, gdyż należał do rodziny Goldbergów. Z biegiem czasu nazwa posiadłości uległa spolszczeniu na Kulparków.

HENRYK

Ha! Skoro tak – to niech będzie zgoda.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Ja panu radzę zacząć od szampana i skończyć na szampanie.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

A ja zapraszam na swoją maderę...²⁵

HENRYK

Ej! Ej! Co słyszę?

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Dziś proszę tylko z marchwią i z rzepą do mnie nie wyjeżdżać.

wszyscy siadają... grupują się z HENRYKIEM pośrodku w świetle czerwonej lampy

PANNA IRENA

Według mnie nie ma jak Martel – pan musi ze mną napić się Martela.

HENRYK

*coraz weselszy, obstawiony powoli rzędem wypełnionych kolejno przez panie
kieliszków*

Ależ ja się upiję...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

O, w to nie uwierzę, pan musi mieć doskonałą głowę.

PANNA IRENA

Niech pan nam nie psuje uroku o sobie, pod którym żyjemy. Mężczyzna ze słabą głową to pół mężczyzny.

WSZYSTKIE

Tak! Tak!

25 Zapewne Rewidentowa zapraszała Asystenta na degustację wina, choć mogła też proponować jedną z potraw portugalskich, charakterystycznych dla kuchni Madery, przygotowywanych zwykle z ryb i owoców morza.

LILUSIA

Czy ja będę się tak długo gniewać na tej drabinie?

HENRYK

Prawda, panna Lilusia jak mały kogut na drabinie...

PANNA STASIA

To jest podobno przez pana znieważony majestat kobiecy.

HENRYK

bierze jeden z kieliszków, którym obstawiły go panie

Panno Lilusiu, za nasze kawalerskie.

LILUSIA

Najprzód pan mnie musi przeprosić.

HENRYK

Sto razy, nie raz.

klęka u stóp drabiny

LILUSIA *tryumfująca do pań*

Przepraszam mnie! Widzicie?

WSZYSTKIE

Widzimy! Widzimy!

LILUSIA bierze od HENRYKA kieliszek, trąca się z nim i pije szampana

HENRYK

Dobre?

LILUSIA

Cóż to pan myśli, że ja pierwszy raz?

MECENASOWA BIERSTOCKEL *zanosząc się ze śmiechu*

To stary praktyk!

PANNA STASIA

Ale my tu mamy pomiędzy sobą nowicjuszkę.

HENRYK

Kto?

PANNA STASIA

Panna Mazgajska. Podobno nigdy nie piła szampana. Przynajmniej tak mówi.
Musi się napić.

HENRYK

Za moje zdrowie!

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Ja tu już coś piję.

WSZYSTKIE

Co ona pije?

patrzą na butelkę

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Coś niedobrego...

DOKTOROWA ORZECH

Skonstatujemy co? *anielskim głosem* Esencję ponczową.

WSZYSTKIE

Ha! Ha!

LILUSIA aż tupie z radości na swojej drabinie

PANNA STASIA

Całkiem po anielsku!

HENRYK *do NADRAD CZANKI MAZGAJSKIEJ*

Pani musi szampanem wypić moje zdrowie, to będzie pani debiut na resztę życia.

podaje jej kieliszek

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Kiedy podobno tym się strasznie ludzie upijają...

PANNA IRENA

Solenizantowi się nie odmawia, panno Maniu!

WSZYSTKIE

Tak! Tak!

HENRYK

Czy mam prosić na kolanach, jak pannę Lilusię?

NADRADCZKA MAZGAJSKA *wystraszona*

Jezus Maria! To nie wypada!

WSZYSTKIE

Tak! Tak!

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Dziś wszystko wypada!

WSZYSTKIE

Tak! Tak!

DOKTOROWA ORZECH

A więc raz-dwa, na kolana, panie Asystencie.

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Ja już tak wypiję, tylko niech pan nie klęka... *bierze kieliszek i pije, przymyka*
oczy Och! Ależ to szczypie!

REWIDENTOWA JÓZEFczykIEWICZOWA

Ja tego nie cierpię!

MECENASOWA BIERSTOCKEL

A ja za tym przepadam.

LILUSIA

I ja także.

PANNA STASIA

O! Gramofon! Panie Asystencie, pan się z tym umie obchodzić... Puść pan
w ruch tę biedę.

WSZYSTKIE

Tak! Tak!

HENRYK

Posłyszam mnie w pawilonie dyrektorostwa.

DOKTOROWA ORZECZ

Zatka mu się pysk, niech się zanadto nie drze.

gramofon ryczy jak opętany

WSZYSTKIE

O, to zanadto!

DOKTOROWA ORZECZ

zdejmuje swoje boa i daje HENRYKOWI

Wpakuj mu pan boa w mordę, nie będzie tak słyszeć.

ZOSIA

pokazuje się we drzwiach

Czy nic nie brak?

DOKTOROWA ORZECZ

Pilnujesz?

ZOSIA

Naturalnie – proszę się nie bać...

MECENASOWA BIERSTOCKE

Chodź tu na chwilę i napij się kieliszek.

ZOSIA

podchodzi do stołu

Dziękuję wielmożnej pani, ja to lubię. *pije* Za zdrowie pana Asystenta.

HENRYK

Dziękuję!

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Myśmy nie wypili właściwie zdrowia pana Asystenta.

WSZYSTKIE

Tak! Tak!

RADCZYNI KONOPAJTYS

A więc jego zdrowie!

HENRYK

Dziękuję, dziękuję.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Niech pan mi da tę różę, którą pan ma w butonierce. Ja panu dam ten mak –
zamienimy się.

HENRYK

A! To – to nie. Mak mogę wziąć, ale tej róży nie dam...

DOKTOROWA ORZECZ

Jakaś romantyczna historia...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

O! Ja mam o panu Asystencie lepsze wyobrażenie.

PANNA IRENA

Ja także! Pan bierze życie z praktycznej strony.

HENRYK

Jak czasem.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Co on ryczy ten gramofon?

ZOSIA

z ustami pełnymi ciastek i z kieliszkiem w ręku

To polka z *Nietoperza*²⁶.

26 Z operetki *Zemsta nietoperza* Johanna Straussa syna.

LILUSIA

Nieprawda, to *Lizystrata*!²⁷

ZOSIA

Jak Bożę kocham, panienko, to *Nietoperz*.

LILUSIA

na drabinie tupie nogami

Lizystrata!

PANNA STASIA

Ani to – ani to – *Manewry jesienne*!²⁸

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

trochę pijano-słodko

To gejsza...

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Mnie się zdaje, że *Krakowiaczy i górale*²⁹.

PANNA STASIA

Nie! Coś takiego!

Wszystkie się zaciętrzewiają na punkcie operetki, nagle otwiera się główne wejście i ukazuje się DR RACZKIEWICZ w kalesonach i bardzo długim haweloku³⁰ piaskowego koloru.

ZOSIA

A ja wielmożnym paniom gardło daję, że to *Nietoperz*.

LILUSIA wrzeszczy

Li-zy-strata!

27 Operetka Paula Lincke.

28 Operetka Emmericha Kálmána.

29 *Cud mniemany*, czyli *Krakowiaczy i górale* – opera Wojciecha Bogusławskiego z muzyką Jana Stefaniego. Uważana za pierwszą operę narodową.

30 hawelok – rodzaj płaszcza bez rękawów, z otworami na ręce pod peleryną, noszony na przełomie XIX i XX wieku.

SCENA 22

Ciż sami, DR RACZKIEWICZ, później RÓZIA, BARBARA

DR RACZKIEWICZ

Co się tutaj dzieje?

ZOSIA ucieka z ciastkiem, wszystkie panie zmieszane, po chwili Henryk zaczyna się śmiać.

HENRYK

To są moje imieniny, panie dyrektorze.

DR RACZKIEWICZ *oburzony*

W ten sposób obchodzicie?

MECENASOWA BIERSTOCKEL

No..., no... proszę się nie gniewać, to nasza wina, ściągnęłyśmy pana Asystenta fortelem...

DOKTOROWA ORZECH

Nie wiedział o niczym...

RADCZYNI KONOPAJTYS

Nie wiedział o niczym...

HENRYK

E! Co tam! Wiedziałem czy nie wiedziałem, to jest fraszka.

DR RACZKIEWICZ

To wszak nie fraszka, tu chodzi o honor zakładu. Tam aż w całym sadzie przez żaluzje widać światło i słyszać gramofon. Żona się przestraszyła – gotowa się rozchorować. Wysłała mnie, żebym zobaczył. Myśleliśmy, że to służba pozwala sobie. Państwo zechcą się rozejść...

DOKTOROWA ORZECH

Ani nam to w głowie? Prawda? Co? Moje panie...

WSZYSTKIE

Naturalnie!

MECENASOWA BIERSTOCKEL

My tu najwięcej *en train*³¹, a pan rozgania do numerów...

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

E! Co nas dziś regulamin obchodzi! *podaje mu kieliszek* Proszę napić się z nami...

HENRYK

O, to właśnie doskonałe wyjście z całej awantury – pij pan za moje zdrowie.

PANNA IRENA

Pij pan – pij! Zapomnij pan o wszystkim, choć na chwilę bądź pan normalnym człowiekiem.

HENRYK

Doskonale pani powiedziała... bądź pan normalnym człowiekiem.

Wciskają w ręką DOKTORA RACZKIEWICZA kieliszek, PANNA STASIA czepia się go pod jedno ramię.

PANNA STASIA do HENRYKA

Bierz pan go z drugiej strony, panie Asystencie.

prowadzą go do stołu

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Doskonale, posadźcie go na honorowym miejscu.

DR RACZKIEWICZ

Ależ moi państwo...

PANNA IRENA

Basiuchna nie widzi...

HENRYK

Nie widzi! Nie widzi! No więc moje zdrowie, inaczej pana nie wypuścimy z duszą...

DR RACZKIEWICZ siadł zmuszony przez STASIĘ i HENRYKA. STASIA siadła na poręczy fotela i podsuwa mu pod nos kieliszek.

31 *en train* (fr.) – jesteśmy w trakcie (zabawy).

PANNA STASIA

O, jak pachnie...

DR RACZKIEWICZ

No więc dla świętego spokoju!

pije

LILUSIA z *drabiny wrzeszczy*

Wypił! Wypił!

PANNA STASIA

To dla solenizanta! A teraz dla mnie. Przecież pan mnie kocha... Co?

DR RACZKIEWICZ

Właściwie mówiąc...

PANNA STASIA

Ale kocha mnie pan! Przecież ja widzę, jak pan za mną oczami strzela, pij pan.

trąca się z nim

DR RACZKIEWICZ

Co pani wyrabia?

zaczyna się śmiać i pije

LILUSIA

Wypił! Wypił! Nic nie zostawił!

HENRYK

Bodajże go – bodajże go – pan Bóg błogosławił!

LILUSIA

Ogłaszam, że pani Józefczykiewiczowa zjadła w tej chwili siedemnaste ciastko.

DR RACZKIEWICZ

O, proszę pani Rewidentowa...

REWIDENTOWA JÓZEFczykiewiczowa

Och! Tylko dziś do mnie nie trzeba wyjeżdżać z suchą dietą. Do diabła z marchwią.

Wyciąga marchew z kieszeni płaszcza i rzuca na ziemię.

Do diabła z rzepą.

wyciąga rzepę i ciska ją także na ziemię

Do diabła z suchą kolacją.

DR RACZKIEWICZ

Regulamin „Gencjany” nakazuje dla osób otyłych...

PANNA STASIA

Ej! Do diabła z regulaminem, do diabła z regulaminem! Niech pan powie – do diabła z regulaminem!...

WSZYSTKIE

Niech pan powie! Niech pan powie...

LILUSIA

zeskakuje ze schodków

Niech pan powie...

HENRYK

Skoro mi to do szczęścia potrzebne, to niech pan powie... Co panu szkodzi...

DR RACZKIEWICZ *śmiejąc się*

No więc – do diabła z regulaminem!

PANNA IRENA

Ślicznie...

PANNA STASIA

Żeby pan wiedział, jaki pan teraz sympatyczny.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Robi pan konkurencję nie na żarty panu Asystentowi...

RADCZYNI KONOPAJTYS

Gotowe jesteśmy wszystkie w panu się zakochać...

DR RACZKIEWICZ

ogląda się na drzwi

O! Proszę pani...

DOKTOROWA ORZEC

Podkreć pan wąsa i urągaj wszystkiemu.

Nagle drzwi się otwierają i cichutko wchodzi RÓZIA, która zdumiona patrzy na to, co się dzieje, wreszcie podchodzi do stołu i staje za RACZKIEWICZEM.

RÓZIA

Panie dyrektorze!

DR RACZKIEWICZ

Co się stało?

RÓZIA

Pani dyrektorowa mnie przysłała, zobaczyć, co się stało z panem dyrektorem.

HENRYK

Pan dyrektor zaraz wróci...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Panno Róziu, kieliszek.

RÓZIA

Pani daruje, ale...

DR RACZKIEWICZ

Ja rozgrzeszam! Niech się pani napije.

PANNA STASIA

Niech się pani nie czepia pana dyrektora.

RÓZIA

Lepiej byłoby, aby powrócił do domu.

PANNA STASIA

On jest normalny, co? Prawda panie dyrektorze – jesteśmy normalni.

DR RACZKIEWICZ *pijany*

Ja tam przyjadę! Ja tam przyjadę!

HENRYK

Panno Róziu – rzeczywiście – proszę z nami.

RÓZIA cofa się instynktownie. HENRYK postępuje za nią – znajdują się po drugiej stronie sceny.

HENRYK

To moje imieniny... Te panie chcą mnie uraczyć...

RÓZIA

Zdaje mi się, że przede wszystkim siebie chcą uraczyć...

HENRYK

Pani się to nie podoba?

RÓZIA

Co pana to obchodzi, czy mi się podoba, czy nie podoba...

HENRYK

Obchodzi, bardzo mnie obchodzi!

RÓZIA

Nie wierzę! Już nie wierzę... zresztą, ja nie mam prawa! Tylko – tylko proszę o moją różę... Po co ma wędznąć w takiej atmosferze.

HENRYK

O nie! Choć to po studencku – ale ja się z nią tak łatwo nie rozstanę...

RÓZIA

Musi pan! *wyrywa mu szybkim gestem różę z butonierki i ciska na ziemię* Tak!

HENRYK

A, jak to cudownie – jak to cudownie, pani jest złośnica! Pani ma także wady!

RÓZIA

Niech mnie pan puści...

HENRYK

Pani musi być zazdrosną. Ja się bałem, że pani nie ma wad, a tak jest prześlicznie...

RÓZIA

Dobrze! Dobrze! Tylko ja stąd pójdę.

HENRYK

Ja panią odprowadzę...

RÓZIA

Za nic w świecie.

Ucieka środkiem. Przez ten czas panie piły i śmiały się, i DR RACZKIEWICZ, który jest coraz bardziej pijany.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Więc ja mogę jeść, ile chcę?

DR RACZKIEWICZ

Pani nic to wszystko nie pomoże, pani dawno po trzydziestce i pani będzie coraz więcej tyła.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Czegóż mnie pan głodził?

DR RACZKIEWICZ

Dla idei... A zresztą *mundus vult decipi*³²...

DOKTOROWA ORZECZ

*Ergo decipiat*³³.

DR RACZKIEWICZ

Pani dobrodziejka to zna!

DOKTOROWA ORZECZ

Przecież jestem żoną doktora.

PANNA STASIA

Po jakiemu to? I co to znaczy?

DR RACZKIEWICZ

Świat chce być oszukiwany – więc oszukujmy.

32 *mundus vult decipi* (łac.) – świat chce być oszukiwany.

33 *ergo decipiat* (łac.) – (ciąg dalszy poprzedniej sentencji) niechże będzie, niech się tak stanie.

PANNA IRENA

Znaczy się błaga na wielką skalę.

DR RACZKIEWICZ

Na największą!

PANNA IRENA

No to dawajcie mi papierosa...

DR RACZKIEWICZ

Nie wolno...

PANNA IRENA

Skoro błaga... pan musi mieć, niech no pan da.

DR RACZKIEWICZ

Ja nie palę...

PANNA STASIA

Bajki, prześwietny sądzie! Ja na własne oczy widziałam, jak pan się zaciągał jak stary huzar. Pan myślał, że pana nikt nie widzi.

LILUSIA

wyrwała mu z bocznej kieszeni płaszcz kilka papierosów

Są papierosy.

Panie zabierają papierosy, śmieją się, zapalają. HENRYK po odejściu RÓZI usiadł zasępiony na boku na kanapce ogrodowej i na razie nic nie mówi. RAD-CZYNI KONOPAJTYS podchodzi do niego, siada przy nim paląc papierosa.

RADCZYNI KONOPAJTYS

Cóż pan tak nagle stracił na humorze?

HENRYK

Ja? Ale to się pani tylko zdaje... Przeciwnie, ja jestem w doskonałym usposobieniu... Nigdy jeszcze w takim nie byłem. *podniecając się coraz więcej* Spotkało mnie coś bajecznego. Odkryłem plamy na słońcu... plamy. A słońce bez plam samo jest tylko bezwartościowym, głupim kręgiem. Jak pani znajduje?

RADCZYNI KONOPAJTYS

Przyznam się panu, że mało się znam na tym. Ja nie jestem słoneczna, ja jestem więcej księżycowa... To jest właściwie mój rodzaj...

HENRYK *zrywa się z kanapki*

W każdym razie zachwycający.

MECENASOWA BIERSTOCKEL *z papierosem w ustach*

Panie Asystencie, nie uciekaj pan od nas i nastaw nam pan gramofon – ja sobie z tym nie umiem poradzić.

HENRYK

Służę – a na co nastawić?

PANNA STASIA

Niech będzie to samo, co przedtem, tylko niech ryczy – to śmieszne.

LILUSIA *drąc się*

Li-zy-stra- ta!

NADRADCZANKA MAZGAJSKA *cienkim głosem*

Gejsza!

REWIDENTOWA JÓZEFczykIEWICZOWA

Krakowiacy i górale!

PANNA STASIA

Panie doktorze – co to takiego, co ono ryczy. Niech pan rozsądzi...

DR RACZKIEWICZ

wstając idzie w stronę gramofonu, zaganiając kaczki

Nie wiem, daję słowo, nie wiem! Pan Asystent będzie wiedział

Nagle drzwi środkowe otwierają się i staje w nich BARBARA w białej matince³⁴ – z papilotami na włosach, w rękawiczkach i w krótkiej halce. Na tym narzucony żakiet.

34 matinka – poranny strój kobiecy, luźny kaftanik zdobiony wstążkami i falbankami.

BARBARA

Jezus Maria! A tu co się dzieje?!!!

DR RACZKIEWICZ

spostrzegłszy żonę, całkiem pijany

Basiu, aniele! Bój się Boga! Co ty tu robisz w tym lokalu?

BARBARA

Co to jest? Posłałam ciebie – przepadłeś, posłałam Rózię, nie wróciła, musiałam sama przyjść i oto co za skandal zastaję...

PANNA STASIA

A to awantura!

BARBARA *do męża*

Przed wszystkim, idź do domu.

DR RACZKIEWICZ

Basiu, pozwól sobie wytłumaczyć...

BARBARA

Cicho bądź – jesteś niepoczytalny...

DR RACZKIEWICZ

Mylisz się żonusi, ja teraz jestem normalny człowiek.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Niech pani dyrektorowa to nam wybaczy. To są imieniny pana Asystenta.

BARBARA

A co? Wiedziałam od razu, kto jest sprawcą tego wszystkiego...

HENRYK *śmiejąc się*

Ja, naturalnie! Ja!

BARBARA

Tak! Pan!... Tylko pan potrafi wywołać taki skandal w przyzwoitym domu!

DR RACZKIEWICZ

Basiucho! Duszko!

BARBARA

Cicho bądź i powtarzam, idź do siebie.

PANNA STASIA *śmiejąc się*

Uragaj pan temu i nie słuchaj! Nie dajmy go, moje panie, nie dajmy.

WSZYSTKIE

Nie dajmy!

Chwytają się za ręce formując koło, w środku DR RACZKIEWICZ, pod jedną rękę trzyma go LILUSIA, pod drugą STASIA... Wszystko to podryguje, zaśmiewa się. BARBARA zostaje wyparta poza scenę.

DOKTOROWA ORZECH

Taniec narodów kolorowych!...

HENRYK *do BARBARY*

Może pani także weźmie udział.

BARBARA

Nigdy w życiu!!! Pan jesteś żywołem rozkładowym w „Gencjanie”, jej hańbą!

HENRYK *ze śmiechem*

E! Ja pani mówię, że pani tak zatańczy, jak ja zagram...

BARBARA

To nadto! Może pan byle kogo za nos wodzić, nie mnie – ja jestem za uczciwa na to!

HENRYK

Basiu! Aniele! Nie tak głośno! Kawalerowi różowej podwiązki nic się nie odmawia.

Wyciąga z kieszeni różową podwiązkę i miga nią w powietrzu, ale tak, że tańczące grono z DOKTOREM RACZKIEWICZEM nie widzi, co on ma w ręku.

Zna pani – to *corpus delicti*³⁵? Jest to tajemnica stogu siana.

35 *corpus delicti* (łac.) – dowód zbrodni, przestępstwa.

tańczy przed BARBARĄ, która mimo woli zaczyna podrygiwać

A co, i pani z nami!

Ogólne zamieszanie – panie zanoszą się od śmiechu, DR RACZKIEWICZ pociągany do tańca przez skaczącą STASIĘ i LILUSIĘ – skacze mimo woli.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Pani dyrektorowo – prosimy razem z nami.

HENRYK podśpiewując

Lepiej się bawić niż poziewać... prowadzi podrygującą Barbarę do koła pań Oto pani dyrektorowa nawrócona do naszego normalnego grona!

śmiech, tańce, wrzawa, gramofon ryczy

DOKTOROWA ORZECZ

chwytając BARBARĘ za rękę i wciągając ją razem z innymi paniami do koła

Pani dyrektorowo! Precz z frasunkiem i raz do koła!!!

DR RACZKIEWICZ

Basiu! Aniele! Rzeczywiście do koła! Razem z nami!

WSZYSCY

Raz do koła! Raz do koła!

Po drugiej strony BARBARY trzyma ją za rękę HENRYK, który podawał rękę MECENASOWEJ BIERSTOCKEL. W ten sposób dokoła RACZKIEWICZA – STASI i LILUSI tworzy się koło wirujące i śmiejące się. Każdy śpiewa coś innego i tak STASIA i LILUSIA krzyczą.

Hopsztynder!.. Madaliński! Fiuta z kopyta, szara ciuch – ciuch, tańczy sobie z Barabaszem mazura!...³⁶

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Albo my to jacy tacy, chłopcy krakowiacy...

36 Przyśpiewkę tę ZAPOLSKA cytuje w opowiadaniu *Kozioł ofiarny* w tomie *Menażeria ludzka* (Warszawa 1892, s. 55).

Tak niech każdy śpiewa co innego. Cała ta scena winna być odegrana nie z podkładem orgii, ale raczej z rozbawieniem się szczerej wesołości. Inaczej rzecz straci na charakterze i będzie spaczona. Gramofon cały czas ryczy niemożliwie, koło pań kręci się w coraz szybszym tempie, przeważnie śpiewają „Hopsztynder Madaliński”. HENRYK wie, gdzie jest.

ZASŁONA OPADA

AKT III

*Scena przedstawia tę samą dekorację co w dwóch poprzednich aktach. Nieporządek po uroczej zabawie uprzątnięty – gdzieś jednak jest jeszcze flaszką nawet nie-
napoczęta albo nadtłuczony kieliszek. Pora zaraz poobiednia – na krzesłkach ogro-
dowych przy stoliku siedzą PANNA IRENA i panna NADRAD CZANKA MAZGAJ-
SKA. Na PANNIE IRENIE widać ślady przepicia i zmęczenia. Nieuczesane włosy
wiszą w strączkach, nos zaczerwieniony, mina płaksywa. Obie panny przebierają
fasolę, którą zrzucają na stojącą na stoiku tacę.*

SCENA 1

PANNA IRENA, PANNA NADRAD CZANKA MAZGAJSKA, później ZOSIA

PANNA IRENA

Niechże pani trochę zwawiej się zabiera do tej nieszczęsnej fasoli i porządniej
to robi, bo bardzo pani nieporządnie to przebiera...

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Tak, jestem dziś do niczego.

PANNA IRENA

Ma pani kociokwik. Voilà tout³⁷...

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Co takiego?

37 voilà tout (fr.) – oto wszystko.

PANNA IRENA

Ko-cio-kwik, aniele... A jak pani woli – mniej po literacku mówiąc – dała pani sobie na piec.

NADRADCZANKA MAZGAJSKA *melancholijnie*

Ach! Nie, proszę pani – to musi być jakaś rodzinna choroba, bo mój tatko od czasu do czasu tak wygląda i także jest taki do niczego. To prawie zawsze jak tatko wróci późno z jakiegoś posiedzenia albo wiecu... Tatce to nie służy takie życie dla dobra społecznego...

PANNA IRENA

Właśnie i pani żyła przeszłej nocy dla dobra społecznego. Tymczasem jak pani tak dalej będzie tę fasolę przebierać, to dam pani po łapie. Stefan będzie znów z pogardą na naszą pracę patrzył. A przyznam się pani, że nic nie znam więcej upokarzającego jak pogarda pośledniej inteligencji.

wbiegła ZOSIA z dużą rynką pełną fasoli

ZOSIA

Kucharz jeszcze przysyła fasolę i prosi, żeby się panie pośpieszyły, bo musi namoczyć na jutro na budyń... Och! *do panny MAZGAJSKIEJ* A wielmożnej panience co? Jeszcze ten szampan? O! Ależ to biedna głowa, choć ja także pierwszy raz cały tydzień chodziłam jak błędna... Później się to ułoży...

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Nigdy! Ja myśleć o tym szkaradztwie nie mogę.

ZOSIA do IRENY

Może czarnej kawy dać panience, albo herbaty mocnej...

PANNA IRENA

No tak, ale tego nie macie, bo regulamin nie pozwala...

ZOSIA

Albo to prawda – wszystko jest – ja zrobię takiej kawy jak smoła, przyniosę pod fartuszkiem. O, nosiłam także do samego dyrektora i nikt nie widział. Ten był jeszcze więcej chory jak panna Nadradczańska. Jemu pijaństwo nie służy. Niech panienka pójdzie do siebie – ja tam kawę przyniosę.

PANNA IRENA

Proszę powiedzieć Stefanowi, żeby przygotował słomki i mydło na bańki mydlane.

ZOSIA

Panienka by wołała zapalić papierosa.

PANNA IRENA

Pewnie, ale kiedy nie wolno – muszę się odzwyczajać puszczeniem tych bańiek.

ZOSIA

Panienka się nie odzwyczai – to na próżno. Ja panience na wieczór dam papierosa do poduszki. Słomki ja sama przyniosę, bo pani dyrektorowa pognęła Stefana do miasteczka.

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Nie widziała Zosia gdzie mojego tatki?

ZOSIA

A siedzi zły jak sum na małej werandzie. Nie ma z kim grać w karty, bo pan Radca Zabielski od tej nocy, kiedy była burza, zamknął się u siebie i do tej pory się nie pokazał – a pan Prezes Sołtys ogolił się i taki wspaniały jakiś koło łązienek spaceruje. O! Pani tatko idzie...

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Proszę powiedzieć, że ja mam dla niego interes.

ZOSIA

Dobrze, ale proszę przyjść na kawę, bo inaczej wywietrzeje... Ja się na tym znam – jestem stary praktyk.

wybiega, rozmawia na werandzie chwilę z NADRADCĄ MAZGAJSKIM

PANNA IRENA

Dobrze wyszkolona – co?

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

O, mamusia by jej nigdy nie trzymała.

PANNA IRENA

Wierzę, ale za to ja wzięłabym ją zaraz, tylko że mnie nie stać na takie pokójki...

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Pani pozwoli, że ja pomówię z tatką...

PANNA IRENA

Ależ proszę...

SCENA 2

PANNA IRENA, NADRAD CZANKA MAZGAJSKA,
NADRAD CA MAZGAJSKI, *później* HENRYK

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

odprowadzając ojca na bok, mówi pośpiesznie

Proszę tatki, ja szukam tatki tak od przedwczoraj.

NADRAD CA MAZGAJSKI

Jak to szukasz? Wczoraj cały dzień spałaś.

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Taka jestem jakaś niezdrowa.

NADRAD CA MAZGAJSKI

Wygładasz jak psu z gardła wyciągnięta – zaczesz się, ogarnij jakoś... inaczej nawet ten Asystent nie popatrzy na ciebie.

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Ja właśnie w tej sprawie, proszę tatki.

ścisząc głos i odprowadzając jeszcze dalej ojca

Proszę tatki, ja się wypadkiem dowiedziałam, on jest całkiem goły, on nie ma ani grosza... i nie ma nawet za co doktoratu skończyć. Więc po co iść za niego.

NADRADCA MAZGAJSKI

Świetnie... weźmie się go na przeżywienie i dopomoże mu się do doktoratu. Może mieszkać u nas – gdzie siada do stołu pięcioro, przeżywi się i szósty – zresztą, matka ma już na to głowę... i będzie mąż gotów.

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Ogląda się na IRENĘ, której ZOSIA przyniosła słomki w szklance i miedniczkę z rozdrobnionym mydłem do puszczenia baniek. Pociągając nosem.

Proszę tatki, niech tatko nie mówi tak głośno – po co ludzie mają wiedzieć i będą się ze mnie śmiali.

NADRADCA MAZGAJSKI

No to niech się śmieją, a ty swoje rób! Jak zobaczysz Zabielskiego, to mu powiedz, że czekam na niego z pikietą. Sołtys zwariował – nie chce grać... Skandal! Ten Asystent ma więcej od niego rozumu, choć młody – gra, i to wcale przyzwyczaję, zaczyna mi się podobać.

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

To już tak koniecznie?

NADRADCA MAZGAJSKI

Ko-niecz-nie!

wychodzi

PANNA IRENA do ZOSI

Niech Zosia zabierze tę fasolę. Już mam dosyć tej czarnej roboty... Wolę moje bańki...

ZOSIA

A ja panience mówię, że to był fałszowany szampan, bo i mnie głowa do tej pory boli. *zabiera fasolę* O! Jeszcze potłuczony kieliszek. *zbiera* Jak ten Stefan sprząta – coś strasznego!

wychodzi

PANNA IRENA

Cóż pani tak melancholijnie nastrojona?

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Wzdychając zbliża się do stolika i siada na dawnym miejscu. Wyciera nos i smutnie kiwa głową.

Ach, proszę pani! Ach, proszę pani! Żeby pani wszystko wiedziała...

PANNA IRENA

Wielka historia – chcę panią za mąż wydać. Bardzo naturalne.

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Pani wie?

PANNA IRENA

Proszę pani, wiem wszystko – nawet jak trawa rośnie. Mówiła pani niegdyś, że pani ma parę tysięcy koron w kasie...

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Ale to na wyprawę...

PANNA IRENA

Proszę pani, co to jest wyprawa. Czy pani będzie miała dwa tuziny koszul haftowanych, czy ze wstawkami, czy bez wstawek, to jest także nic! Lepiej mieć męża z doktoratem jak koszulę ze wstawką. Bo tu o pana Asystenta chodzi, prawda? Bardzo mądry wybór i tatko pani ma rozum.

pauza, IRENA puszcza bańkę

Niech pani zrozumie... posagu pani rzeczywiście nie ma, aby sobie, no, jakiegoś solidnego coś zafundować. Więc trzeba te parę tysięcy tak chytrze ulokować i tak mądrze, aby rzeczywiście dawało dożywotni dochód. No! niech pani obetrze oczy, nos ma pani czerwony, wcale praktycznie i... niezachęcająco do flirtu. Niech pani puści bańkę – to bardzo zabawne.

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Ja nie potrafię.

PANNA IRENA

No to niechże pani się idzie upudrować. Może to pani potrafi.

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Kiedy mnie się nawet puder nie trzyma.

PANNA IRENA

Komiczna z pani figura. Pani chce *par force*³⁸ zostać starą panną. Jeżeli pani myśli, że to wielka rozkosz, to się pani myli, ach jak.

wchodzi HENRYK

SCENA 3

Też *same* i HENRYK

HENRYK do MAZGAJSKIEJ

Jakże pani zdrowie?

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

zmieszana, zrywa się i ucieka

Ach, dziękuję. Przepraszam, lepiej – lepiej!

ucieka

HENRYK

Czegóż ona tak ucieka?

PANNA IRENA

Niech pan siada naprzeciw mnie. Można panu służyć? To *podaje mu słomkę* moja narkoza – na razie... Wie pan, nawet czasem to uspokaja...

HENRYK

Czy pani dziś jest zdenerwowana?

PANNA IRENA

Ja prawie stale jestem zdenerwowana.

³⁸ *par force* (fr.) – siłą, przemocą.

HENRYK

Może trochę bromu...

PANNA IRENA

Ach, miły panie. W tym bromie, który ja wypilałam, można by utopić czwórkę koni z uprzężą i powozem, a z tą belladonną, którą mi dali specjaliści od chorób nerwowych – można by zasiać całe pole, całe łąny – całe stoki obsadzić. A ja ciągle jestem zdenerwowana. Coraz więcej! Coraz więcej! Pan na przykład robi bardzo skrupulatnie analizę mojej krwi..., ale tego właściwie, co stanowi przyczynę mojej choroby, pan nie znalazł. I pan nie znajdzie. O! Widzi pan, tu bańka *puszcza jedną bańkę* – to jest fortepian koncertowy, na którym marzyłam, że kiedyś grać będę przed rozśpiewanymi duszami widzów – to druga bańka, która także zawirowała przede mną i znikła na zawsze – rozprysła się... to dobry, spokojny, w miarę inteligentny i pogodzony z życiem mąż... koncertowy. Zmienił się na dudniące gamy. I nadąsane grona kołtuńskich panienek z mamą Dulską, nasłuchując za drzwiami, czy ta nauczycielka muzyki uczciwie kształci jej panienki... A mieć nawet w duszy całą harmonię twórczą, a słuchać gam, słuchać gam, to potworne, panie... to potworne.

HENRYK

Pani się podnieca niepotrzebnie.

PANNA IRENA

No tak... ale skoro się tak nalatało cały rok z wywieszonym językiem po błocie za lekcjami i musi się zadawałać namiastkami męża zamiast rzeczywistości, to ma się prawo czasem zawołać – i ja mam swoją tragedię, choć małą i żadną – ale tragedię. *pauza* Tak mówię do pana, bo do kogóż to powiem, do takich Raczkiewiczów? Dla nich będę zawsze takim zdenerwowanym okazem Ahaswera³⁹ sanatoryjnego, aż gdzieś w jakimś sanatorium, pod jakimś płotem, w jakimś parku – zdechnę pewnej nocy – napiwszy się wypadkiem zbyt wiele belladonn... weronalu... lub innych środków uspokajających. I to będzie prawdziwy... wielki... bajeczny spokój!!!

HENRYK

Powiem pani tylko to jedno – szczęśliwa pani, że może sobie na taki zbytek pozwolić. Czasem by ktoś chciał także uspokoić się na zawsze, ale nie może, bo tam na niego ktoś liczy – ktoś czeka – ktoś wszystko i wszystkiego się spodziewa...

39 Ahaswer – jedno z imion nadawane legendarnej postaci Żyda Wiecznego Tułacza.

PANNA IRENA

Tak – matka pana – ja wiem... pan jeszcze ode mnie biedniejszy. Pan naprawdę jest tragiczną postacią, tylko trzeba się umieć na pana patrzeć! *po chwili* Wracajmy na ziemię panie, bo nie nam latać, jak te bańki, co przed nami wirują w powietrzu, dając nam ułudę czegoś stworzonego przez nas chociażby na chwilę... pan jeszcze ma przed sobą ile rygorów?

HENRYK

Ach, jedno ostatnie i...

PANNA IRENA

I doktorat...

HENRYK

Tak...

PANNA IRENA

To by było fatalne utknąć przy brzegu...

HENRYK

Ależ ja nie utykam.

PANNA IRENA

No, no... ja wiem więcej niż się panu zdaje. Ja będę szczerą, ja będę nawet brutalną. Według mnie, ma pan tylko jedno wyjście. Długów pan ma już dosyć. Matka pana nie przedstawia żadnej gwarancji, bo sama tonie, biedaczka, w długach, a lichwiarze wszystko widzą... Powinien pan z honorem i buńczucznie się doktoryzować – to znaczy z pełnym portfelem i w nowym fraku. Pan zawsze miał zacięcie wielkopańskie, dlatego pan prawdopodobnie nie jest zwolniony od czesnego...

HENRYK

Rzeczywiście.

PANNA IRENA

Nie dlatego, żeby pan był osioł, ale dlatego, że pan nie chciał mieć do czynienia ze świadectwem ubóstwa. I dobrze, trzeba wejść głównymi schodami, a nie kuchennym wyjściem, więc musi się pan ożenić... ale mądrze. *Vous comprenez?*⁴⁰

40 *Vous comprenez?* (fr.) – Pan rozumie?

HENRYK

Przyznam się pani, że nie mam zamiaru.

PANNA IRENA

To pan poweźmie ten zamiar. Inaczej pana doktorat stanie się tym dla pana, czym dla mnie mój fortepian koncertowy. W jedną z tych baniek, które pan bardzo elegancko w świat rzuca.

HENRYK

Tak łatwo nikt za mnie nie pójdzie.

PANNA IRENA

Ale panie, bardzo łatwo. Tylko nie trzeba być wymagającym... żonę to bardzo krótko widzi się naprzeciw siebie, bardzo prędko widzi się ją z profilu, a potem nie widzi się jej wcale. Taka panna Mazgajska – ma nawet prezencję i bardzo mądrych ojców. Niech pan się nad tym zastanowi.

HENRYK

O, przyznam się pani, że...

PANNA IRENA

Zapewne to nie jest haremowa piękność jak nasza Bierstockelowa, ani frontowa kobieta, jaką ja jestem, a co dla pana najboleśniesz... ani taką nawet bardzo prostą i bardzo serdeczną... Rózią... O! Ta ostatnia rzeczywiście zostanie dla pana w krainie... w tej krainie czystych anielskich wspomnień... Będzie taką dla pana bańką mydlaną, jak ta śliczna tęczowa, która się w tej chwili rozprysła w powietrzu. Ale za to my, taka Mecenasowa, taka ja, taka Konopaj-tysowa – Stasia itd. będziemy zawsze na pana wezwanie..., a im więcej pan będzie rósł w lata, znaczenie, powagę, tym więcej nas będzie dokoła pana.

HENRYK

Ale żona...

PANNA IRENA

Panie! To jest bardzo żądne w życiu mężczyzny. Z początku nie będzie się pan jeszcze udzielał, bo pan będzie na dorobku – więc i ona nie będzie widoczna. A później – gdy pan będzie nasz głośny i znaczny, to i ona nabierze tuszy – sprawi jej pan dobrą krawcową, fryzjera i będzie pan mógł bardzo

przyzwolicie pokazać się z nią na balu medyków, raz do roku. A zresztą, jeżeli na przykład ja – jeżeli się zadawałam namiastkami męża, to i pan może także w życiu zadowolić się namiastkami żony i... *voilà!*⁴¹ – A więc młodzieńcze – do dzieła – zapłać sobie swój doktorat – odnośna osoba jest prawie zdecydowana. *po chwili* Zaręczaj się pan i to jak najprędzej, dotrzymaj słowa – ożeń się – doktoryzuj z całą pompą – stwórz ognisko rodzinne. *wstając* A ja będę waszą przyjaciółką domową.

HENRYK

Jest pani bajeczna.

PANNA IRENA

Nie – ja jestem tylko prawie pogodzona z losem, a gdy się zbuntuję, to jest na to weronal, belladonna i inne uspokajające...

SCENA 4

Ci sami, REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

wchodzi jak bomba, ma trochę wybladłą, wymiętą twarz

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Panie Asystencie, proszę mnie zważyć. Jestem przekonana, że schudłam, bo czuję się lżejszą.

HENRYK

Pani dziś obiadu nie jadła...

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

O, tam takie obiady.

włazi na wagę, HENRYK ją waży

No – no...

HENRYK

Rzeczywiście – schudła pani o trzy kilo i dziewięć deka.

41 *voilà* (fr.) – oto, właśnie, gotowe.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

A co? A co? zeskakuje z wagi i rzuca się na szyję HENRYKA Chwała Bogu! Schudłam, schudłam! Eureka czy tam jak – zacznę teraz jeść, jeść.

HENRYK

Cóż pani zrobiła, że pani schudła?

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Co? Najadłam się na pana imieniny za wszystkie czasy – opilałam się jak bąk, przechorowałam się i mam to, czegoście wy swoimi marchwiami i rzepą otrzymać nie mogli... Teraz znowu zacznę żyć całą piersią.

PANNA IRENA

Raczej całym żołądkiem.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Ach tak! Teraz wreszcie będę żyć po to, aby jeść.

HENRYK

A to dewiza takich jak pani...

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Kpię z dewiz – przestanę jeść trawę jak krowa, a to niezabawne być zwierzęciem trawożernym.

HENRYK

Proszę pani, czy trawożerne, czy mięsożerne – to wszystko jedno...

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Wcale nie... lwy jedzą mięso...

HENRYK

Hiena także.

PANNA IRENA

A jeszcze są takie płaskie zwierzątka, które krwią ludzką żyją...

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Co tam! Głównie, że mogę sobie pozwolić, aby jeść – jeść – jeść, środki na to dzięki Bogu mam, niech się głodzą ci, co się na to już rodzą. *śmieje się grubym*

śmiechem burżuazki zadowolonej z życia i stanu kieszeni Ja jestem od dziecka dobrze wytuczona, mój mąż dwa razy grubszy ode mnie – dzieci moje: proszę siadać! Na wystawę do rzeźnika... Ale też jak siądziemy jeść – koncert...

HENRYK

Harmonia zupełna – zważać jednak trzeba, ażeby się nie zerwała... Jakaś tam struna może pęknąć.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Ale gadanie! Znadto solidnie bronimy wstępu do naszych jadalni.

HENRYK

E! Są wichury i przeciągi, które najsolidniejsze drzwi otworzą.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Fi-lo-zo-fia! Ja mam jedną filozofię – dobrze wykarmiony brzuch!

uderza się z zadowoleniem po brzuchu

PANNA IRENA

Ostrożnie, pani Rewidentowo i z szacunkiem, wszak to treść pani życia.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Nie ma obawy – to dobre nasze mieszczańskie pochodzenie. Ono wszystko przetrwa.

SCENA 5

Ciż sami, BARBARA, później MECENASOWA BIERSTOCKEL, LILUSIA

BARBARA

Zauważyłam, że pani Rewidentowa tak źle dziś przy stole wyglądała i nie jadła wcale lebiody. Co zrobić na kolację – może pani sobie sama nazbiera...

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Nie, pani Doktorowo – proszę o kotlet... Piękny, wysmażony, czarujący kotlet – lub sznycel z jajkiem, rozkoszny sznycelek mla-mla. Jestem zdrowa – chudnę – nie tyję – złażę z łona przyrody, wszystko dzięki naszemu ukochanemu Asystentowi.

BARBARA *cierpko*

Mnie się zdaje właśnie przeciwnie.

REWIDENTOWA JÓZEFCZYKIEWICZOWA

Tylko dzięki jemu. Bo przecież to proste, gdyby się nie urodził, nie nazywałby się Henryk – Henryk kochany – nie byłoby jego imienin, ja nie byłabym sobie podjadła – nie najadła – nie objadła i nie byłabym schudła... No więc, czy nie przez niego?

BARBARA

To względne.

HENRYK

Tym razem rzeczywiście niezasłużony, ale szczęśliwy...

Wchodzi MECENASOWA BIERSTOCKEL i LILUSIA. MECENASOWA BIERSTOCKEL w rękawiczkach, niesie dużą miotłę i drugą mniejszą.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Przyszedłam po panie, aby was zabrać do stodoły. Pan dyrektor jest tam i zarządza sam osobiście sprzątaniami, do którego nas jeszcze podczas obiadu zarekwirował. Chodźcie!

REWIDENTOWA JÓZEFCZYKIEWICZOWA

Idźcie jak chcecie – ja idę spać...

HENRYK

Nie wolno!

REWIDENTOWA JÓZEFCZYKIEWICZOWA

Nawet dla pana, drogi nasz Asystencie, nie ma, nie wolno. Ja i mój brzuch jesteśmy dwie potęgi, które nie znają „nie wolno”! *stoi tryumfalnie na schodach wiodących do sadu* Chcę spać – śpię, chcę jeść – jem! Nic nam zakazać nikt nie jest w stanie.

odchodzi syta i zadowolona środkiem

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Co to?

PANNA IRENA

Bunt! W całej pełni! Zbuntował się brzuch – największy to bunt, na jaki taką kreaturę stać!

MECENASOWA BIERSTOCKEL

W samej rzeczy komiczne.

HENRYK

To mało komiczne, ona jest coś więcej niż komiczne. Nie radzę jej chodzić w poprzek.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

A cóż ona jest więcej?

HENRYK *patrzy na nią przez chwilę*

Pani także tego nie pojmie...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Ach, nie będę się silić – Lilusia, bierz swoją miotłę ...

LILUSIA

Ja nie chcę – ja nie potrzebuję... ja nie mogę sprzątać stodoły. Ja nie mam balowych rękawiczek, jak ty...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

No, to pójdziesz na dach kochanie...

LILUSIA

Jeśli pan Asystent będzie siedział na dachu.

HENRYK

Ja tam przyjdę. Tymczasem niech Lilusia idzie z mamą i z panną Ireną.

PANNA IRENA

Gdzie panna Mazgajska?

LILUSIA

Siedzi w swoim pokoju – widziałam przez okno. Pudruje sobie nos i płacze – co się upudruje znów zmaże łzami i płacze... Ha! Ha! Ha!

Zosia wchodzi z kilkoma miotłami, które stawia w kącie.

ZOSIA

Pan dyrektor przysłał miotły dla pań i panów.

HENRYK bierze jedną z mioteł i podaje IRENIE

HENRYK

Zamiast cygaretki!

PANNA IRENA

*Mille grâces!*⁴²

ZOSIA

Panna Stasia kazała panu Asystentowi powiedzieć, że idzie do stodoły.

HENRYK

Jezus Maria! Byłoby tylko nie wylazła, bo mi każe się znosić.

BARBARA cierpko

No to ją pan zniesie. To trudno...

SCENA 6

Ciż sami i RÓZIA

RÓZIA wnosi telegram i oddaje go BARBARZE

RÓZIA

Telegram do pana dyrektora!

MECENASOWA BIERSTOCKEL

naciąga rękawiczki, do IRENY

Jesteśmy już gotowe! *biorą miotły*

HENRYK do BARBARY

A pani dyrektorowej można służyć jedną miotełką?

42 *Mille grâces* (fr.) – wielkie (stokrotne) dzięki.

BARBARA

która przeczytała telegram, ze złym spojrzeniem na HENRYKA

Dziękuję, ja mam coś ważniejszego do roboty.

HENRYK

No! Zamiast wachlarza!

BARBARA

Raz jeszcze powtarzam, dziękuję...

RÓZIA poszła do szafki z książkami – otworzyła – LILUSIA biegnie do niej

LILUSIA

Proszę mi zarezerwować *Historię występku*.

RÓZIA

Znowu!

LILUSIA

Albo niech mi już pani da na dach do czytania...

RÓZIA

Nie – dam po wysprzątaniu stodoły.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Ja pod jedną rękę pana Asystenta, pani pod drugą...

LILUSIA

Ja! Tylko ja!

wyprowadzają HENRYKA – LILUSIA biegnie za nimi podskakując

BARBARA do ZOSI

Zosiu, proszę iść sprzątnąć numer jedenasty... Tam może przyjedzie nowa pacjentka... Panno Róziu, proszę mieć nad tym nadzór...

RÓZIA

Ten pokój obok pani dyrektorowej?

BARBARA

Tak.

ZOSIA

Czy dać wiecheć gencjany na stół?

BARBARA

Można – a także wiecheć gencjany nad łóżko...

ZOSIA wychodzi środkiem

SCENA 7

BARBARA, RÓZIA, *potem* STEFAN, *następnie* RADCA ZABIELSKI
i dalej DR RACZKIEWICZ

RÓZIA

Czy to będzie ktoś z lepszych gości?

BARBARA

Tak! Dama...

RÓZIA

Kołdra biała czy błękitna?

BARBARA

Błękitna – zresztą mniejsza – tylko raz-dwa...

RÓZIA

Może jakie książki przy łóżku?

BARBARA

Nie trzeba – wątpię, ażeby ta dama czytała... W zachciankach nie trzeba robić ograniczeń... można się nie krępować... zresztą ja będę sama kontrolować...

RÓZIA

Dobrze! A mydła z reklamą?

BARBARA

Ze cztery.

RÓZIA
patrzy nad szafą z książkami

Już mi wyszły – nie mam.

BARBARA
Ja tu wszystko przygotuję i broszury z reklamami i garnitur szczotek i grzebieni, a w rogu pokoju rydle dwa nowe, motykę – siekierę – piłę, itd. Słowem, nie krępować się...

RÓZIA
Tak! Ja tu za chwilę po mydło przyjdę.

BARBARA
Będę tu z tej strony, gdzie zawsze. A do szafy dać dwa kostiumy gimnastyczne, dwa koce, rękawice, wszystko w bród.

RÓZIA wychodzi głębią – wchodzi STEFAN środkiem

BARBARA
Na szczęście, że Stefan wrócił. Co? Jest ta pani w miasteczku?

STEFAN
To jest pani hrabina.

BARBARA
No... tak...

STEFAN
Pani hrabina Strzygońska.

BARBARA
Tak!

STEFAN
Gustawa hrabina Strzygońska. Tak powiedział myszures⁴³ hotelowy.

43 myszures (z hebr. miszures) – posługacz w zajeździe, na Litwie zwany faktorem, w Galicji – kelnerem.

BARBARA

Oddał jej Stefan list?

STEFAN

Właśnie stała na balkonie i pluła pestki z wisien ludzom na głowy. Pozwoli sobie pani dyrektorowa zwrócić uwagę, że to wcale nie po pańsku. Ale tak było. Jak przeczytała list, zaczęła się śmiać – zawołała – pycha – i zaraz narobiła wrzasku, żeby jej zawołali fiakra.

BARBARA

Dobrze! Niech Stefan idzie na gościniec i patrzy uważnie – skoro zobaczy z daleka fiakra z tą panią, lecieć tutaj i dać mi znać – ja wyjdę naprzeciw niej – najlepiej kazać się fiakrowi zatrzymać koło figury na drodze – niech tam na mnie zaczeka.

STEFAN

Pycha! Jak mówi pani hrabina – pędzę.

BARBARA

Gdzie pan Radca Zabielski?

STEFAN

Ja powiem prawdę. Już wysechł i będzie widoczny.

BARBARA

To do Stefana nie należy. Zdaje się, że to on tam idzie – proszę mu powiedzieć, że czekam na niego.

STEFAN

Pycha! Pędzę!

Idzie i widać w sadzie, jak rozmawia chwilę z RADCĄ ZABIELSKIM, który ze świeżo ufarbowaną na czarno głową i brodą – pod parasolem spaceruje. Wchodzi w lanskadach, pełen grzeczności i podchodzi do BARBARY, która przyjmuje go cierpko i usuwa ręką.

BARBARA

Z wolna, z wolna.

RADCA ZABIELSKI

z parasolem pod pachą, w lansadach, zbliża się do BARBARY

Pani Barbaro!... cicho Aniele! Pozwól mi złożyć chociaż pocałunek...

BARBARA

Przez dwa dni ukrywałeś się pan zamiast zająć się szukaniem wiadomego przedmiotu...

RADCA ZABIELSKI

Kryłem się dla ważnych, intymnych powodów... przysięgam – gdybym nie musiał, na skrzydłach – proszę wierzyć na skrzydłach...

BARBARA z pogardą

Męskie przysięgi! Zamilcz pan! Ja jednak działałam i oto znalazłam ów przedmiot, tam gdzie mnie przeczucie od razu szukać kazało! Ten nikczemny – ten Asystent, wasz powiernik – wasz kochany – okazał się właścicielem mej tajemnicy, w jego ręku jest mój honor, a w kieszeni podwiązka...

RADCA ZABIELSKI

Powiedziałem raz już – wyżenić go!

BARBARA

Tak! Zapewne – za nim polecą wszystkie te wariatki. Tu chodzi o co innego i ten węzeł ja tylko rozwiązać potrafię. Chodzi o uratowanie sezonu w „Gencjanie” i zerwanie z nim kontraktu. Jestem na dobrej drodze, proszę mi nie przeszkadzać.

RADCA ZABIELSKI

Jesteś ideałem dyplomacji i rozumu.

BARBARA

Muszę mieć głowę za wszystkich...

Widać przebiegającą cwałem RADCZYNIĄ KONOPAJTYS i ginącą na prawo – za nią pędem leci DR RACZKIEWICZ.

SCENA 8

Ciż sami, DR RACZKIEWICZ

DR RACZKIEWICZ

Czy tędy wpadła Konopajtysowa?

BARBARA

Biegła tędy.

DR RACZKIEWICZ zagląda do gabinetu elektrycznego, zamyka drzwi.

DR RACZKIEWICZ

Jest! Wskoczyła przez okno! Uciekła mi z miotłą ze stodoły.

do BARBARY

Basiu! Błagam cię – weź miotłkę i uświetnij nasze zgromadzenie swoją osóbką!

BARBARA

Ach! Daj mi lepiej klucze od szafki z mydlami. Potrzebuję kilka sztuk.

DR RACZKIEWICZ daje jej klucze

DR RACZKIEWICZ

Służę ci, moja najdroższa! *BARBARA wchodzi do gabinetu elektrycznego* Na-mów ją, niech przyjdzie zamiatać...

BARBARA

Dobrze, czekaj tu, mam telegram do ciebie i to wielkiej wagi, od Mazakiewicza...

DR RACZKIEWICZ

O!

BARBARA wchodzi do gabinetu elektrycznego, DR RACZKIEWICZ do ZABIELSKIEGO.

Wysechł pan już dobrze?

RADCA ZABIELSKI

Doskonale.

DR RACZKIEWICZ

No to niechże pan Radca przyjdzie na dach. Zarezerwowałem panu śliczne miejsce, będzie pan dach pobijał.

RADCA ZABIELSKI

Ani myślę – ja teraz bez parasola ani się nie ruszę. Tutaj nagle jak lunie, to człowiek nie ma czasu zawołać Jezus Maria! I już cały mokry od stóp do głów.

DR RACZKIEWICZ

To niech pan wejdzie do środka, do stodoły. Będzie pan razem z damami zamiatał.

RADCA ZABIELSKI

Nie chcę – tam w dachu są dziury, będzie na mnie lało w razie czego.

DR RACZKIEWICZ

bierze jedną z mioteł pozostawionych przez ZOSIĘ

No to będzie pan Radca zamiatał pod parasolem, kiedy inaczej być nie może

RADCA ZABIELSKI

Chyba że – ale tylko pod tym warunkiem.

Bierze miotłę, rozpina parasol i wychodzi głębią, widać go, jak znika w głębi sadu. Wchodzi z gabinetu BARBARA – niesie mydła, gąbkę – rękawice, czepek – grzebienie, szczotki, broszurę – wszystko wnosi na szafę i składa na wierzchu.

DR RACZKIEWICZ

Cóż, aniołku? Usiłowałaś ją namówić, aby wróciła do stodoły?

BARBARA

Nie chce – mówi, że się jej należy zastrzyknięcie licytyny i że czeka.

DR RACZKIEWICZ

Trzeba będzie to skutecznie...

chce iść do gabinetu

BARBARA

Daj spokój – nie idź – stoi przy oknie – wyskoczy natychmiast, skoro ciebie zobaczy.

DR RACZKIEWICZ

Dziwię się...

BARBARA

A ja się wcale nie dziwię... Mając do wyboru, i za swoje pieniądze... Czy młody opój, czy stary, to już wołałabym młodego...

DR RACZKIEWICZ

Basieczku! Żonusi! Jak ty mi nie możesz darować tej niewinnej, prawdziwie dziecięcej igraszki.

BARBARA z *wybuchem*

Ładna igraszka! I to dziecięca! Orgia łaskawco, orgia na podstawie alkoholu! Stary rozpustnik i w takim stroju!

DR RACZKIEWICZ

W negliżyku... tylko w negliżyku...

BARBARA

To u ciebie negliżyk i szpryca z dwoma podlotkami uczepionymi u twych rąk. Gdy pomyślę, krew mi się w żyłach ścina. A ten bezecnik, który to wszystko prowadził – ten asystencik – sprawca i przyczyna wszystkiego – musi stąd iść precz i to zaraz, zaraz, zaraz. Czy słyszano?

DR RACZKIEWICZ

Słyszano aniele – ale kontrakt opiewa...

BARBARA

To już moja sprawa, jak będzie opiewał. Przede wszystkim przeczytać telegram od Mazakiewicza – ów nowy asystent Porsowski jest w drodze i będzie tu wieczornym pociągim.

DR RACZKIEWICZ

Co mówisz?

BARBARA

Czytaj!

DR RACZKIEWICZ *czyta po cichu*

DR RACZKIEWICZ

Basiuńciu – jedno tylko. Zdaje mi się, że ten Porsowski, to jest ten, którego nazywają żelazny medyk.

BARBARA

A czy żelazny, czy blaszany – co to ma do rzeczy.

DR RACZKIEWICZ

Tak, ale widzisz – on nie ma dwudziestu czterech lat – i co te panie na to powiedzą.

BARBARA

Ale będzie miał za to doświadczenie. A zresztą dosyć, że będzie.

DR RACZKIEWICZ

kiwa głową

Dwadzieścia cztery lat...

BARBARA

Wszystko jedno! Dłużej w takiej zależności być nie można. Ja biorę tę sprawę w swoją rękę.

idzie do drzwi gabinetu elektrycznego, odchyła je i mówi słodko

Pani Radczyni jeszcze czeka? Bardzo dobrze, proszę czekać, za chwileczkę przyślę pani pana Asystenta!

zamyka drzwi, wraca do męża i mówi przyciszonym głosem

Przed wszystkim, proszę przyjąć do wiadomości, że za chwilę przyjeżdża tu jako pacjentka... hrabina Strzygońska, owe coś, co było i wyprawilo się. Ale jest mi potrzebna do moich planów.

DR RACZKIEWICZ

zaciera z zadowoleniem rękę

BARBARA

Proszę się nie cieszyć, nie świecić oczami i nie zacierać rąk – bo ja będę miała oko na to wszystko...

DR RACZKIEWICZ

Basieczko, zdaje ci się. To muszka mnie w dłoń ugryzła...

BARBARA

Ja wiem najlepiej, jaka to muszka i gdzie pana ugryzła. Ta dama będzie obok mnie mieszkać i ja będę miała na nią oko dzień i nocą, oko uczciwej kobiety. Ja tu walczę o honor i całość sezonu „Gencjany”, słowem, reperuję to, co pan niszczy. Skoro ja panie przyprowadzę do stodoły – proszę zachować się z całą rewerencją i potem iść ze mną pod rękę. Do tej chwili z Henrykiem jakby nigdy nic – najgrzeczniej przysłać go tutaj, niech aplikuje tę licytynę – czy tam, co chce. Do wieczora teren musi być uprzątnięty.

DR RACZKIEWICZ

Podziwiam aniele!

BARBARA z pogardą

Dla pana każda jest aniołem, czy kobieta tak nieskazitelna jak ja – czy tam coś, co tkwi za bufetem w kawiarni. Resztę informacji udzielę później... Proszę wracać do stodoły i przysłać tu Asystenta.

DR RACZKIEWICZ

Słucham cię żonusi!

wychodzi

SCENA 9

BARBARA, STEFAN, *później* RÓZIA, HENRYK

BARBARA chodzi niespokojnie po scenie, wchodzi STEFAN

STEFAN

Pani dyrektorowo! Melduję, że pani hrabina sadzi fiakrem od miasteczka... widać z daleka.

BARBARA

Dobrze.

STEFAN

potyka się o butelkę Pomery stojącej koło szafy

O! Tu jeszcze butelka tego napitku... sprząta się, sprząta, a to jak spod ziemi jeszcze wyrasta...

BARBARA *zła*

Bo też się tak sprząta. *wyniośle* Proszę sobie zabrać to szkaradztwo.

STEFAN
czyta etykietę

Pomery – demi-sec.

BARBARA

To wszystko jedno.

STEFAN
Rączki całuję pani dyrektorowej – będzie właśnie na chrzciny mego szóstego jedynaka. A tera idę stanąć w poprzek pani hrabiny.

BARBARA
Ja idę ze Stefanem.

STEFAN wychodzi z butelką, wchodzi RÓZIA i idzie do szafki z książkami

BARBARA *do RÓZI*
Wszystko leży tu na szafce...

Wychodzi śpiesznie, we drzwiach prowadzących na werandę mija się z HENRYKIEM, do którego mówi bardzo uprzejmie.

Pani Radczyni czeka w gabinecie elektrycznym na pana – panie Asystencie, proszę się śpieszyć...

Z uprzejmym ukłonem odchodzi w głąb sadu. HENRYK patrzy na nią zdziwiony, wzrusza ramionami i dostrzega RÓZIĘ, która ustawiła swój mały stolik przed szafą i układa na nim mydła, szczotki, broszury, po które przyszła.

HENRYK
podchodzi do RÓZI

Co pani przygotowuje?

RÓZIA nie patrząc na niego

Mydła reklamowe – broszury, drobiazgi...

HENRYK

Czy to ktoś przyjeżdża?

RÓZIA

Tak, jakaś dama!

HENRYK

Jeszcze! O Boże! *po chwili* Niech pani na mnie spojrzy.

RÓZIA

Tam w gabinecie na pana czekają...

HENRYK

Nie może mi pani w żaden sposób darować, że odkryłem w pani małą – nie wadę, ale przywarę.

RÓZIA

Pan Asystent ma u siebie, zdaje się, te świeżo nadeszłe broszurki o „Gencjanie”.

HENRYK

Tak!

RÓZIA

Ja te wszystkie drobiazgi zaniósę do pokoju, który się urządza i wrócę po broszury.

HENRYK

I ciągle się pani na mnie patrzeć nie będzie?

RÓZIA wychodzi, wynosząc mydło i drobiazgi

SCENA 10

HENRYK, RADCZYNI KONOPAJTYS *wychodzi z gabinetu elektrycznego*

HENRYK

Już pani służę...

RADCZYNI KONOPAJTYS omdlewając opiera się o kanapę

RADCZYNI KONOPAJTYS

Jestem tak tym czekaniem wyczerpana, że muszę zrezygnować z mojej dzisiejszej licytyny. Przy tym jestem w takiej depresji – w takiej depresji...

rzuca się na kanapę

HENRYK

*Raison de plus*⁴⁴, ażeby poddać się zabiegowi.

RADCZYNI KONOPAJTYS

Ach! Nie mogę... przynajmniej na razie... Cóż pan chce! Ja jestem naturą, która wymaga leczenia indywidualnego. Pan to pojmuję. Ja to czuję. Poza tym dla mnie wpływy psychiczne to cały świat. A tu trochę za mało kładą nacisku na tę stronę właśnie...

HENRYK

Pani daruje – ale właśnie przyroda...

RADCZYNI KONOPAJTYS

Ach, panie! Ja całe życie właśnie walczę z naturalnością, pochodzącą właśnie z zapatrzenia się może w tę przyrodę... Mój mężuś... Pan go widział – tutaj już dwa razy – no najlepszy – idealny – łączy mi oczy napełniając na samą myśl o nim, ale – gruboskórny; pewnie i to moja tragedia.

HENRYK

Wydał mi się bardzo sympatyczny... wesoły...

RADCZYNI KONOPAJTYS

Tak... może... ale czy pan wie, jak on mnie nazywa? Empipia Pipijewna! Jemu się to wydaje bardzo zabawne. A ja mam ten typ melancholijny. Gdyby mnie nazywał kobietą fatalną albo kobietą balzakowską, albo coś takiego – ale Empipia Pipijewna...

44 *raison de plus* (fr.) – dodatkowy powód.

HENRYK

Więc pani stanowczo nie chce licytyny?

RADCZYNI KONOPAJTYS

Stanowczo – dziś jestem w takiej depresji...

HENRYK

Zagląda do gabinetu elektrycznego i wynosi miotłę pozostawioną przez KONOPAJTYSOWĄ.

Tedy jest tu miotełka, musi pani powrócić na swoje stanowisko. Cóż począć!

RADCZYNI KONOPAJTYS

Z ręki pana nawet i to przyjmę.

bierze miotłę

HENRYK

A co do Empipii Pipijewny – niech pani już się z tym pogodzi. Skoro mąż pani jest tak sympatyczny.

RADCZYNI KONOPAJTYS

Łzy mam w oczach, mówiąc o nim, ale gruboskórny... Pan nie wie, jak ciężko jest być żoną męża gruboskórnego.

HENRYK

biorąc ją pod rękę i całując ją w rękę

Zwłaszcza skoro ma się tak delikatny naskórek jak pani.

RADCZYNI KONOPAJTYS

Ja mówię duchowo, panie Asystencie – duchowo!

HENRYK

Ja także mówię duchowo, pani Radczyni – duchowo!

RADCZYNI KONOPAJTYS *mdlejąco*

Pan jest rozkoszny... od pana wszystko bym zniosła...

HENRYK

prowadząc ją ku wyjściu

No! Nawet Empię Pipijewną...

RADCZYNI KONOPAJTYS

To wszystko zależy od tonu, panie Asystencie. Zdaje się, że nawet i to, skoro znoszę wszystko. Kiedy pan mnie odwiedzi? Ale tam w mieście. Mążuś będzie panu bardzo rad.

HENRYK

A pani?

RADCZYNI KONOPAJTYS

Ja – może więcej niż rada...

wychodzą oboje pod rękę, już stojąc na werandzie

RADCZYNI KONOPAJTYS

Mnie się zdaje, że pan mnie unika...

HENRYK

Może dlatego, ażeby się nie przekonać, iż pani jest rzeczywiście kobietą fatalną.

RADCZYNI KONOPAJTYS

Przekonaj się pan, przekonaj!

HENRYK

Kto wie – kto wie.

Wychodzą środkiem w prawo i giną w stronę sadu. Chwilę scena zostaje wolna, po czym od lewej strony wchodzi BARBARA i GUSTAWA STRZYGOŃ ubrana na czarno z welonem żałobnym zrzuconym na kapeluszu w tył głowy.

SCENA 11

BARBARA i GUSTAWA STRZYGOŃ

BARBARA

Proszę, niech pani wejdzie.

Wchodzi i idzie do drzwi gabinetu elektrycznego, zagląda później do gabinetu DOKTORA RACZKIEWICZA, wraca do GUSTAWY STRZYGOŃ, którą, gdy są same, traktuje z wyniosłością i prawie pogardą.

Więc pani rozumie, o co chodzi?

GUSTAWA STRZYGOŃ

Pewnie! Mądrej głowie dość jedenaście słów i pałka w łeb...

BARBARA

Pani będzie musiała się zastosować do swej roli.

GUSTAWA STRZYGOŃ

Niech się pani nie boi, tak sobie munsztuk ułożę, że pani sama zdębieje... O, w miasteczku wszyscy mnie brali za hrabinę. Powiadam pani, konać było ze śmiechu.

BARBARA

Chodzi o to, czy pani zna tego Asystenta?

GUSTAWA STRZYGOŃ

Powtarzam pani, że nie. U nas w naszym lokalu studenci nie przychodzą, bo się nie kredytuje. Tam bywa sama nobliwa klientela, same komiwojażery. To wszystko pije za gotówkę – dlatego i ja jestem taka przepita – musicie mnie na nowo przerobić, wy i wasze góry. Och, te góry! Te drzewa... to upija nie gorzej niż to, co się tam pije, ale tak jakoś słodko, że wie pani co! Aż się płakać chce – szczególnie w nocy tak pachnie...

BARBARA

Więc za tę przysługę, którą mi pani odda – będzie pani mogła być w naszym zakładzie jakiś czas. Tylko pani wie...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Już wiem! Już wiem! Niech mi pani nie psuje radości, moja pani.

W przystępie radości chwytą BARBARĘ za rękę, lecz ta z nietajoną odrazą cofa się.

BARBARA

O! Proszę z daleka!...

GUSTAWA STRZYGOŃ zdziwiona

Dlaczego? Dlaczego?

Chwila milczenia, BARBARA spojrzała na GUSTAWĘ STRZYGOŃ z pogardą – ta to zrozumiała i głosem zmienionym mówi.

Przepraszam...panią...

BARBARA

Zaprowadzę panią teraz między te damy.

GUSTAWA STRZYGOŃ

Zaraz, tylko sobie trochę usta uczerwienię, bo wyglądam jak trzy ćwierci do śmierci. Właściwie wyglądam jak nalana...

BARBARA

To jest właściwie zbyteczne – i proszę to zaniechać.

GUSTAWA STRZYGOŃ

Ja widziałam, że hrabiny mają takie malowane usta. Jak Boga kocham!

BARBARA

Ale właściwie lepiej będzie, jak pani będzie blada.

GUSTAWA STRZYGOŃ

Ha! No! To dobrze – będę taki trupek na urlopie...

BARBARA

Ach! Jakie pani ma powiedzenia...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Już – finis – teraz zaczynam być *distingué*⁴⁵ – młoda wdowa po profesorze uniwersytetu.

prostuje się

45 *distingué* (fr.) – dystyngowana, elegancka.

BARBARA

Proszę za mną.

GUSTAWA STRZYGOŃ

Jeszcze jedno! To wszystko panine? I te drzewa także?

BARBARA

To nasze!

GUSTAWA STRZYGOŃ

Boże! Jaka pani szczęśliwa – jak pani musiała być dobrą w życiu, kiedy Pan Bóg jest dla pani taki dobry! Ale ta góra za domem to przecież nie panina...

BARBARA

Połowa jest nasza.

GUSTAWA STRZYGOŃ z niedowierzaniem

Gadanie!

BARBARA

Dlaczego to panią tak dziwi?

GUSTAWA STRZYGOŃ

Bo ja myślałam, że to, co na dole, to należy do ludzi, ale takie góry to już Pana Boga. Widzę, że się pomyliłam. Człowiek taki durny czasem, a w takiej knajpie to już całkiem zgłupieje. No już teraz gęba na kołek – *distingué* – dama, i jestem na pani rozkazy.

Wychodzą na werandę i tam spotykają wchodzących HENRYKA i PREZESA SOŁTYSA. Sama prezentacja odbywa się na platformie werandy.

BARBARA

Pani hrabina pozwoli przedstawić sobie Prezesa Sołtysa i naszego nieocenionego Asystenta Henryka Machonia.

Mężczyźni się kłaniają – GUSTAWA STRZYGOŃ z pewną godnością wyciąga ku mężczyznom rękę.

GUSTAWA STRZYGOŃ

Przyjemnie mi...

BARBARA

Proszę dalej.

odchodzi z BARBARĄ w głąb sadu w stronę stodoły

SCENA 12

HENRYK, PREZES SOŁTYS

PREZES SOŁTYS

Co to za ptak?

HENRYK

Podobno jakaś hrabina Strzygońska.

PREZES SOŁTYS

Pierwszy raz słyszę o takiej hrabinie. Ona wydaje się mi się jakby coś tego...
My, mężczyźni, mamy nos.

HENRYK

Może... co nam do tego...

PREZES SOŁTYS

Pan dziś nie w humorze.

HENRYK

Zdaje się panu.

pociera ręką czoło

PREZES SOŁTYS

który miał w ręku płaską paczkę z albumem i pocztówkami

A ja właśnie chciałem pana widzieć w całej pełni humoru i ożywienia, panie Henryku! Niech pan na mnie spojrzy i to uważnie...

HENRYK patrzy na PREZESA SOŁTYSA, który jest ogolony i odświeżony, ubrany elegancko jasno w białą kamizelkę i w ogóle ma wygląd upiększony, ale zarazem jakieś jakby zakłopotanie na twarzy, pewien lęk, który dodaje mu wdzięku.

Czy znajdujesz mnie pan choć troszkę zmienionym?

HENRYK

Tak jest.

PREZES SOŁTYS

ściska go radośnie za rękę

Dziękuję ci, mój pocciwy chłopcze. Dziękuję ci!

HENRYK

Sobie pan podziękuj w pierwszej linii, czy tej przyczynie, która wywołuje w panu tę metamorfozę...

PREZES SOŁTYS *z wahaniem*

Ale... powiedz mi pan już tak szczerze, zupełnie szczerze – czy nie jestem śmiesznym?

HENRYK

Dlaczego pan miałby być śmiesznym? Czy dlatego, że się pan ogolił? Że masz białą kamizelkę?

PREZES SOŁTYS

Nie – ale czy nie wyglądam pretensjonalnie?

HENRYK

Nigdy w życiu!

PREZES SOŁTYS

Nie z powierzchowności, ale czynów..., a właściwie z tego, co zamierzam...

HENRYK *patrząc na niego uważnie*

Pan coś zamierza?

PREZES SOŁTYS

Tak... i lękam się...

HENRYK

Ach! *po chwili* Już pan postanowiłeś?

PREZES SOŁTYS

Nie śmiej się pan ze mnie... Tak!... I widzi pan, dzieje się rzecz dziwna... Teraz, gdy się do niej przybliżam... gdy chcę coś powiedzieć, coś nic nie znaczącego,

byle tylko spojrzała na mnie, byle przemówiła jedno słowo, czuję, że mnie coś w gardle ściska, jakiś po prostu studencki lęk na mnie napada, na mnie starego wygę – i wie pan, ja się męczę – ja! Taki jest wielki urok, jaki ta dziewczyna na mnie wywiera. Na przykład... głupstwo – kupiłem całą serię pocztówek z tu-tejszymi górami, bo wiedziałem, że chciała je mieć... i dostałem w księgarni tutejszej coś wyjątkowo gustownego, album właśnie do pocztówek. I co pan powie, noszę się z tą całą paczką już trzeci dzień jak jaki тумan i nie mogę się na to zdobyć, aby jej to ofiarować. Jeszcze jaki tydzień, dziesięć dni temu, byłbym powiedział – Róziu, masz tu pocztówki – teraz, skoro postanowiłem ożenić się z nią – coś mnie za gardło ścisnie i uciekam razem z moimi pocztówkami, albumem, a co najgorsze, z moją ofertą matrymonialną. No, nie plaga? Co pan na to, panie Heniu?

HENRYK, który cały ten czas siedział, milcząc z głową spuszczoną i z wzrokiem utkwionym w ziemię, gryząc usta, nie odpowiada.

Może się to panu dziwne wydaje – że ja, stary, mógłbym być ojcem pana, zwracam się do pana po radę – właściwie spowiadam się przed panem, ale z *przymuszonym uśmiechem* trochę w tym jest i pana winy... Mówiliście ciągle, ciągle wszyscy: żeń się, żeń się – jeszcze czas – jeszcze możesz. No i tam, w tym widocznie uśpionym sercu, coś się zbudziło... i to w kierunku nieoczekiwanym.

HENRYK

jakby drgnął z jakiegoś ciężkiego snu

Tak... Ha... no!... Skoro tak być musi...

PREZES SOŁTYS

Pan mnie rozumie... Pan mnie odczuwa...

HENRYK

Jest jedna linia, na której ludzie zawsze się porozumieją i odczują. To jest, panie, linia miłości. I na niej nie ma ani starych, ani młodych – może jeszcze są ci średni, ci, którzy nie kochają, ale używają miłosnych odczuć. Ale i starzy, i młodzi, to oni zawsze, jeżeli kochają, porozumieją się. *po chwili* Dlatego może ja pana rozumiem.

PREZES SOŁTYS *zmienionym głosem*
Czyżbyś pan także kochał?

HENRYK
Może... ale moja miłość to bańka mydlana. Miała nawet chwilę kolory tęczy – zawirowała przede mną i znikła... Dziś jest już w krainie abstrakcji... zmiotła ją z mej drogi rzeczywistość.

dwaj mężczyźni patrzą chwilę w milczeniu w ziemię
Chodzi tu teraz o pana – musi się pan zdecydować, bo takie zmaganie się wyczerpuje pana nerwowo...

PREZES SOŁTYS
Ja to czuję sam.

HENRYK
Najlepiej połóż pan ten album nieszczęsny na jej stoliku i ją tylko uprzedź – tam leży.

*Bierze album i kładzie na stoliku, przy którym RÓZIA układa zwykle książki.
PREZES SOŁTYS poszedł za nim i uśmiecha się.*

PREZES SOŁTYS
Dziękuję ci – jesteś złotym chłopcem... *całuje go* Ale powiedz mi tak szczerze, zupełnie szczerze... Czy... gdybyś był taką Rózią, nie odrzuciłbyś mnie?

mówi to z nadzwyczajnym wdziękiem, który opromienia go całego

HENRYK
Szczerze mówię – nie wahałbym się...

PREZES SOŁTYS
To głupie, ale jakoś mi rażniej.

HENRYK
Pan nie ma syna?

PREZES SOŁTYS
Nie, ale dlaczego mnie pytasz o to?

HENRYK

Tak sobie myślę, że syn pana byłby bardzo szczęśliwy... Pan byłby bardzo dobrym ojcem...

PREZES SOŁTYS *powoli, jakby zamyślony*

Tak – byłbym bardzo dobrym ojcem.

Na werandzie pojawia się RÓZIA i panna NADRADCZANKA MAZGAJSKA, które idą z głębi sadu na scenę powoli, rozmawiając.

SCENA 13

*środkiem HENRYK, PREZES SOŁTYS, RÓZIA,
NADRADCZANKA MAZGAJSKA*

HENRYK patrzy chwilę na obie panny i mówi jakby z żalem

HENRYK

Idźmy panie Prezesie każdy ku swemu przeznaczeniu! Nie poradzimy nic w tym życiu! Co ma być, psia – krew – to będzie!

Z determinacją podchodzi do NADRADCZANKI MAZGAJSKIEJ, która spłoszyła się na jego widok. HENRYK mówi, nie patrząc na nią i zagryzając usta.

Jak zdrowie pani? Czy ból głowy trwa ciągle?

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Ciągle... ciągle...

HENRYK

Co pani pomaga – zimny czy ciepły kompres?

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Mnie nic nie pomaga...

HENRYK

Pani, zdaje się, ma gorączkę. *bierze ją za puls* Tętno trochę przyśpieszone. Czy pani znosi piramidon?

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Ja nie wiem. Ja się nie znam...

PREZES SOŁTYS

do RÓZI, która podeszła do stolika

Rózieczko... tu drobnostka, seria pocztówek...

RÓZIA

Dziękuję... ale ja już mam, kupił mi Stefan nawet dwie serie...

PREZES SOŁTYS

A! Tak!

RÓZIA

Może się panu przydadzą, one są wcale artystycznie wykonane.

PREZES SOŁTYS

Ale tu jest i albumik.

RÓZIA

Dziękuję panu, ale mam swoje albumy w mieście. U mnie taka mania tych pocztówek... od dziecka.

HENRYK *do NADRADCZANKI MAZGAJSKIEJ*

Ja pani przyniosę trochę piramidonu, pani zażyje i położy się spokojnie w swoim pokoiku. Ja tam przyjdę po jakimś czasie zobaczyć, co się z panią dzieje. Proszę tam na mnie czekać. *do RÓZI* Te broszury, o które pani chodzi, są u mnie – przyniosę je razem z piramidonem. *z uśmiechem przymuszonym do MAZGAJSKIEJ* A pani musi koniecznie się uspokoić – pani jest naprawdę bardzo zdenerwowana.

PREZES SOŁTYS

do HENRYKA, zabierając się z nim do odejścia, po cichu

Znów się spisałem jak dureń – daję słowo, jak dureń...

HENRYK

No! No! Powoli pan nabierze odwagi. Niech pan ciągle krąży i po chwili znów do niej podejdzie. To się wyrówna...

Wychodzą w głąb sadu. Gdy zniknęli, panna NADRADCZANKA MAZGAJSKA chwytła się za głowę i w zdenerwowaniu pada na jeden z leżaków, na którym pozostaje w pozycji siedzącej z głową ukrytą w dłoniach. Panna MAZGAJSKA jest upudrowana, ale nieudolnie – nos ma zaczerwieniony, a oczy prawie ciągle łez pełne. Nos wyciera chustką i pociąga nim jak ktoś co zakatarzony. Wreszcie pyta RÓZI.

Czy on poszedł?

RÓZIA

Kto?

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Ten... Asystent...

RÓZIA

On zaraz przyniesie pani piramidon.

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Ach, Boże! Gdzie ja ucieknę – gdzie się schowam...

RÓZIA

zbliża się do niej ze współczuciem

Niech się pani uspokoi, to pani minie – to migrena...

NADRADCZANKA MAZGAJSKA *zaczynając coraz gorzej płakać*

Nie – to nie minie – to dopiero się to nieszczęście na mnie wali...

RÓZIA *łagodnie*

Jakie nieszczęście?

RÓZIA siada przy niej na leżaku – panna NADRADCZANKA MAZGAJSKA chwytła ją za ręce i tak się do niej tuli jak dziecko.

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

O! Panno Róziu! Gdyby pani wszystko wiedziała! Pani taka dobra – ja zawsze mam dla pani tyle sympatii...

RÓZIA *jw.*

No, więc niech mi pani wszystko powie otwarcie. O co tu chodzi?

NADRADCZANKA MAZGAJSKA
 płacząc, i mówi oglądając się na drzwi

Oni – chcą – mnie gwałtem za mąż wydać...

RÓZIA

No, to nie jest jeszcze takie nieszczęście...

NADRADCZANKA MAZGAJSKA
Ale pani nie wie, za kogo... to tata sobie tak przedstawił...

RÓZIA

Może za pana Sołtysa – to bardzo godny człowiek...

NADRADCZANKA MAZGAJSKA
Ale nie – ale nie – to za... Asystenta!

RÓZIA
 odsuwa się zdumiona

Za niego?

NADRADCZANKA MAZGAJSKA
Tak! Proszę sobie wyobrazić. Przecież on jest dla mnie za młody, za ładny, za wszystko! I on byłby strasznie nieszczęśliwy... i ja jeszcze nieszczęśliwsza. Co? Prawda?

RÓZIA *wzburzona*
Tak... Tak!

NADRADCZANKA MAZGAJSKA
Ale i panna Irena, i tato koniecznie, że to partia – że ja mam to głupie jakieś parę tysięcy koron, a on nie ma nic – tylko długi i chorą matkę i nie ma za co skończyć doktoratu, a tato mu te pieniądze da, na dopomożenie, i tak o! I to się może stać tam w mieście, bo mama jak się dowie, to także będzie kontenta – i ojciec będzie miał z kim grać w pikietę... i wszyscy będą kontenci... tylko ja. zanosząc się z płaczu Tylko ja! Tylko ja!

RÓZIA *jw.*
Cicho! Niech pani nie płacze... to się nie stanie, to się nie może stać – ja pani na to daję słowo...

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

O panno Róziu! Panno Róziu!

RÓZIA

Proszę się uspokoić... to się nie stanie... to byłoby potworne. Proszę obetrzeć oczy...

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Ja idę do stodoły. Nie chcę jego piramidonu – nie chcę jego – nie chcę nic. On by potem poszedł dowiadywać się, jak ja się mam, a ja nie chcę z nim zostać sam na sam, bo on mi się gotów oświadczyć...

RÓZIA *gwałtownie*

Nie! Nie! On się pani nie oświadczy.

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Tata by zaraz nas zaręczył... Czy ja mam bardzo czerwony nos?

RÓZIA

Trochę! Niech się pani upudruje...

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA wyjmując z torebki puszek z pudrem i maże się po nosie. RÓZIA jej poprawia.

Tu jeszcze... teraz dosyć... zdaje się, że idzie.

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Jezus Maria, którądy uciekać?

RÓZIA

otwiera drzwi do gabinetu elektrycznego

Tędy – a potem przez okno do sadu, a potem do stodoły.

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Bóg pani zapłać! Bóg pani zapłać!

RÓZIA

Niechże pani nie zaczyna znów płakać!

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

uciekając do gabinetu elektrycznego

Nie! Nie!

RÓZIA patrzy na nią, wreszcie wraca na scenę i zamyka drzwi do gabinetu, na scenę wchodzi HENRYK, niesie prasę i broszurki, powoli zmienia się oświetlenie, widać zachodzące słońce przez liście drzew.

SCENA 14

RÓZIA, HENRYK

Dwukrotnie widać śmiejącego się w oddali pod drzewami PREZESA SOŁTYSA i ginącego wśród drzew.

HENRYK

Oto są broszurki dla pani... A gdzie panna Mazgajska?

RÓZIA *twardo*

Uciekła!

HENRYK

Przed czym? Może nie znosi piramidonu?

RÓZIA

Nie – ona nie znosi nawet myśli o małżeństwie z panem...

HENRYK *zdziwiony*

O! Kto to pani mówił?

RÓZIA

Ja wiem – ja wiem wszystko. I to się stać nie może... nie może... słyszy pan...

HENRYK *zgnębiony*

Panno Róziu! Życie ma czasem swoje straszne wymagania. *pociera ręką po czole* To jest ciężko przedsięwziąć jakąś trudną drogę i piąć się na niej, po prostu na czworakach z ciężarami u nóg, które wstrzymują i ciągną w tył... a honor każe zwrócić to, co się wzięło i nie zawieść nadziei, którą tak ktoś bardzo biedny – bardzo już życiem skołowany, położył w nas...

chwila milczenia

RÓZIA *stłumionym głosem*

Tak... ale dlaczego sobą płacić za to wszystko! Przecież to będzie po prostu sprzedaż – jakże więc tak się godzi...

HENRYK *smutny*

Panno Róziu – mnie już wszystko jedno. Ja się już niczego w życiu nie spodziewam, bo ja wszystko tracę... kiedyś pani może to zrozumie...

RÓZIA

biegnie do szafki

Czekaj pan... chwilę...

Otwiera szafkę spomiędzy książek wyciąga książeczkę kasy oszczędności, biegnie do HENRYKA – podając mu tę książeczkę.

Ja, proszę pana... weź pan to.

HENRYK

Co to?

RÓZIA

To moja książeczka kasy oszczędności... Tam jest trochę, troszeczkę... to, co uzbierałam sobie, bo chciałam dla rodziców pomniczek postawić, ale to wszystko jedno – oni jeszcze w mogiłkach poczekają – a pan niech sobie dopomoże ten doktorat zdać! Niech Pan Bóg broni! Pan może nawet mnie nie widzieć, jak pan będzie już doktorem, to mi pan kiedyś odda... odeśle...

HENRYK *wzruszony*

Biedne, moje drogie dziecko...

RÓZIA

która płacze cicho

Tam jest... tam jest czterysta dwadzieścia koron i tu jest napisane, że to na okaziciela... więc...

HENRYK

oddając jej książeczkę

Nie Rózieczku! Nie! Nie mogę wziąć...

RÓZIA

Pewnie... za mało...

HENRYK *posepnie*

Może!... A poza tym jest jeszcze jedna przeszkoda pomiędzy nami...

RÓZIA

Jaka?

HENRYK

Dowiesz się – niedługo. Ale za twoje ukochane – gołębie – złote serce weź na resztę życia ten grad pocałunków, którymi cię obsypię jak kwieciami, *całuje ją po twarzy i rękach* jak kwieciami gencjany, tej błękitnej gencjany, wśród której wzrosła i zakwitła nasza biedna i czarująca miłość. Będzie to wspomnienie najpiękniejsze i może jedyne – serdeczne, słoneczne i przynajmniej dla mnie jedyne.

Całuje ją w czoło, ona padła na krzeselko i oparła głowę na stolik – trzyma w ręku książeczkę – on chwilę patrzy na nią i cicho odchodzi. Widzi snującego się pana SOŁTYSA – robi gest ręką, wskazując na RÓZIĘ i odchodzi w głąb sadu – środkiem.

SCENA 15

RÓZIA, PREZES SOŁTYS

który podchodzi do niej, siląc się na swobodę i widząc, że ona na niego nie zwraca uwagi, ale siedzi, płacząc rzewnie i cicho, zatrzymuje się strapiiony

PREZES SOŁTYS

Róziu!... Rózieczko!... Co to... ty płaczesz?

RÓZIA *starając się zwalczyć łzy*

Nie... nie...

PREZES SOŁTYS

Ale ty masz twarzyczkę łzami zalaną. Czy kto ci wyrządził jaką przykrość, powiedz! Ja gotów jestem w każdej chwili stanąć w twej obronie.

RÓZIA

To nikt – to los... to twarda dola... to już widać mnie tak było przeznaczone...

PREZES SOŁTYS

Ty nie wiesz, drogie dziecko, co jeszcze jest ci przeznaczone... ty możesz być bardzo szczęśliwa i uczynić jeszcze drugiego kogoś szczęśliwszym.

RÓZIA *z wybuchem rozpaczy*

Ja? Już nigdy – nigdy w życiu... Dla mnie wszystko skończone...

PREZES SOŁTYS

Teraz właśnie się twoje życie zacznie – może – dostatniejsze, rozkoszniejsze – pełne uroku, niespodzianek. Dowiesz się, jakie ponęty, ile piękna ma świat w sobie – jego kultura i rozległość jego...

RÓZIA

Ja tego nie pragnę – dla mnie świat mógł się zacząć i skończyć w takim małym kręgu, ale to się zmieniło, to się skończyło

plącząc

PREZES SOŁTYS

*zupełnie zmieszany pociera ręką po czole, bierze krzesłko i siada przy niej,
po chwili*

I znów płaczesz?

RÓZIA *milczy*

Co masz tutaj w ręku?

bierze jej z ręki książeczkę kasy oszczędnościowej

Książeczka kasy oszczędności – czyja? Twoja? Nie wiedziałem, że jesteś kapitalistką... *śmieje się na okaziciela.*

RÓZIA

Nie... to na doktorat...

PREZES SOŁTYS

Cóż to? Wstępujesz na medycynę? Będziesz się doktoryzować?

RÓZIA
zasłaniając oczy

To nie ja... to on!

PREZES SOŁTYS

Kto? on?...

RÓZIA
A-sys-tent! Ale... to za mało... to ja mu chciałam pożyczyć... ale to za mało! On gotów jeszcze zaręczyć się z panną Mazgajską – i jeszcze ożeni się z nią... bo oni wszyscy tego chcą, i jej ojciec, i panna Irena...

PREZES SOŁTYS
Pewnie, że to nie jest dla niego odpowiednia żona... ale *patrzy na nią uważnie* co to ciębie tak Róziu obchodzi i tak martwi?

RÓZIA zasłania oczy. PREZES SOŁTYS pochyla się ku niej i mówi zmienionym i wzruszonym głosem.

Róziu! Czy ty go kochasz? RÓZIA milczy Pytam się ciębie... jak... ojciec. Kochasz go?

RÓZIA ledwie dosłyszalnym głosem

Tak!

PREZES SOŁTYS *po chwilowym, ciężkim odetchnięciu*
A on?

RÓZIA
Także... tak... Ale on musi skończyć studia... on ma długi... on ma starą, chorą matkę... on...

PREZES SOŁTYS
Dosyć... dosyć... nie płacz! wstaje, odstawia krzeselko i mówi z wysiłkiem
Wszystko się zmienia, stanie się to, co się stać powinno.

w głębi przesuwają się wśród drzew HENRYK

PREZES SOŁTYS
woła go z estrady werandy

Henryku! Chodź tutaj! Kilka słów tylko...

HENRYK
wchodząc na estradę

Czy pan się porozumiał?

PREZES SOŁTYS
Najzupełniej! Ale, co najważniejsze, porozumiałem się z moim rozsądkiem i moim sumieniem... odzyskałem jedno i drugie... Chodź tutaj...

SCENA 16

HENRYK, RÓZIA, PREZES SOŁTYS

PREZES SOŁTYS
który ciągle trzyma w ręku książeczkę kasy oszczędnościowej RÓZI
Przed wszystkim, dobry mój chłopcze, kilka pytań w kwestiach formalnych. Ile mamy tak zwanych rygorów?

HENRYK
Dopiero jeden! Ale do dwóch dalszych jestem już przygotowany... tylko...

PREZES SOŁTYS
A zatem idzie ten nieszczęsny doktorat?

HENRYK
Tak... ale...

PREZES SOŁTYS
Gdyby twój ojciec żył, to by się tak nie wlokło...

HENRYK
Zapewne... choć mój ojciec był także ubogi... jednak zawsze byłoby nas dwóch w tej walce i przez to byłoby jakoś łatwiej...

PREZES SOŁTYS
do RÓZI, która bierze broszurkę i chce odejść
Róziu, zaczekaj chwileczkę...

RÓZIA

Bo ja mam urządzać ten pokój...

PREZES SOŁTYS

A ja przedtem chcę urządzić wasze życie. do HENRYKA Powiedziałeś przed chwilą, że mój syn, gdybym go miał, byłby bardzo szczęśliwy, bo byłbym bardzo dobrym ojcem! Otóż, ja zaczynam to samo czuć... Budzi się we mnie jakieś pragnienie otoczenia kogoś moją pomocą, moją opieką... to, co ja zapomniałem zużyć w mym życiu w tym właśnie kierunku... I to się o mało nie zemściło na mnie fatalnie... ty wiesz najlepiej Henryku... Ale na czas powiadam ci, na czas... Więc teraz będziemy zdawać te rygory... kończyć studia... i doktoryzować się z całą *graderrą*⁴⁶. My dwaj, ty osoba głównie działająca, a ja, ot... podpora twoja ze strony materialnej...

HENRYK

O!

PREZES SOŁTYS

Biorąc go w ramiona i wyciągając potem rękę w stronę RÓZI, która szeroko otwartymi oczami patrzy na nich.

Ażeby jeszcze było lżej wam w tym życiu i ta walka z losem każdemu w swoim kierunku nabrała pewnego uroku – musimy jeszcze dobrać kogoś... Rózieńku! Chodź tutaj... To jest twoja żona, a moja... przybrana córka! RÓZIA tuli się do jego piersi Pocałujcie się... moje biedaki... ale tak zaręczynowo... a potem mnie... tak jakbyście byli moje rodzone dzieci...

Oboje młodzi całują się gorąco, śmiejąc się radośnie, potem PREZESA SOŁTYSA.

Teraz wszyscy jesteśmy szczęśliwi...

HENRYK

trzyma go za rękę

Czy wszyscy? To jeszcze pytanie...

46 *grade* (fr.) – stopień, ranga; tu w znaczeniu: obyczaju respektowania tytułów i stopni; być może wyraz miał postać: *grandezza* (wł.) – duma.

PREZES SOŁTYS

Daję ci słowo, że dopiero teraz znów odzyskałem pewność siebie i swobodę, i równowagę, którą utraciłem. Ja sędzę, że do małżeństwa nie trzeba ani doktoratów... ani rygorów. A po co życie marnować i tracić je! Młodość drugi raz nie wraca, jedna jest! Jedyna!... Ja wiem coś o tym. *po chwili* Tylko, że tu macie zobowiązania...

HENRYK

Tak jest, ja mam kontrakt do końca sezonu.

RÓZIA

Ja także.

PREZES SOŁTYS

A więc, posłuchajcie mnie. Macie moralne zobowiązania i nie macie powodów do zerwania. Pozostajmy tu wszyscy, wy zaręczeni w sekrecie, a ja depozytariusz waszej tajemnicy. Będzie w tym urok prawdziwej świeżości – ja wiem, a ile znam ludzi, a zwłaszcza kobiety, że te damy nie darowałyby wam nigdy, że to się tak stało.

RÓZIA

Pewnie... one mnie mają za takie nic... i właściwie...

HENRYK

A ty jesteś wszystko! *całuje ją w rękę* Świat cały! Wszystko!

PREZES SOŁTYS

Tak! Ale po co mają właśnie temu światowi takie Stasie, takie Bierstockelowe itd. ubliżać... Najlepiej cichutko, potem pojedziecie do miasta...

RÓZIA

Pan z nami!

PREZES SOŁTYS

Nie – ja za wami, ale teraz to i ja wam jestem zbyteczny. Potem urzęduję wam skromne gniazdko... takie do pracy i miłości... pobiorę was i poproszę od czasu do czasu o mały kącik, dobry, kochany, przytulny kącik... taki jaki miałbym u swoich dzieci, gdybym je miał. *do RÓZI* Ty będziesz mi przynosić kawę, tak jak wtedy, gdy byłaś maleńka. *do HENRYKA* A ty będziesz ze mną grać czasem w szachy – co?

HENRYK

Ależ dobrze... dobrze...

PREZES SOŁTYS

Szczególniej w zimowe wieczory, to będzie przyjemnie. Będę wam taki wdzięczny. Taki wdzięczny.

RÓZIA

To my panu!

PREZES SOŁTYS

Ty nawet nie wiesz, przed jakim szaleństwem mnie ocaliłeś... *patrzy na HENRYKA* Nie trzeba ażeby ona kiedykolwiek wiedziała.

HENRYK

Może pan być przekonany.

PREZES SOŁTYS

Tak! A teraz wszyscy na swoje stanowiska. Ty, Róziu, idź urządzać pokój dla tej hrabiny i zabierz swoją książeczkę oszczędności, a schowaj ją przy sobie, przyda się wam na nowe gospodarstwo... czy na co. A ty, Henryku, bądź dalej droгим Asystentem dla tych dam, a ja zawsze wolny i do wzięcia, polecę na stodołę, na dach – oddam się na pastwę papy Mazgajskiego, który tam czyha na mnie z kartami w kieszeni i będę przy tej okazji wygrzewał moje reumatyzmy, które zaczynają znów dolegać.

HENRYK

Może to chwilowe...

PREZES SOŁTYS

Nie! Tu święty Boże nie pomoże, ani biała kamizelka, ani białe buty. Trzeba się zgodzić z losem i z czasem. Pa! Do widzenia!

wychodzi

HENRYK

dopada do RÓZI

Boże! Jaki ja jestem szczęśliwy.

PREZES SOŁTYS

I ja także!

HENRYK

Och! Słysząc ich głosy!... Nie zniosę... uciekam na razie... Do widzenia! Ty moja!
wybiega

RÓZIA

Uszczęśliwiona, bierze broszurki i ucieka w drugą stronę sadu, na werandzie spotyka całą bandę dam z hrabiną i BARBARĄ na czele.

BARBARA

zapytując ją sucho

Czy pokój pani hrabiny gotowy?

RÓZIA

Już, tylko kilka drobnostek...

BARBARA

prezentuje RÓZIĘ

Nasza masażystka!

GUSTAWA STRZYGOŃ przypatruje się jej uprzejmie.

SCENA 17

Wchodzą na scenę BARBARA, GUSTAWA STRZYGOŃ – uczepiona u rąk GUSTAWY LILUSIA – z drugiej strony GUSTAWY idzie MECENASOWA BIERSTOCKEL, PANNA STASIA, dalej pcha się DOKTOROWA ORZECH i RADCZYNI KONOPAJTYS, nieco dalej trzyma się PANNA IRENA i PANNA MAZGAJSKA. GUSTAWA STRZYGOŃ traktuje je wyniośle i od czasu do czasu przewija się po jej ustach jakby ironiczny uśmieszek.

GUSTAWA STRZYGOŃ

patrząc na RÓZIĘ

To śliczna dziewczyna...

PANNA STASIA

Taka... wulgarna...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Ona ma w sobie takiego coś sympatycznego.

LILUSIA

Ja nie chcę, ja nie potrzebuję – ja tylko jedna jestem tu najpiękniejsza. *łaskając się do GUSTAWY STRZYGOŃ* No! I pani hrabina...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

A co? Dziecko! A poznało się na tym, co piękne i wielkie...

GUSTAWA STRZYGOŃ

gładząc LILUSIĘ po głowie

Dobrze, dobrze, moja mała... Tylko tak dalej, a będą z ciebie ludzie...

LILUSIA

Ja nie chcę – ja nie potrzebuję, ja jestem już cały człowiek.

GUSTAWA STRZYGOŃ

Nie – ty jesteś dopiero pół porcji.

LILUSIA

Nie – ja jestem cała porcja!

PANNA STASIA

Nie sprzeczasz się z panią hrabiną! Co za niezdolna dziewczyna – ustąp się – teraz ja posiedzę przy pani hrabinie.

RADCZYNI KONOPAJTYS

Może pani hrabina położy się na szezlongu.

PANNA STASIA

Ja mój odstąpię...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Tu zdaje się jest przeciąg... mój ma lepszą sytuację...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Kiedy ja nie jestem chora... po co ja mam się rozwalać...

BARBARA

chrząka, aby zatuszować to niefortunne powiedzenie

No, po drodze może pani hrabina zmęczona.

DOKTOROWA ORZECH

Tym bardziej, że to godzina werandowania.

PANNA IRENA

My wszystkie się tak od czasu do czasu rozwalamy.

GUSTAWA STRZYGOŃ

Ha! No! Jak wam o to koniecznie chodzi, gdzież to ja mam się położyć?

każda z pań ustępuje jej swój hamak, oprócz IRENY i panny MAZGAJSKIEJ

KAŻDA Z DAM

Tu! Tu – proszę do mnie...

Wreszcie MECENASOWA BIERSTOCKEL zwyciężyła i pociągnęła GUSTAWĘ STRZYGOŃ na swój leżak.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Proszę, tak wygodnie...

PANNA STASIA

Ja dam swoją poduszkę pod głowę pani hrabinie.

DOKTOROWA ORZECH

A ja mój koc – nadzwyczaj lekki i miły.

RADCZYNI KONOPAJTYS

Ja pani hrabinie zrobię wachlarzyk z najświeższej gazety.

zabiera się do robienia wachlarza

GUSTAWA STRZYGOŃ

Ach nie! Dziękuję... będzie śmierdzieć drukiem.

BARBARA

znów chrząka i mówi uprzejmie

Pójdę i sprawdzę, w jakim stanie pokój pani hrabiny. Może pani zechce wypocząć!

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Ach nie! Niech nam pani ją nie zabiera!

SCENA 18

Też same i REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

pędzi jak bomba – spocona ze snu – za nią ledwie może nadążyć ZOSIA

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA *do ZOSI*

Gdzież ona jest, ta hrabina?

ZOSIA

Tu, w hali z paniami.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

do BARBARY, która daje ZOSI jedną miotłę

BARBARA

To pozostawić w pokoju pani hrabiny razem z rydlami i łopatą...

ZOSIA bierze miotłę i wychodzi

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

A hrabina? Gdzie hrabina?

BARBARA

Tam jest – ta na czarno – nie uciekła, niech się pani nie boi...

wychodzi do sadu

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

do STASI, którą złapała w przejściu

Przedstaw mnie pani hrabinie, moja złota Stasieczku...

PANNA STASIA

Dzięki Bogu, że przyjechała, bo mój papa i mama to mnie ciągle w listach głowę suszyli, że tu nie ma nikogo z wyższej sfery. Nawet mama dlatego ze mną tu nie jest i jedzie do Vichy!

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA
No, może teraz tu przyjedzie...

RADCZYNI KONOPAJTYS do PANNY IRENY
Pani ma jakiś wachlarzyk – może pani nam pożyczy...

PANNA IRENA *ironicznie*
Chętnie, a może liść łopuchu na głowę?

*PANNA STASIA prowadzi do leżącej STRZYGONIOWEJ REWIDENTOWĄ
JÓZEF CZYKIEWICZOWĄ, która w krygach podchodzi.*

PANNA STASIA *prezentując*
Nasza Rewidentowa Józefczykiewiczowa.

GUSTAWA STRZYGOŃ
Jezus Maria! A to znów numer! Tu muszą dobrze jeść dawać...

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA
A co? Ja mówiłam, że mnie nie trzeba odtłuszczać, bo ja jestem chlubą zakładu!

pakuje się jak najbliżej GUSTAWY STRZYGOŃ

DOKTOROWA ORZECH
*niosąc od IRENY papierowy wachlarzyk, który podaje z wdziękiem GUSTAWIE
STRZYGOŃ*

A tutaj maleńki wachlarzyk – ten już nie czuć drukiem. do LILUSI Posuń się
trochę, niech ja także usiądę...

PANNA STASIA
wciska się w głowę leżaka
Ja panią będę wachlować!

LILUSIA
lecąc do sadu

A ja przyniosę gałązki i będę z much oganiać!

GUSTAWA STRZYGOŃ
Panie są bardzo uprzejme, ale czego nie siedzą właściwie w sadzie – tylko duszą się tutaj?

MECENASOWA BIERSTOCKEL

To jest godzina werandowania – i czekamy na naszego Asystenta, bo każda z nas ma jakiś mały zabieg do zaaplikowania.

GUSTAWA STRZYGOŃ

To ten młody? To bardzo frontowy okaz. Szkoda go na doktora.

DOKTOROWA ORZECH

Pani hrabina nie lubi doktorów...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Proszę pani – za co ich lubić – zawsze jakąś chorobę wymyślą w człowieku.

Wszystkie panie się zaśmiewają, najgłośniej MECENASOWA BIERSTOCKEL.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Bardzo dowcipne...

LILUSIA

wraca z sadu i mówi do matki

Ustąp się! Ja będę muchy opędzać.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Daj mi kawałek gałązki, ja także będę opędzać.

Panna NADRADCZANKA MAZGAJSKA podchodzi z liściem łopuchu, po który pobiegła w porozumieniu z IRENĄ do sadu.

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Pani hrabina pozwoli sobie służyć... to jest liść łopuchu...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Cóż ja mam z tym zrobić, zjeść?

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Nie, to na głowę.

GUSTAWA STRZYGOŃ odpina kapelusz i welon i kładzie łopuch na głowę.

GUSTAWA STRZYGOŃ śmieje się

Tak?

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Niech pani uważa – bo taki doktor jeden z drugim, to gotów pani hrabinie ka-
zać i łopuch surowo zjeść na kolację.

GUSTAWA STRZYGOŃ

No, a co? Nie miałam racji mówiąc, że doktorów nie należy lubić, *do MAZGAJ-
SKIEJ* dziękuję pani.

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Proszę!

GUSTAWA STRZYGOŃ

Ale pani biedna, chuda, panie obie *pokazuje na JÓZEF CZYKIEWICZOWĄ* to ta-
kie siedem krów tłustych i siedem krów chudych.

DOKTOROWA ORZECH

Panna Nadradczanka jest anemiczna jak mieszkanka miasta. Gdyby jak ja była
na wsi – uprawiała sporty..., pani hrabina pewnie także uprawia sporty...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Co takiego?

DOKTOROWA ORZECH

Sporty – tutaj trudno, choć na upartego tu są konie.

GUSTAWA STRZYGOŃ

Ja jeżdżę w mieście tramwajem mało – ale w nocy są gumy.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

A autem?

GUSTAWA STRZYGOŃ

Nie cierpię! Huczy – i śmierdzi benzyną, trzęsie jak nieszczęście...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Poza tym właściwie to nie jest dystygowanie. Więcej szyk to są teraz konie...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Tak – ja za życia mego męża miałam karetę.

DOKTOROWA ORZECZ

Ale mnie chodzi o to, czy pani hrabina sama powozi...

GUSTAWA STRZYGOŃ

*z aplombem*⁴⁷

Właśnie! Ja zawsze sama powoziłam karetę... *wszystkie panie zdziwione* Tak?

MECENASOWA BIERSTOCKEL

To musiało być bardzo oryginalne...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Pewnie... ja zawsze wiozłam mojego męża na uniwersytet.

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

To wszyscy musieli się patrzeć...

GUSTAWA STRZYGOŃ

A! Przy moim mężu to ja przywykłam do rozmaitych dziwactw. To był bardzo wielki człowiek, ale miewał takie fiksum dyrdum...

LILUSIA

Fiksum dyrdum?

GUSTAWA STRZYGOŃ

No! Bywał taki wariat z mokrą głową na pewnych punktach.

PANNA STASIA

Z mokrą głową?

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Czy nie dość mu było, że był hrabią, po co mu było jeszcze być profesorem uniwersytetu...

GUSTAWA STRZYGOŃ

No, widzi pani. Taki był uparty i pomyłony. Mało mu było hrabskiego tytułu – jeszcze mu trzeba było być profesorem. Ale w gruncie rzeczy dobry człowiek. Świeć tam Panie nad jego duszą.

47 *aplomb* (fr.) – pewność siebie, tupet; *z aplombem* – z tupetem, z pewnością siebie.

RADCZYNI KONOPAJTYS

O, tak! Mąż choćby i gruboskórny – to przecież zawsze mąż...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Tak, to... i przez to taka jestem blichowana⁴⁸.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Ale to pomiędzy nami.

GUSTAWA STRZYGOŃ

Głównie to powietrze i te drzewa, co?

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Tylko od razu się zbuntować i nie dać się wziąć na to, co się z ziemi wykopie...
Gdyby tylko tak chcieli zaraz zaaplikować własny przemysł.

SCENA 19

Ciż sami, DR RACZKIEWICZ, RADCA ZABIELSKI,
NADRADCA MAZGAJSKI, PREZES SOŁTYS, *później* BARBARA,
RÓZIA, STEFAN, HENRYK, ZOSIA

DR RACZKIEWICZ

prowadząc tych panów

Panowie pozwolą – może sobie pograją w karty – tutaj właśnie.

*prowadzi ich do stolika karcianego, przechodząc prowadzi MAZGAJSKIEGO do
STRZYGONIÓWNEJ i mówi*

Pan Nadradca Mazgajski, a to Prezes Sołtys.

GUSTAWA STRZYGOŃ

Ja pana Prezesa mam przyjemność już znać.

DR RACZKIEWICZ

Myślałem, bo ci panowie siedzieli na dachu.

⁴⁸ blichować – wybielać płótno, papier, poddając działaniu czynników atmosferycznych bądź chemicznych; *bleichen* (niem.) – bielić, zblaknąć; tu w znaczeniu: zblednąć, zmizernieć.

RADCA ZABIELSKI *krygując się*
Ja miałem honor przedstawić się pani hrabinie... tam w stodole.

GUSTAWA STRZYGOŃ
Aha! Pan zamiatał pod parasolem...

RADCA ZABIELSKI
Właśnie, właśnie.

NADRADCA MAZGAJSKI
Panie Radco, dobrodzieju, stoliczek czeka, partyjka się jeszcze uda...

RADCA ZABIELSKI
Idę, idę.

Odchodzi tyłem, chwilę przy tym uśmiechając się do GUSTAWY STRZYGOŃ, która także uśmiecha się. Gdy mężczyźni zasiadają przy stoliku do kart, DR RACZKIEWICZ przy nich stoi i rozmawia. GUSTAWA STRZYGOŃ mówi tajemniczo do otaczających ją dam.

GUSTAWA STRZYGOŃ
Czy to wariat?

DOKTOROWA ORZECH
Nie, ale ma pofarbowaną głowę, złało go w kukurydzy – odfarbował się i teraz ciągle chodzi pod parasolem.

GUSTAWA STRZYGOŃ
No, więc ma kręćka.

LILUSIA *zachwycona*
Ma kręćka!

GUSTAWA STRZYGOŃ
Ciekawa jestem, czy on śpi także pod parasolem!

DOKTOROWA ORZECH *tajemniczo*
Nie wiedzieć!

NADRADCA MAZGAJSKI
Kto wie, może przed kolacją...

GUSTAWA STRZYGOŃ *do pań*

To wszystkie wasze mężczyzny?

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Niestety!

PANNA STASIA

Moja mama, jak tu przyjechała ze mną i ich obejrzała... to wróciła nazad do miasta. Pani musi znać moją mamę. Ona zawsze po tych dobroczynnych komitetach... Chciała mnie zabrać, ale ja zobaczyłam Asystenta – uparłam się i zostałam.

RADCZYNI KONOPAJTYS

Bo nasz Asystent za wszystkich wystarczy. Niech on panią hrabinę zbada – nie stary.

GUSTAWA STRZYGOŃ

Właściwie to i jeden, i drugi może...

DOKTOROWA ORZECZ

O nie... oni zawsze osobno... już taki tu zwyczaj.

GUSTAWA STRZYGOŃ

To też kolejno... jeden po drugim...

na scenę wchodzi HENRYK

MECENASOWA BIERSTOCKEL

O... idzie... nasz kochany Asystent...

HENRYK

idąc do gabinetu

Której z pani się należy masaż elektryczny?

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Mnie!

RADCZYNI KONOPAJTYS

Mnie!

PANNA STASIA

Mnie!

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Panie pozwolą – ja zawsze czekam, ale dziś może to ja.

*HENRYK stoi przy gabinecie elektrycznym, trzymając rękę na klamce.
DR RACZKIEWICZ zwraca się do niego.*

DR RACZKIEWICZ

Kolega zechce w następnej kolei zbadać dokładnie panią hrabinę, spiszymy z niej jutro anamnezę⁴⁹... Ja nie mam dziś czasu, bo muszę udzielić konsultacji panu Prezesowi.

wchodzi z głębi BARBARA i RÓZIA

BARBARA do RÓZI

Może pani zajmie miejsce przy swoim stoliku – to może która z tych pań wybierze sobie jakąś książkę.

LILUSIA

Niech pani hrabina weźmie do czytania *Historię występku*... Ja pani hrabinie odstąpię na kilka dni...

PANNA STASIA

Nie, nie – *Sodomę i Gomorę* – to takie masne⁵⁰, że aż moja mama nie chce tego czytać...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Ani myślę... wolę już patrzeć na te góry niż psuć sobie oczy nad tymi książkami.

RÓZIA powraca do swojego stolika – MECENASOWA BIERSTOCKEL weszła z HENRYKIEM do gabinetu elektrycznego, DR RACZKIEWICZ zwraca się uprzejmie do PREZESA SOŁTYSZA.

49 anamneza (anamnesis gr. – przypominanie) – sposób poznania danej rzeczy poprzez przypominanie sobie o niej niezależnie od doświadczenia zmysłowego określonego człowieka.

50 masne – inaczej: tłuste; w znaczeniu: tłuste historyjki, pieprzne.

DR RACZKIEWICZ

Więc proszę, panie Prezesie – będziemy zwalczać wasze reumatyzmy.

idą do gabinetu DRA RACZKIEWICZA

LILUSIA do GUSTAWY STRZYGOŃ

No, widzi pani hrabina, jeden w drugiego jakie to dziadygi.

RADCA ZABIELSKI

wdzięcząc się ze swego miejsca do GUSTAWY STRZYGOŃ

Może pani hrabina z nami wiścika...

*BARBARA wchodzi pomiędzy nich i piorunującym wejrzeniem na ZABIEL-
SKIEGO*

BARBARA

Pani hrabina nie grywa.

RADCA ZABIELSKI

Ja myślałem, że...

NADRADCA MAZGAJSKI

To poczekamy na Prezesa...

GUSTAWA STRZYGOŃ

siada na hamaku

No, już dosyć tego wylegiwania.

BARBARA

Pokój pani hrabiny zupełnie gotów, ale zdaje się, że pani hrabina ma teraz być badana.

GUSTAWA STRZYGOŃ

Ach, tak, niestety, i tak się boję.

BARBARA

Nie ma czego – nasz Asystent jest wyjątkowo delikatny...

DOKTOROWA ORZECH

Zresztą pani hrabina musiała być nieraz badana.

GUSTAWA STRZYGOŃ

Nigdy sama, ale z ciocią albo... ale prawda, z moim mężem!

RADCZYNI KONOPAJTYS

My tu będziemy zaraz obok dla dodania pani odwagi.

PANNA STASIA i LILUSIA

Tak! Tak!

BARBARA

cicho do STEFANA, który wszedł na werandę i znosi krzesła składane

Czy kuce pojechały na stację?

STEFAN

Przed chwilą.

MECENASOWA BIERSTOCKEL wychodzi z gabinetu uśmiechnięta i rozpromieniona.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Dziękuję, pan jest bajeczny!

BARBARA

woła ZOSIĘ z salki

Zosiu, proszę tutaj poskładać koce i poduszki ze Stefanem. do GUSTAWY STRZYGOŃ. Może pani teraz pozwoli.

GUSTAWA STRZYGOŃ

Idę! Powiadam paniom, tak mnie to dużo nerwów kosztuje...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Ale czego – on jest w dotknięciu po prostu aksamitny.

Wszystkie kobiety otaczają GUSTAWĘ STRZYGOŃ i prowadzą ją do gabinetu elektrycznego.

DOKTOROWA ORZECH

Tak! Tak! My tu wszystkie zostaniemy.

LILUSIA

Wszystkie jak jedna.

HENRYK staje na progu gabinetu, spogląda w stronę RÓZI, potem mówi do GUSTAWY STRZYGOŃ

HENRYK

Zdaje się, że pani kolej!

usuwa się, GUSTAWA wchodzi do gabinetu

HENRYK

mówi w stronę RÓZI

Panno Róziu – a proszę tam pamiętać o mnie.

RÓZIA z uśmiechem

Dobrze, już ja tam o panu pomyślę.

HENRYK wchodzi do gabinetu

LILUSIA *do RÓZI*

Co on będzie czytał, co on będzie czytał – proszę mnie to pierwszej dać.

RÓZIA

To nie dla ciebie, Lilusiu. To będą jakieś poezje.

PANNA STASIA

E! To nudne...

RÓZIA

Ja mówiłam...

Nagle słychać z gabinetu elektrycznego przeraźliwy krzyk GUSTAWY STRZYGOŃ. Wszyscy zdziwieni i przerażeni – mężczyźni zrywają się od kart, drzwi gabinetu DOKTORA RACZKIEWICZA otwierają się. W drzwiach staje DR RACZKIEWICZ I PREZES SOŁTYS.

BARBARA

Boże! Co się tam dzieje...

słychać głos GUSTAWY STRZYGOŃ

GUSTAWA STRZYGOŃ

Niech mnie pan puści – to ostatnie zuchwalstwo!

wpada na scenę – ma rozczochrane włosy i rozerwaną bluzkę

BARBARA

Co pani się stało?

HENRYK

który wybiegł za GUSTAWĄ

Ależ ja nie rozumiem, co pani się dzieje, ja zaledwie się do pani zbliżyłem ze słuchawką... celem zbadania...

GUSTAWA STRZYGOŃ

To się nazywa zbadanie? Pan się na mnie rzucił jak szalony...

HENRYK

Pod słowem honoru...

GUSTAWA STRZYGOŃ

Mój panie – mnie nieraz lekarze badali, ale nie w ten sposób!...

MECENASOWA BIERSTOCKEL *do innych pań*

A to ładna historia!

GUSTAWA STRZYGOŃ

Ja sobie nie pozwolę uchybiać!

DR RACZKIEWICZ

Pani hrabina się uspokoi – my tu na to nie pozwolimy. *zbliża się do HENRYKA* Pan rozumie, panie Asystencie, że po takim skandalu pan nie może ani chwili zostać w zakładzie... proszę ze mną do gabinetu – oddam panu indeks.

HENRYK *wzburzony*

Służę panu.

DOKTOROWA ORZECZ *do innych pań*

Co się to stało?

MECENASOWA BIERSTOCKEL *z przekąsem*

Ha! Widocznie pani hrabina tak podziałała na jego zmysły.

BARBARA do ZOSI

Zosiu – proszę odprowadzić panią hrabinę do pokoju – położyć do łóżka – i po-
dać jej tam kolację. Ja tam zaraz przyjdę.

ZOSIA

Dobrze!

GUSTAWA STRZYGOŃ

Strasznie jestem wzburzona... Coś takiego...

ZOSIA

Proszę się na mnie oprzeć...

PREZES SOŁTYS podchodzi do RÓZI i mówi do niej cicho

PREZES SOŁTYS

Róziu! Tylko spokojnie – to wszystko się mnie wydaje mocno podejrzone.

REWIDENTOWA JÓZEFczykiewiczowa

Biedna hrabina!

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Kto wie, może go sprowokowała. Dlaczego żadna z nas do tej chwili nie miała
powodu się skarżyć...

REWIDENTOWA JÓZEFczykiewiczowa

Dlaczego mnie nic podobnego od niego nie spotkało? Kto wie, jakie to tam
hrabskie sztuczki.

BARBARA

Ja tam nie wiem, ale to wiem, że my go tu dłużej trzymać nie możemy...

*DR RACZKIEWICZ i HENRYK wychodzą z gabinetu. HENRYK trzyma w ręku
indeks.*

DR RACZKIEWICZ

Więc kontrakt nasz zerwany?

HENRYK

Tak jest, w tej chwili udaję się na kolej.

BARBARA

Stefanie, proszę pakować kuferek pana Asystenta...

STEFAN

Nie ma tam co bardzo pakować.

wybiega

HENRYK

zbliża się do BARBARY

A jeszcze jedno. *mówi wyjmując z kieszeni podwiązkę różową* Pani Doktorowa pozwoli zwrócić sobie taki drobny przedmiot, który kiedyś znalazłem.

BARBARA chwyta podwiązkę i chowa ją

HENRYK

podchodzi do RÓZI

Róziu, ale ty mi wierzysz?

RÓZIA z spojrzeniem bezgranicznej wiary

Wierzę!

HENRYK

całując ją w rękę

Dziękuję ci! O to mi tylko chodziło...

PREZES SOŁTYS

Chwilę jeszcze – Rózieczku, oddaj klucze pani Doktorowej i chodź tutaj.

bierze ją za rękę

BARBARA

Cóż to znaczy?

RÓZIA kładzie klucze na stoliku

PREZES SOŁTYS

Rzecz prosta – żona pójdzie za mężem. *wsuwa rękę RÓZI pod ramię HENRYKA*
A że to przyszły mąż i żona, więc niech idą razem!

BARBARA wściekła

A z Panem Bogiem!

MECENASOWA BIERSTOCKEL

To jest dopiero skandal! Z nią...

DOKTOROWA ORZECH

Z personelu...

PANNA STASIA

Takie nic...

PANNA IRENA

Dobrze zrobił!

RÓZIA do PREZESA SOŁTYSA

Pan pojedzie z nami...

HENRYK

Tak, pojedziemy na dworzec... Za pół godziny odjeżdża pośpieszny.

PREZES SOŁTYS

Nie! Powiedziałem już, ja jestem zbyteczny. Odmieszkać swój tydzień – znać mój adres – zgłoście się do mnie... A macie indeks i książeczkę kasy?

RÓZIA

Najlepiej niech pan to weźmie.

PREZES SOŁTYS

No dobrze!

Dają mu książeczkę i indeks. Oboje młodzi całują go w rękę, on ich w czoło.

Za tydzień!

odchodzi do stolika z kartami

HENRYK

A teraz, państwo pozwolą, że złożymy im nasze pożegnanie...

wszyscy milczą – słysząc z daleka nadjeżdżające dzwonki

HENRYK

Jakoś bez entuzjazmu żegna nas „Gencjana”... do RÓZI Ale jakoś to przeżyjemy... prawda Rózieczko?

RÓZIA

Prawda!

HENRYK

No, to chodźmy swoją drogą.

Odchodzą trzymając się pod rękę – widać jak giną pod drzewami sadu – oblani światłem zachodzącego słońca.

DOKTOROWA ORZECZ

Oni się nawet jeszcze przechwalają...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Takie coś!... To bezcenne w dodatku...

RADCZYNI KONOPAJTYS

Ja nigdy nie miałam ani do niej, ani do niego zaufania.

BARBARA

Niech panie będą spokojne – wszystko wróci do normalnego trybu – oto przyjechał wózek, który nam z kolei przywiózł nowego asystenta z polecenia doktora Mazakiewicza. *wszystkie zainteresowane* A! Nowy asystent...

BARBARA

Widzą panie? Mała szkoda – krótki żal.

PREZES SOŁTYS podchodzi do stolika i siada na dawnym miejscu.

PREZES SOŁTYS

No! Zaczynamy naszego wista...

DR RACZKIEWICZ

Basiuńciu! Aniele... czołem przed tobą! *do pań* Idę po naszego nowego asystenta

wychodzi środkiem

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Kto też to będzie?

Wszystkie poprawiają włosy – pożyczają sobie malutkich lusterek – siadają – pozują się. LILUSIA także wpięła sobie świeżo zawiązaną kokardę we włosy.

LILUSIA do matki

Daj mi pudru!...

REWIDENTOWA JÓZEFczykiewiczowa

Czy on będzie jadł już z nami kolację?

BARBARA

Naturalnie...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Może by kazać przybrać stół gencjaną?

BARBARA

Pomyślmy o tym – już idę!...

Chwila milczenia, pojawia się DR RACZKIEWICZ i medyk PORSOWSKI. Medyk PORSOWSKI jest to bardzo brzydki mężczyzna – mający po trzydziestce – niski z twarzą płaską, mało włosów, niezgrabny – głupio uśmiechnięty – ubrany w jasne spodnie i czarnego bociana, który wisi na nim niezręcznie – ma na głowie habiga⁵¹, który zdejmując wchodzi do hali.

DR RACZKIEWICZ

Nasz nowy asystent, pan Porsowski...

Medyk PORSOWSKI kłania się na wszystkie strony uprzejmie... panie patrz na niego – potem na siebie – pierwsza daje sygnał do odwrotu MECENASOWA BIERSTOCKEL, która mówi gromadząc te panie koło siebie, podczas kiedy BARBARA wita uprzejmie PORSOWSKIEGO, którego jej prezentuje mąż.

LILUSIA

patrzy na PORSOWSKIEGO i mówi zdziwiona

A to czupiradło!

PANNA STASIA tak samo

Ja bym się temu nie dała wziąć za rękę.

⁵¹ Powinno być „Habig” – jest to nazwa fabryki kapeluszy w Wiedniu, modnych na przełomie wieków; wytwórnia ta była dostawcą cesarsko-królweskiego dworu austriackiego.

MECENASOWA BIERSTOCKEL

Wiecie co, panie – jedźmy stąd. Nie zaczynamy nowych tygodni – płaci się z góry. Możemy w innych jakich sanatoriach zacząć właściwie nowy sezon... Jest Szarotka, są Miłoce⁵² – ach tyle innych. Teraz jest właśnie dobry czas... można zacząć sezon w jakim innym sanatorium.

LILUSIA

Tak! Tak! Jedźmy stąd, ja nie chcę, ja nie potrzebuję.

RADCZYNI KONOPAJTYS

Mnie się jutro kończy tydzień... ja zaraz wymówię...

PANNA IRENA

Ja także! I tak miałam odjechać.

DOKTOROWA ORZECH

Ja się z panią zabiorę, pani Mecenasowo, ja mam do wyboru każde sanatorium jako żona lekarza...

DR RACZKIEWICZ

prowadzi PORSOWSKIEGO i pokazuje mu swój gabinet

To jest mój gabinet...

MECENASOWA BIERSTOCKEL

podchodząc do BARBARY

Pani dyrektorowo, chwileczkę! Ja już nie będę zaczynała nowego tygodnia – pojechałabym najbliższym pociągiem.

DOKTOROWA ORZECH

Ja pojadę także, mąż pisał mi, żebyśmy trochę w innym zakładzie... pani rozumie, względny koleżeńskie.

REWIDENTOWA JÓZEFczykIEWICZOWA

Ja także nie będę zaczynać tygodnia, bo właściwie już schudłam te trzy kilo, więc po co mam się męczyć.

52 Miłoce – nazwa sanatorium; nie udało się go zlokalizować.

DR RACZKIEWICZ prowadzi przez scenę PORSOWSKIEGO

DR RACZKIEWICZ

A tu jest gabinet elektryczny i pana rezydencja.

BARBARA *do JÓZEF CZYKIEWICZOWEJ wściekła*

Pani ma masę szkód do zapłacenia. Zdruzgotała pani drewnianego konia, zła-mała pani dwa rydle, motykę, siekierę, taczki, rozniosła pani dwa leżaki...

REWIDENTOWA JÓZEF CZYKIEWICZOWA

Jezus Maria! Czas najwyższy wyjeżdżać, bo powiedzą, że ja całą „Gencjanę” rozsadziłam!

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA *do IRENY*

Pani jedzie?

PANNA IRENA

Jadę – jestem zde gustowana... jakoś tu nie mam do niczego ochoty – poza tym, ja nie lubię patrzeć na brzydkie rzeczy...

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

Ja się z wami zabiorę – bo tatko gotów zacząć mnie zmuszać do małżeństwa z tym nowym asystentem... ja wtedy sobie śmierć zrobię...

podchodzi do stolika, gdzie BARBARA rozmawia z damami

Pani Doktorowa będzie łaskawa i mnie rachunek – ja pojedę z tymi paniami.

BARBARA

Państwa tydzień kończy się za trzy dni...

NADRAD CZANKA MAZGAJSKA

To nic... to tatko odmieszka... on chętnie zostanie...

idzie do ojca

PANNA STASIA

Mamcia pisała, że bym z nią pojechała do Vichy.

BARBARA

Owszem, proszę jechać... tam jeszcze będzie rachunek...

PANNA STASIA

Ale owszem! Owszem, ja zapłacę, czy mnie na to nie stać!

BARBARA

Proszę, proszę. Stefan poroznosi rachunki.

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

Proszę tatki, ja się zabiorę z tymi paniami do miasta.

NADRADCA MAZGAJSKI

Ty widzisz, że mam zacząć partię.

NADRADCZANKA MAZGAJSKA

To też tatko odmieszka – te moje trzy dni już zapłacone.

NADRADCA MAZGAJSKI

To jedź, daj mi pokój święty!

Panie kolejno powychodziły – za nimi idzie NADRADCZANKA MAZGAJSKA – ostatnia pozostaje LILUSIA. LILUSIA chce odejść.

BARBARA

Panna Lilusia gdzieś zatraciła dwa egzemplarze *Historii występku*.

LILUSIA

To mama zapłaci!

Wychodzi z dąsem. Scena pustoszeje, wchodzi DR RACZKIEWICZ i medyk PORSOWSKI, wchodzi STEFAN i stawia przed BARBARĄ słuchawkę – dwie strzykawki – termometr.

STEFAN

To pan Asystent, nasz kochany, dobry, mądry odsyła... Resztę asystenckich gratów spakowałem do kufra i oddam następcy tronu.

BARBARA

Pojechali?

STEFAN

Nie – oni nie chcieli koni – pan Henryk zabrał te kilka strzępków panny Rózieńki do swego kufereczka i oboje młodzi poszli piechotą na kolej.

BARBARA *zła*

Mała szkoda – krótki żal.

STEFAN

Jeżeli mam być szczery, to powiem, że duża szkoda – wielki żal, bo to byli jedyni najporządniejsi i najuczciwsi ludzie w zakładzie.

BARBARA

Jak Stefan śmie...

STEFAN

Ano śmiem, bo to prawda – a co prawda, to nie grzech – oni i ja trzeci! Daję słowo... Teraz... idę do wsi za furami, aby te wszystkie kufrы odwieźć na kolej. Już tam pakują – latają – gdakają, aż tu słyhać... „Jedna gęś, dwie niewieście, zrobiły jarmark w mieście”.

wychodzi

BARBARA *wzburzona do męża*

Proszę cię tu na chwilkę...

DR RACZKIEWICZ

Służę ci, żoneczko!

BARBARA

Wszystkie zażądały rachunków – jedna w drugą odjeżdżają.

DR RACZKIEWICZ

Mówiłem ci to – ten żelazny medyk, to nie dwadzieścia cztery lat, Basieczko!

BARBARA

Ha... trudno!

DR RACZKIEWICZ

Przeholowałaś! Przeholowałaś! Ale hrabina została?

BARBARA *wściekła*

Została, ale jak zobaczy rachunek, to ucieknie jak zmyta.

DR RACZKIEWICZ

A fe, Basieczku!

BARBARA

Daj mi spokój ty stary ośle.

wylatuje głębią

DR RACZKIEWICZ do PORSOWSKIEGO

Na razie, panie asystencie! Będzie pan grał może w wista z tymi panami! Gra pan w wista...

PORSOWSKI uśmiecha się potakująco

Proszę panów – oto partner...

NADRADCA MAZGAJSKI

Witaj zbawco! Będzie preferek!

Panowie witają asystenta radośnie, który siada na czwartego.

DR RACZKIEWICZ

Zbliżając się do stolika i oglądając się na drzwi.

A ja wam dziś trochę pokibicuję!

KONIEC

ZASŁONA ZAPADA

Nr. sez. 67—69.

Cena 30 halerzy.

Nr. porz. 8.150—8.152.



TEATR MIEJSKI IMIENIA JULIUSZA SŁOWACKIEGO W KRAKOWIE.

W Sobotę 27 i w Niedzielę 28 Października 1917 roku

Nowość!

Po raz pierwszy i drugi:

Nowość!

CAREWICZ

sztuka w trzech aktach Gabryeli Zapolskiej.

OSOBY:

Car	Józef Sosnowski	Sonia	Marya Majdrowiczówna
Carewicz	Aleksander Węsierski	Narzędzona carewicza	Łoskald Pano-wiczowa
Wielki książę Jerzy	Edward Życki	Prokurator Synodu	Eugeniusz Kalinowski
Prezydent ministrów	Zygmunt Noskowski	Minister spraw wewnętrznych	Kazimierz Przystański
Lejtnant	Stanisław Jarnicki	Wielki książę I	Orszakow Sosnowski
Profesor Müller	Kazimierz Draczi	Wielki książę II	Bolsław Puchalski
Wanna, kucharz	Wacław Szymkowski		
Lokaj	Maryan Tarłowski		

Wielkie księżne, ministrowie, goście, służba.

Rzecz dzieje się na carskim dworze.

Reżyser: Aleksander Zelencowicz.

Początek o godzinie 7 — koniec o godzinie 9^{1/2} wieczorem.

Z chwilą podniesienia kurtyny wstęp na widownię wzbroniony.

CENY MIEJSC Z PODATKIEM GMINNYM:

Łoża parterowa na 6 osób	K 18-70	Krzesło II-rzędne rząd 10—14	K 2-20	Galeria w pierwszym rzędzie	K 1-30
Łoża I-go piętra na 5 osób	17-60	Krzesło na parterze	1-30	w następnych rzędach na wprost	
Łoża II-go piętra na 5 osób	12-10	Krzesło na balkonie I-szego piętra		sceny grupa C i D	—60
Krzesło w łozie zbiorowej drugiego		w pierwszym rzędzie	5-50	Galeria w bocznych rzędach gru-	
piętra	3-30	w następnych rzędach	3-50	pa B i E	—50
Fotele rząd 1—5	5-50	Krzesło na balkonie II-go piętra	3-50	Galeria do sceny przylegająca gru-	
Krzesło pierwszorzędne rząd 6—9	3-50	w pierwszym rzędzie	3-50	pa d i F	—30
		w następnych czterech rzędach	2-40		

Bilety nabywać można wcześniej tylko w KASIE DZIENNEJ TEATRU MIEJSKIEGO.
do godziny 6-tej wieczorem — w niedziele i święta do godziny 1-szej po południu.

Wierzchnie okrycia, kapelusze, laski, parasole — należy zostawiać w garderobie.

Kasa w teatrze otwarta od 9 do 1 i od 3 do 8 wieczorem. — Za bilety kupione kasa pieniędzy nie zwraca.

W poniedziałek dnia 29 października: „Nigdy zapóźno” Henryka Bernsteina i Piotra Wolffa. — We wtorek dnia 30 i w środę
31 października: „Carewicz” Gabryeli Zapolskiej.

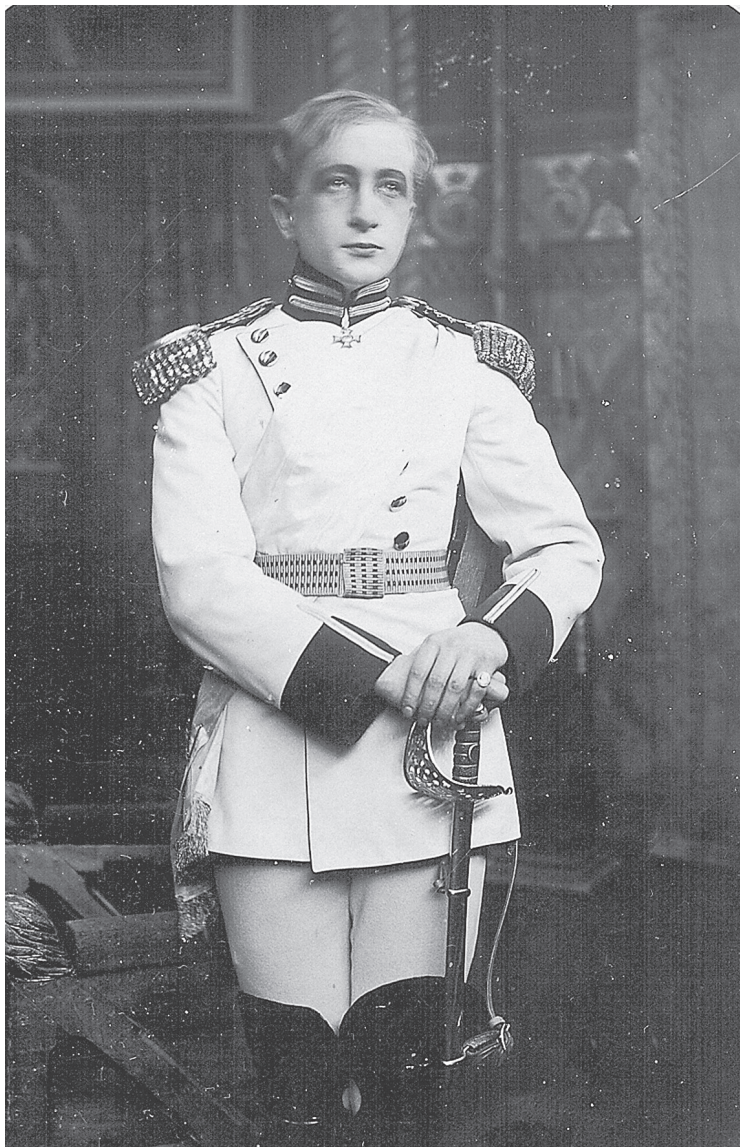
Druckarnia Związkowa w Krakowie

Nakładem Wydziału Teatru Miejskiego. — Rzednia odpowiedzialna.

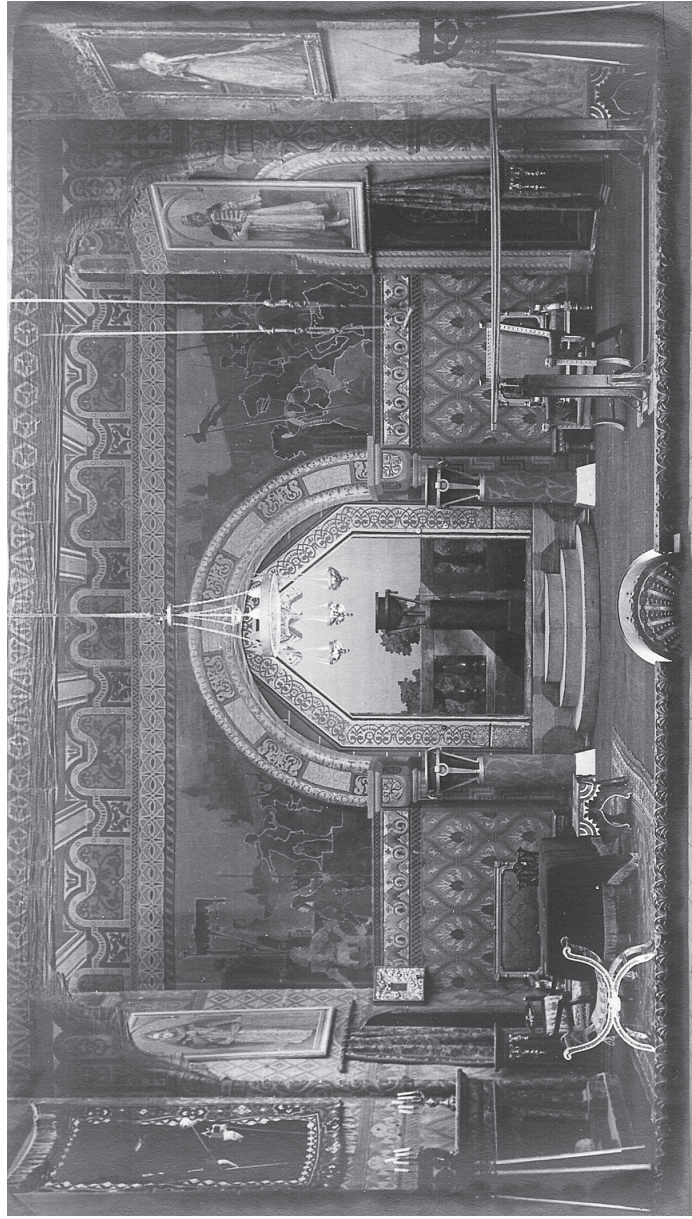
Carewicz – afisz spektaklu wystawionego
w Teatrze Miejskim im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, 1917



Maria Majdrowicz jako Sonia i Wacław Szymborski jako Wania
w sztuce Carewicz Gabrieli Zapolskiej, Kraków 1917. Fot. W. Szymborski



Aleksander Węgierko jako Carewicz w sztuce Gabrieli Zapolskiej,
Kraków 1917. Fot. W. Szymborski



Carewicz Gabrieli Zapolskiej. Fotografia dekoracji: wnętrze carskiej komnaty, stopnie prowadzące na taras, portrety na ścianach



Aleksander Węgierko (Carewicz) i Maria Majdrowicz (Sonia)
w sztuce Gabrieli Zapolskiej Carewicz, Kraków 1917



TEATR MIEJSKI IMIENIA JULIUSZA SŁOWACKIEGO W KRAKOWIE.

W sobotę 4, w niedzielę 5, w poniedziałek 6 i we wtorek 7
października 1919 roku

Nowość!

Po raz pierwszy, drugi, trzeci i czwarty:

Nowość!

ASYSTENT

sztuka w 3 aktach Gabryeli Zapolskiej.

OSOBY:

Dr. Raczkiewicz	Julian Dobrzański	Panna Irena	R. Łuszczkiewicz-Gall.
Asystent Henryk Mahoń	Janusz Nowacki	Mecenasowa Bierstockel	Helena Górka
Prezes Soltyś	Józef Sosnowski	Leusia Bierstockel	Olga Samborska
Nadradca Mazgajski	Wacław Szyborski	Panna Stasia	Halina Kacicka
Radca Zabiełski	Włodz. Miarczyński	Gustawa Strzygón	Zofia Białkowska
Porowski, medy	Bolesław Puchalski	Rewidentowa Józefczykiewiczowa	Amalia Rotter
Dr. Barbara Raczkiewiczowa	Helena Czarnecka	Róża, masażystka	Marya Hryniewiczówna
Doktorowa Orzech	Konst. Bednarzowska	Zosia, pokojowa	Helena Świąćka
Radezjni Konopajtyś	Zofia Ordyńska	Stefan, służący	Józef Orwid
Nadradczanka Mazgajska	Zofia Dobrzańska	Pokojówka	Marya Malenowska

Rzecz dzieje się w zakładzie przyrodo-leczniczym Dra Raczkiewicza „Gieniana”.

Reżyser: Józef Sosnowski.

Nowa dekoracja pędzla Zygmunta Wierciaka.

Początek o godzinie 7 — koniec o godzinie 10¹⁵, wieczorem.

Z chwilą podniesienia kurtyny wstęp na widownię bezwzględnie wzbroniony.

CENY MIEJSC Z PODATKIEM GMINNYM:

Łoża parterowa na 5 osób	K 60—	Krzesło II-rzędne rząd 10—14	K 8—	Galerya w pierwszym rzędzie	K 6—
Łoża I-go piętra	50—	Krzesło na parterze	6—	w następnych rzędach na	4—
Łoża II-go piętra	36—	Krzesło na balkoncie I. piętra	20—	wprost sceny grupa C i D	2—
Krzesło w łóż zbiorowej II-go	7—	w pierwszym rzędzie	15—	Galerya w bocznych rzędach	2—
piętra	20—	Krzesło na balkoncie II. piętra	15—	Galerya do sceny przylegająca	1—
Łoża I-go piętra	20—	w pierwszym rzędzie	15—	grupa A i F	1—
Krzesło I-rzędne rząd 6—9	15—	w następnych rzędach	8—		

Kasa w teatrze otwarta od 9 do 1 i od 4 do 8 wieczorem. — Za bilety kupione kasa pieniędzy nie zwraca.

BILETY nabywać można wcześniej tylko w KASIE DZIENNEJ TEATRU MIEJSKIEGO

CENY MIEJSC Z PODATKIEM GMINNYM:

Łoża parterowa na 5 osób	K 60—	Krzesło II-rzędne rząd 10—14	K 8—	Galerya w pierwszym rzędzie	K 6—
Łoża I-go piętra	50—	Krzesło na parterze	6—	w następnych rzędach na	4—
Łoża II-go piętra	36—	Krzesło na balkoncie I. piętra	20—	wprost sceny grupa C i D	2—
Krzesło w łóż zbiorowej II-go	7—	w pierwszym rzędzie	15—	Galerya w bocznych rzędach	2—
piętra	20—	Krzesło na balkoncie II. piętra	15—	Galerya do sceny przylegająca	1—
Łoża I-go piętra	20—	w pierwszym rzędzie	15—	grupa A i F	1—
Krzesło I-rzędne rząd 6—9	15—	w następnych rzędach	8—		

**Asystent - afisz spektaklu wystawionego w Teatrze Miejskim
im. Juliusza Słowackiego w Krakowie**



Portret Gabrieli Zapolskiej,
obraz namalowany przez Stanisława Janowskiego, ok. 1910, olej na płótnie



Portret Gabrieli Zapolskiej,
obraz namalowany przez Stanisława Janowskiego, ok. 1904, olej na tekturze



Gabriela Zapolska w roli Colette w sztuce G. Lenôtre –
zatytułowanej *Colinette*. Premiera: Lwów 1900



Gabriela Zapolska - fotografia prywatna
(wykonał Bolesław Stetkiewicz), Lwów, ok. 1909

Nota wydawcy

Carewicz – komentarz

13 kwietnia 1917 roku Zapolska deklarowała w liście do Stanisława Janowskiego, że „półtora aktu napisane”. Wskazała też w owej epistole dość przewrotną genezę narodzin pomysłu: „dostałam o sobie artykuł niemiecki, w którym piszą, iż jestem geniuszem wszechświatowym. I to mnie tak podniecało, że zebrałam ostatek sił i prawie po omacku (bo profesor Malek pisać mi zakazał) piszę sztukę [...]. Tytuł *Czterdziesty pierwszy Czerkies*. Może to być coś dobrego – ja nie wiem”. A nawet obsadziła aktorów w przyszłych realizacjach teatralnych: „Główną rolę dam Węgrzynowi, w Berlinie Szalittowi – w Wiedniu Jarni”. I udręczona, ale pełna nadziei wyznaje: „Byle skończyć! Cóż – ołówek z rąk leci i potem nie ma nikogo, nikogo, kto by mnie podtrzymał moralnie”¹. Tak powstawał *Carewicz*.

Chora i cierpiąca informuje 16 maja Janowskiego: „Sztukę, która się będzie nazywać *Carewicz*, wysiłkiem prawie nadludzkim skończyłam, ale uradziłam z Hellerem, że zatrzymamy ją na jesień, ażeby jednego dnia grana była we Lwowie, Krakowie, Warszawie, a względnie w Berlinie i w Wiedniu. Nie wiem, jaka ona jest – wiem, że jest inna jak wszystkie sztuki nie tylko moje, ale i inne, a ci, którzy ją czytali, zaczawszy od Hellera, nie mają słów zachwyty”². Podobne zawiadomienie i opinię przekazuje pisarka dyrektorowi Teatru Miejskiego w Krakowie – Adamowi Grzymale-Siedleckiemu³.

1 Wszystkie trzy cytaty pochodzą z listu do S. Janowskiego zamieszczonego w: G. ZAPOLSKA: *Listy*. Zebrała S. LINOWSKA T. 2. Warszawa 1970, s. 624.

2 Ibidem, s. 626.

3 Ibidem, s. 628–629.

Autooceny Zapolskiej należy traktować, rzecz jasna, *cum grano salis*. Dwa wszakże istotne fakty z nich wynikają: 1) sukcesy na deskach teatrów w Wiedniu i Berlinie skłaniały do dalszych prób dramatycznych, dawały nadzieję, a autorka *Żabusi* do życia i tworzenia potrzebowała podniet; 2) przytłoczona chorobą, na przekór cierpieniom i słabościom – pisanie traktowała jako rodzaj terapii, by ośwoić (zrozumieć, zwalczyć) kruchość życia i osamotnienie, wynikające ze spotkania z czającą się śmiercią.

W latach wojny sceny teatrów Wiednia i Berlina chętnie prezentowały dramaty Zapolskiej i sukcesy nie były zapewne tylko projekcją spragnionej splendorów pisarki. W Wiedniu grywano *Małkę Schwarzenkopf*, *Moralność pani Dulskiej*, dramat *Tamten*, *Żabusię*. Roman Taborski skomentował: „Ze względu na „egzotyczną» tematykę duże zainteresowanie wśród austriackiej publiczności wywołała *Małka Schwarzenkopf*”, i dalej z uznaniem konstatował:

Wielkim powodzeniem wśród publiczności zarówno polskiej, jak i austriackiej cieszył się ze względu na aktualność tematyki w okresie trwającej wojny *Tamten* Zapolskiej. W pismach wiedeńskich ukazały się bardzo przychylne recenzje z tego przedstawienia. W witrynie jednego ze sklepów przy Kärtnerstrasse zostały wystawione „szkice akwarelowe pędzla artysty malarza Stanisława Dąbrowskiego przedstawiające charakterystyczne sceny i postacie świetnej sztuki *Tamtén* Gabrieli Zapolskiej [...]. Charakterystyczne te sceny, z wielkim talentem przez malarza utrwalone, budzą wielkie zainteresowanie przechodzącej publiczności, zwłaszcza mundury rosyjskie, od dane wiernie przez artystę, są przedmiotem podziwu publiczności niemieckiej”⁴.

W listach Zapolskiej motyw sukcesów berlińskich i wiedeńskich przewija się nieustannie. Upomina pisarka dyrektora teatru krakowskiego, Grzymałę-Siedleckiego: „Przypomnijcie sobie o mnie i nie dajcie się złudzić moim triumfom zagranicznym. Tak, są one wielkie”⁵. Dwukrotnie oświadcza Janow-

4 R. TABORSKI: *Wśród wiedeńskich poloników*. Kraków 1974, s. 114. Cyt. za: „Wiedeński Kurier Polski” nr 95 z 22 II 1915 w rubryce „Kronika”. Taborski odnotowuje też, iż o przedstawieniu *Tamtego* pisał m.in. E. GOLDSCHIEDER w „Fremden-Blatt” nr 44 z 13 II 1915 (zob. ibidem, s. 125).

5 G. ZAPOLSKA: *Listy...*, s. 616.

skiemu, by przypadkiem fakt nie umknął uwadze, że: „W Wiedniu grali 100 razy *Tamtego*”⁶.

Carewicz miał pójść przetartym już szlakiem wcześniejszych sukcesów. Znakomicie wyczuwająca nastroje i oczekiwania publiczności pisarka sięgnęła po wypróbowane tematy. Stąd też wybór: nieco sentymentalizmu, cokolwiek sensacji i sporo politycznych aktualności/aluzji. Romans Matyldy Krześcińskiej z carewiczem, później carem Mikołajem II, był niewątpliwie atrakcyjny. W roku 1917 losy rodziny carskiej stawały się coraz bardziej dramatyczne. Historia romantycznego epizodu sprzed lat, miłosnego uniesienia młodziutkiego carewicza (rzecz się działa w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku), zauroczonego, być może zakochanego w tancerce teatru petersburskiego Matyldzie Krześcińskiej – mogła uwieść teatralnych widzów⁷. Sentymentalne story i aktualny tragizm rodziny carskiej, zdruzgotanej przez rewolucję. Czachowska zawiera tu przedpremierowej relacji w warszawskim „Przeglądzie Porannym”, podkreślając, że „Dla współczesnych, zwłaszcza w Królestwie, aluzje były całkowicie przejrzyste”⁸. W tymże „Przeglądzie Porannym” przeczytamy:

Rzecz osnuta [jest] na tle ostatnich lat panowania cara Aleksandra III, kiedy syn jego, późniejszy Mikołaj II, był jeszcze następcą tronu, a w życiu jego ważną rolę odegrała primabalerina teatru Maryjskiego w Petersburgu, głośna swego czasu Maria [Matylda!] Krześcińska⁹.

Nie znajdziemy w zachowanych listach Zapolskiej z tamtych lat jakiegokolwiek śladu aluzji do romansu carewicza z tancerką. Co więcej, spisane przez Krześcińską w latach pięćdziesiątych wspomnienia eksponują romans w tytule,

6 Ibidem, s. 617 i 619.

7 A. KALLAS stwierdza, że tancerka była kochanką carewicza (zob. EADEM: *Zapolska. Powieść biograficzna*. Warszawa [1931], s. 183). M. Krześcińska we wspomnieniach opublikowanych w 1960 roku pisze o uczuciach i zauroczeniu. Sławna tancerka wspomina pierwsze spotkanie (23 marca 1890 roku) z carewiczem tak: „Kiedy zęgnąłam się z następcą tronu, który przez całą kolację siedział obok mnie, patrzyliśmy na siebie zupełnie inaczej niż na początku, w naszych sercach już zagościło prawdziwe uczucie, chociaż żadne z nas nie zdawało sobie z tego sprawy”. (M. KRZEŚCIŃSKA: *Wspomnienia. Romans z carem Mikołajem i lata następne...* Tłum. D. KUŁAKOWSKA. Warszawa 1996, s. 28).

8 J. CZACHOWSKA: *Gabriela Zapolska. Monografia bio-bibliograficzna*. Kraków 1966, s. 487.

9 *Teatr i sztuka. Repertuar teatrów*. „Przegląd Poranny” 1918, nr 98, nr 3. Cyt. za: J. CZACHOWSKA: *Gabriela Zapolska...*, s. 487.

samo zdarzenie ma skromny wymiar, jakby amory bardziej istniały w sferze plotki, narracji potrzebującej splendoru i rozgłosu artystki niż w rzeczywistości. Wszakże zasadnicze fakty historyczne się zgadzają: car Aleksander II zmarł 20 października 1894 roku, kilka dni przed śmiercią sprowadzono na Krym księżniczkę Alicję, a w tydzień po śmierci cara młody carewicz ożenił się z księżniczką już wówczas – Wielką Księżną Aleksandrą Fiodorowną. Pamięć o tych zdarzeniach mogła być pośród widzów teatru jeszcze żywa, a dzieje upadku rodziny cara Mikołaja II szeroko komentowane. Kryzys państwa narastał: od roku 1916 rezygnowali ze stanowisk kolejni ministrowie; w ostatnich dniach tegoż roku urząd premiera objął książę Mikołaj Golicyn; rozszerzały się strajki, narastało wrzenie rewolucyjne; 23 lutego 1917 roku, gdy Zapolska zapewne podejmowała (bądź miała w zamiarze) pracę nad *Carewiczem*, na ulicach Petersburga strajkowało 90 000 robotników, dzień później w demonstracjach brało udział już 200 000 osób¹⁰. W kręgach dworskich rodziły się plany przewrotu pałacowego, poszukiwano następcy tronu po przewidywanej abdykacji cara Mikołaja II. Wrzało. Nietrudno zgadnąć, że problemy wynikające z tego wrzenia najpewniej miały znaczenie zarówno jako inspiracja dla Zapolskiej, jak i dla recepcji dramatu.

Nie wspomniała Zapolska w listach o wydarzeniach politycznych, które niewątpliwie były zachętą do odrodzenia się Józefa Maskoffa: wojna światowa, rewolucja lutowa, pozbawienie w marcu władzy cara Mikołaja II i utworzenie Rządu Tymczasowego. Czas był gorący. Zresztą na deskach teatru w Berlinie sukcesy święcił *Tamten*, w pamięci pisarki tkwił niewątpliwie dawniejszy, z roku 1902 dramat o Mikołaju II zatytułowany – *Car jedzie*. A po kilku latach (1921) planować będzie dalszy ciąg *Carewicza* – utwór symptomatycznie interpretujący ów wcześniejszy już samym tytułem: *Carska dola*. Tworzył się w ten sposób charakterystyczny dla Zapolskiej cykl: tematy polityczne w dramatach Józefa Maskoffa wywołały zainteresowanie problemami władzy, czyli okoliczności podejmowania decyzji, osamotnienia na tronie, przytłoczenia odpowiedzialnością, teatralizacją panowania, presją życia publicznego, panoszeniem się spisków domniemanych i rzeczywistych. *Car jedzie* z roku 1902 przypomina wizytę Mikołaja II, która odbyła się 31 sierpnia 1897 roku w Warszawie; nieobecny na scenie car animuje postawy, zachowania i zamierzenia warsza-

10 Zob. L. BAZYŁOW: *Historia Rosji*. Wrocław 1975, s. 494–498.

wiaków – od ugodowości do anarchizmu. Z reporterską szczegółowością, co jest siłą tej jednoaktówki, i romantyczną konfrontacją idei, co uznać należy za jej słabość – Zapolska przedstawia atmosferę tamtego dnia. Subordynację służb carskich, zamaszyste gesty sprzeciwu patriotów, irracjonalny i śmiercią naznaczony anarchistyczno-terrorystyczny plan i dość powszechne, spolegliwe, ugodowe poddanie się zarządzeniom władz, nakazującym okazywanie na różne sposoby radości z obecności Mikołaja II w Warszawie. A obecność cara była osobiwa; w atmosferze nieufności do Polaków i powszechnego na dworach monarchów europejskich lęku przed zamachem (Aleksander II zginął w zamachu 13 marca 1881; przypomnę: zamachowcem miał być Polak – Ignacy Hryniewiecki) – car Mikołaj II przegalopował ulicami. Pozostała tylko smuga po próbach ugodowego¹¹ „handlowania”, niesmak po iluminacjach, okrzykach, bramach triumfalnych i rozlicznych wyrazach poddaństwa, które nie przyniosły żadnego zysku w postaci odrobiny choćby autonomii i udzielenia Polakom jakichś koncesji. Stracone złudzenia, gorycz upokorzenia. Ta zadra hołubienia cara, komedii politycznych rozhovorów przy okazji wizyty monarchy skłoniła Zapolską do napisania prześmiewczego i ostrego w tonacji felietonu, zatytułowanego właśnie *Car jedzie*, o ugoszczeniu przez Francuzów Mikołaja II w Paryżu (1901 roku): w odmiennym anturażu, ale z podobnymi rekwizytami i równie intensywnym honorowaniem monarchy¹².

Przywiązana do postaci, skora do utrzymania zainteresowania losami Mikołaja II, bez wątpienia świadoma symbolicznego znaczenia zabójstwa rodziny carskiej w Jekaterynburgu (17 lipca 1918 roku) – zamierza Zapolska napisać dramat, kontynuujący historię *Carewicza*, zatytułowany: *Carska dola*. W wywiadzie dla „Przeglądu Wieczornego” tak streściła fabułę planowanej sztuki:

Pierwszy akt – śmierć Soni. Czasu nie oznaczam. Egzekucja za sceną.
Na scenie dzieci patrzące za kulisy na egzekucję. Drugi akt – rozpacz

11 Por. interpretacje Z. Raszewskiego, który wskazuje, że dramat *Car jedzie* był reakcją i odpowiedzią na powieść Wacława Gąsiorowskiego pt. *Ugodowcy*. Raszewski też precyzyjnie i pedantycznie opisuje okoliczności owego wydarzenia, które było podstawą jednoaktówki. Zapolska przebywała wówczas w Warszawie i z okna swego mieszkania na rogu Nowego Świata i Al. Jerozolimskich śledziła bezpośrednio przebieg wydarzeń.

12 Zob. G. ZAPOLSKA: *Car jedzie!* W: EADEM: *Publicystyka*. Część 2. Oprac. J. CZACHOWSKA. Wrocław 1962, s. 142–147.

pazia zakochanego w Soni. Trzeci – na stacji – abdykacja Mikołaja, a czwarty – Tatiana pod krzyżem, a car z rodziną idzie na północ polską drogą!!!¹³

Carskiej doli Zapolska już nie zdążyła napisać, ale widać bardzo wyraźnie, że kusił ją problem władzy, która przy wnikliwszym poznaniu ujawnia swe komplikacje; pociągał też złowrogi urok petersburskiego dworu, konfrontacja z romantyzmu się wywodzącego polskiego patriotyzmu z absolutyzmem Romanowów.

Wszakże teatralne chwytty obliczone na sceniczne sukcesy, aluzje polityczne i melodramatyczne motywy stanowią w znacznej mierze tło dla zasadniczego doświadczenia zaprezentowanego w *Carewicz*: intymnego związku Soni z Carewiczem, czyli Aloszą, tak się bowiem do dziewiętnastoletniego Carewicza zwraca szesnastoletnia tancerka, łamiąc obyczaje, etykietę i konwenanse. Wbrew zimnemu wychowaniu, na przekór powszechnym intrygom, w kontrze do dominującego cynizmu władzy (złowroga postać Prezydenta ministrów) – między młodymi nawiązuje się nić sympatii, przyjaźni, być może namiętności. Spotkanie z Innym to fundamentalne doświadczenie mizoginisty, który jest pretendentem do tronu. Sonia staje się dla niego „kobietą, kochanką, człowiekiem, ale jest także dla niego – matką!”¹⁴. „O ile prawdziwa matka przekazała mu w dziedzictwie swoją »trwogę«, o tyle Sonia odzyskuje dla Carewicza matkę jako pierwszy obiekt miłości dziecka, jako wzorzec relacji emocjonalnych, jako nigdzie nie doznany, ale wymarzony raj bezpiecznego dzieciństwa”¹⁵. Zniesieniu ulega różnica płci, zacierają się odrębności społeczne, osłabieniu ulegają rozbieżności wynikające z odmiennych wzorców wychowawczych. Czeremcha – symbol natury i prostoty – wnosi nowy, odświeżający zapach do pałacu, po

13 S. KOELTZ: Wizyty „Przeglądu Wieczornego” u pisarzy polskich. Jak żyje teraz Gabriela Zapolska. „Przegląd Wieczorny” 1921, nr 146, s. 3. Cyt. za: J. CZACHOWSKA: Gabriela Zapolska..., s. 494. Warto odnotować, że znacznie dokładniejsze streszczenie *Carskiej doli* dała A. KALLAS w: Trzy nie napisane sztuki G. Zapolskiej. („Car”, „Likwidacja”, „Jasełka lwowskie”). „Wiek Nowy” 1924, nr 7052, s. 12. Zob. także A. KALLAS: Zapolska..., s. 203–205.

14 K. KŁOSIŃSKA: Miłość i władza. (Nad zapomnianym dramatem Zapolskiej, który stał się kanwą libretta operetki Lehara). W: EADEM: Miniatury. Czytanie i pisanie „kobiece”. Katowice 2006, s. 96.

15 Ibidem.

którym błąka się truchło umierającego i ubezwłasnowolnionego cara, rządowi intrzyganci i paraliżująca wszelką spontaniczność etykieta. Blokady i stłumienia, które wynikały z pozostawiania w przestrzeni władzy, ulegają odparciu czy wyciszeniu dzięki Soni, symbolicznie przywracającej Carewiczowi zdolność artykułowania pragnień, marzeń, oczekiwań.

A początki były przecież osobiście nikczemne. Sonia dwukrotnie sprzedana – trupie teatralnej i Carewiczowi – miała wypełnić rolę nauczycielki sztuki erotycznej, by następca tronu, już jako już doświadczony w tej dyscyplinie (i nieobawiający się kobiet), mógł poślubić, będącą efektem transakcji i potrzeb dynastii – księżniczkę. Zapolska niejednokrotnie podejmowała wątek pierwszych doświadczeń seksualnych, często traumatycznych, oczekiwanych z lękiem, pozostawiających częstokroć urazy na całe życie. Ten właśnie syndrom trudnej inicjacji znamy z powieści *O czym się nawet myśleć nie chce*. Zamierzła pisarka poświęcić owemu syndromowi dramat zatytułowany *Bobosko*; w wywiadzie z roku 1912 informowała:

[...] nie wiesz, co to znaczy „boboško”? Dla niewinnych dziewczątek takim boboskiem, którego się lękają, jest mężczyzna, ten mianowicie, który czyni je kobietą. Więc w moim utworze przedstawię Wam kilka takich niewiniątek, które ciekawe są, jak też wygląda bobosko i co się wówczas dzieje¹⁶.

Role się odwracają: „Dla Carewicza uwięzionego w złotej klatce Sonia, biedna dziewczyna z ludu, staje się obietnicą wolności”¹⁷; on – pełen niepewności i lęków, skryty za pustymi gestami władzy – gubi się i wycofuje; ona – otwarta i życzliwa, ponad wiek doświadczona, staje się aktywnym przewodnikiem, na swój sposób pełni rolę „boboška” (taką rolę literalnie przypisał jej nieco mefistofeliczny Prezydent ministrów). Dramat rozpoczyna prowokacja obyczajowa (stręczenie szesnastoletniej dziewczyny), kończy dwojakie rozpoznanie rzeczywistości: optymistyczne, sentymentalne i romantyczne – w pożegnalnym liście Sonia przekazuje Aloszy przesłanie: „kochaj mnie w duszy i tchu”;

16 [A. KALLAS] K.: *U Gabrieli Zapolskiej*. „Nowy Wiek” 1912, nr 3322, s. 3–4. Cyt. za: J. CZACHOWSKA: *Gabriela Zapolska...*, s. 459. Jednakże sztuki tej Zapolska nigdy nie napisała.

17 K. KŁOSIŃSKA: *Miłość i władza...*, s. 97.

i pesymistyczne – Carewicz poddaje się opresji władzy, staje się kukielką, za sznurki pociąga Prezydent ministrów, i potwierdza się obserwacja Kamerdynera Wani, że w pałacu wszyscy się bardzo szybko starzeją.

A dramat święcił triumfy, może nie tyle się zestarzał, ile, dziwnym trafem – nigdy nieopublikowany – został skutecznie zapomniany.

Uwagi o tekście

Dysponujemy dwoma egzemplarzami skryptów teatralnych:

1. Rękopis, o sygnaturze BTLw 4150, znajduje się w zbiorach specjalnych Biblioteki Śląskiej w Katowicach. Pochodzi on z Biblioteki Teatru Lwowskiego; zbiór lwowskich egzemplarzy szczęśliwie przetrwał tragedie i horrory II wojny światowej. Został 26 sierpnia 1945 roku przewieziony do Katowic i zdeponowany w Bibliotece Teatru Śląskiego, a od roku 1978 przechowywany jest w Bibliotece Śląskiej. On też jest podstawą wydania krytycznego zaprezentowanego tu tekstu Carewicza.
2. Egzemplarz teatralny (sygn. 4176) przechowywany w Bibliotece Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie.

Skrypt „lwowski” oprawiony jest w twardą okładkę o wymiarach 23 cm szerokości i 28 cm długości. Wyraźna numeracja stronic zaczyna się od numeru 49. Wcześniejsze karty nie są ponumerowane, chociaż na niektórych można zauważyć ślady paginacji, wykonane niebieską kredką. Numeracja ta kończy się na stronicy 52. Kolejne 30 stronic pozbawiono paginacji, a następne liczono od strony 39, co wskazuje na niekonsekwencję w stosowaniu numeracji. Od 39 do 66 stronicy liczby zapisywane są niebieską kredką, natomiast od stronicy 67 – ołówkiem. Dotychczas była to numeracja obustronna, natomiast od stronicy 119 zaczyna się paginacja jednostronna, parzysta. Również od tejże stronicy karty są mniejsze (aż do stronicy 124). Od stronicy 392 numery zapisywane są zieloną kredką, a od 474 do końca, czyli do stronicy 508 – znów ołówkiem. Łącznie rękopis liczy 633 stronic.

Karty rękopisu są gładkie, koloru beżowego. Tekst wykaligrafowano piśmem spacjowanym, litery duże. Od stronicy 339 pismo nieco się zmienia, jest mniejsze i zwęższe, ale już od 392 stronicy powracają duże litery. Od 467

stronicy do końca pismo znów jest mniejsze. Tekst pisany jest czarnym tuszem, czasami jakieś wyrazy dopisywane są czerwoną kredką, ołówkiem bądź innym odcieniem pióra.

W rękopisie występuje dużo skreśleń poszczególnych wyrazów, ale też większych partii tekstu. Przeważnie skreślenia te dokonane są kredkami koloru czerwonego, zielonego, niebieskiego, fioletowego, piórem lub ołówkiem. Zdarza się, że wykreślony tekst obejmuje nawet parę stron. W takich przypadkach dokonywane jest to za pomocą biegnących na ukos lub poziomych skreśleń. Sądzić należy, że retusze i skreślenia pochodzą od inscenizatorów spektaklu i Zapolska tu nie ingerowała, zatem nie będą respektowane w niniejszym wydaniu.

Ogólny stan rękopisu jest dobry. Nie ma poważnych uszkodzeń, które mogłyby powodować trudności w odczytaniu tekstu. Przeważnie brzegi stron są lekko wytarte, sporadycznie zdarzają się przypadki, kiedy strona jest nieco rozerwana.

Osoby, sceny i akty podkreślone są pojedynczą linią, czarnym piórem. Didaskalia z początku wyróżnione są niebieskimi liniami, później czarnym piórem. Od II aktu didaskalia podkreślone są czerwoną kredką, a osoby – kredką niebieską. Na stronie pierwszej osobom dramatu przypisane nazwiska aktorów biorących udział w spektaklu, a na ostatniej daty spektaklu i nazwisko suflera (nieczytelne).

Skrypt krakowski z kolei zachował się w miękkiej oprawie, o wymiarach 21cm x 17 cm; papier gładki, pismo czytelne, mniej licznie niż w rękopisie lwowskim skreślenia (zwykle ołówkiem). Skrypt nie ma paginacji. Na stronie tytułowej postaciom dramatu przypisane są nazwiska aktorów biorących udział w przedstawieniu. Na stronie przytytułowej odręcznie narysowany schemat zagospodarowania sceny.

Poprawki tekstu

Różnice między dwoma dostępnymi skryptami teatralnymi są drobne i zostały odnotowane poniżej. Skreślenia niebieską bądź czerwoną kredką najpewniej pochodzą od inscenizatora spektaklu – nie zostały zatem tu uwzględnione. Odnotować trzeba nieregularność postaci wołacza w dramacie *Carewicz*:

Sonia Iwanowa, Soniu Iwanowo, Soniu Iwanowna. Zachowujemy tę niekonsekwencję jako znamię języka Kamerdynera Wani.

Na karcie wstępnej rękopisu pochodzącego z teatru lwowskiego widnieją pierwotny tytuł zapisany inną ręką: *Czterdziesty czwarty Czerkies*.

CL – tak oznaczony został przekaz teatralny pochodzący z Biblioteki Teatru we Lwowie.

CK – tak oznaczony został przekaz teatralny pochodzący z Biblioteki Teatru im. Słowackiego w Krakowie.

Wersja podana w pierwszej kolejności została przyjęta w tym wydaniu.

- s. 13 CK – meble / CL – brak
- s. 14 CL – chausse / CK – brak
- s. 17 CL – Po lezgince / CK – Po przedstawieniu
- s. 17 CL – charakterze / CK – rodzaju
- s. 19 CL – aktorzy / CK – chłopcy
- s. 21 CL – cudzoziemskim profesorem dworskim lekarzem / CK – cudzoziemskim profesorem. Kontekst uzasadnia jednak formułę: „cudzoziemskim lekarzem”, którą przyjęliśmy w tekście.
- s. 21 CL – drodze / CK – linii
- s. 30 CL – razowego chleba / CK – czarnego chleba
- s. 31 CL – lezginkę / CK – brak
- s. 31 CL – oczami błękitnymi, wiośnianymi / CK – błękitnymi, wiośnianymi oczami
- s. 35 CL – Chcę tak, ale naprawdę jak chcę – nie jak muszę chcieć... / CK – brak
- s. 36 CL – drzwi / CK – drzwi do przedsionka
- s. 26 CL – zdrów rozum / zdrowy rozum
- s. 49 CL – oznaki / CK – znaki
- s. 50 CK – szarfa / CL – tenia
- s. 59 CK – prostuje / CL – próbuje
- s. 69 CL – zarobotki / CK – zarobki
- s. 71 CK – grób / CL – grunt
- s. 74 CL – nań / CK – na niego
- s. 104 CL – Szukam Waszej Światłości / CK – Szukam za Waszą Światłością

Premiery teatralne

1. Jadwiga Czachowska odnotowała 21 wystawień scenicznych¹⁸. Od Lwowa po Nowy Sącz. Premiera odbyła się 26 października 1917 roku. w Teatrze Miejskim we Lwowie. Reżyserował spektakl R. Żelazowski. W sezonie 1917/1918 – 17 spektakli, w roku następnym – 2. Zagrali w przedstawieniu: w roli Cara – R. Żelazowski, Carewicz – S. Michułowicz, Wielkiego Księcia Jerzego – M. Szobert, Prezydenta ministrów – H. Barwiński, Prokuratora Synodu – W. Helleński, Leibmedyka – T. Leszczyc, Profesora Müllera – J. Mayen, Kamerdynera Wani – J. Chmieliński, Soni – A. Zielińska.
2. W Teatrze Miejskim im. J. Słowackiego w Krakowie premiera miała miejsce w dzień po lwowskiej – 27 października 1917 roku. Reżyserował A. Zelwero-wicz, a przedstawień było 26. W roli Cara wystąpił J. Sosnowski, Carewicz zagrał A. Węgierko, Wielkiego Księcia Jerzego – E. Żytecki, Prezydenta ministrów – Z. Noskowski, Prokuratora Synodu – E. Kalinowski, Leibmedyka – S. Jarnicki, profesora Müllera – K. Brandt, Kamerdynera Wanię – W. Szyborski, Sonię – M. Majdrowiczówna, Narzeczoną Carewicza – L. Pancewiczowa.
3. W warszawskim Teatrze Rozmaitości zaprezentowano *Carewicza* po raz pierwszy 11 kwietnia 1918 roku. Reżyserował J. Śliwiński, a wystawiono dramat 36 razy w sezonie 1917/1918 i 5 razy w roku 1918/1919. Zagrali w spektaklu: Car – J. Kotarbiński, Carewicz – J. Węgrzyn, Wielki Książę Jerzy – S. Knake-Zawadzki, Prezes ministrów – K. Junosza-Stępowski, Leibmedyk – W. Skarżyński, Profesor Müller – J. Mikulski, Kamerdynier Wania – A. Różański, Sonia – J. Szyllinżanka, Narzeczoną Carewicza – K. Lorentzówna.
4. W latach 1918–1936 wystawiono *Carewicza* jeszcze 18 razy w kilkunastu teatrach w całej Polsce: wielokrotnie w Warszawie, we Lwowie i w Krakowie, Poznaniu, Wilnie, Bydgoszczy, Toruniu, Łucku, Stanisławowie i Nowym Sączu. Można zatem stwierdzić bez zbędnej przesady, że *Carewicz* Zapolskiej był w repertuarze teatrów dwudziestolecia stałą pozycją.
5. Dramat był też prezentowany na deskach scen zagranicznych: w wiedeń-

18 Informacje zaprezentowane w tej części podaję za J. CZACHOWSKĄ, która bardzo skrupulatnie i wszechstronnie przedstawiła fakty w monografii bio-bibliograficznej. Zob. EADEM: *Gabriela Zapolska...*, s. 486–493.

skim Deutsches Volkstheater (premiera – 15 września 1917 roku). Grano *Carewicza* ponad 30 razy i cieszył się on dużym powodzeniem. Przekładu na język niemiecki (i adaptacji, zmiany były duże) dokonał Bernard Szarlitt. Zapolska oceniła tę przeróbkę bardzo krytycznie. Wystawiono utwór także w Berlinie w Residenztheater (premiera: 2 lutego 1918 roku). W przekładzie angielskim (tłum. Eugene Thomas Wyckloff) wystawiono dramat pt. *Sonja* w Nowym Yorku (Forty Eight Street Theatre; premiera 29 sierpnia 1921). Na język czeski przetłumaczył *Carewicza* Jakub Rydvan [Wacław Sommer], a wystawiono sztukę w czterech różnych teatrach czeskich w latach 1919–1931. Dramat Zapolskiej zaprezentowano w Sztokholmie w Svenska Teatr (premiera: 10 września 1920), w Budapeszcie z kolei w teatrze Magyar Színház (premiera: 21 października 1921; tłum.: László Vajda).

6. Osobnym przypadkiem recepcji *Carewicza* jest zaadaptowanie utworu do skomponowania libretta operetki Ferencza Lehára – *Der Zarewitsch*. Libretto stworzył B. Szarlitt we współpracy z Belą Jenbachem i Heinzem Reichertem. Operetkę grano w Wiedniu (1927?), Berlinie (17 lutego 1927), a po przystosowaniu dla scen polskich i uzupełnieniu przez Edwarda A. Domańskiego – na scenach Lwowa (26 III 1929), Warszawy (12 VIII 1931) i Poznania (20 I 1933). Operetka Lehára jest stałą pozycją w repertuarze teatrów muzycznych całego świata.
7. Na podstawie *Carewicza* powstał też film. Ekranizacja miała miejsce w 1918 roku. Reżyserował W. Bauer.

Opracowanie tekstu dramatu *Carewicz* oraz noty wydawniczej
Jan Jakóbczyk

Asystent – komentarz

Dramat *Asystent* powstawał w latach 1917–1919. Według Jadwigi Czachowskiej, plan sztuki powstał już znacznie wcześniej, bo w 1915 roku, o czym świadczą słowa Anieli Kallas: „Kiedy za powrotem do Lwowa w grudniu 1915 roku odwiedziłam Zapolską, znakomita nasza autorka opowiedziała mi treść *Asystenta*, akt po akcie, scena po scenie, aż do ostatniej. Nie brakowało żadnego szczegółu z tych, jakie odnalazłam następnie w przedstawieniu tej komedii na deskach teatru lwowskiego”¹⁹. Następna wzmianka o tej sztuce pojawia się dopiero dwa lata później, w liście do Stanisława Janowskiego, w którym Zapolska donosi: „zaczęłam kreślić powoli nową sztukę *Asystent*. Chcę skończyć na jesień. Tak bardzo chciałabym jeszcze trochę żyć, aby móc coś jeszcze napisać dobrego”²⁰. Rok później, w sierpniu 1918, opisuje byłemu mężowi swe kłopoty: „mało mam sił – więc to idzie powoli. Tytuł jest *Asystent* – rzecz w sanatorium, komedia wesoła, bo o to proszą wszyscy”²¹. Z kolejnych listów do Janowskiego dowiadujemy się o ciągłych problemach zdrowotnych pisarki i związanych z nimi opóźnieniach w pracach nad *Asystentem*. W maju 1919 roku znów wspomina w liście, że jest zajęta pisanem: „Zamęczali mnie ze wszystkich teatrów, więc mimo że piszę na wpół przytomna, ale pragnę dać coś jeszcze. To fraszka wesoła i wymaga dużej obsady”²².

Mimo złego stanu zdrowia Zapolska kontynuuje pracę nad sztuką, o czym donosi w kolejnym liście do Janowskiego z 1919 roku: „piszę moją sztukę po trochu, powoli, płacę każde troszkę więcej pracy chorobą, bo bardzo jestem osłabiona i nie mogę, choć trochę ciszej, wrócić do równowagi. To mną strasznie wstrząsnęło i naruszyło coś w moim sercu. Ciągłe myślę, że to może będzie lepiej, ale jakoś nie. Więc dalej walczę z tym, co było, i to wrażenie śmierci, pod którym się żyło tyle czasu, odbiło się na mnie w straszny sposób. To jest dopiero widoczne teraz. A tu chcą wesołej sztuki! Jakby na urągowisko. Już skończyłam dwa akta, zabrałam się do trzeciego. Ci, którzy czytali te dwa akta, mówią, że to śliczne, dowcipne, a w każdym razie zupełnie inne jak to, co gry-

19 Ibidem, s. 500.

20 G. ZAPOLSKA: Listy..., s. 637.

21 Ibidem, s. 670.

22 Ibidem, s. 676.

wają zawsze”²³. W kolejnym liście (lipiec 1919) Zapolska z dumą stwierdza, że „Asystent ma już połowę trzeciego aktu [...] Ci, którzy czytali, nie mają słów zachwyty. Wysocki mówił, że nie tylko w polskiej literaturze dramatycznej, ale i w światowej nie ma czegoś podobnego”, a następnie znów wymienia swe rozliczne dolegliwości: „bardzo ciężko mi pracować, pisząc po kilka scen w najfatalniejszych warunkach”²⁴. O złym stanie zdrowia autorki świadczyć może fakt, iż wedle spostrzeżeń Janowskiego, zanotowanych w pamiętniku, zazwyczaj „zasiadała do pisania z rzeczą zupełnie w mózgu skonstruowaną, pisanie zaś było tylko mechanicznym przeniesieniem na papier tego, co było już obmyślane i gotowe. Tym się tłumaczy, że w ciągu jednego wieczora powstawał pod jej piórem jeden akt sztuki, nigdy niekreślony i niepoprawiany”. Świadcstwo to potwierdza sama pisarka w liście, gdzie relacjonuje powstawanie *Moralności pani Dulskiej*: „Jutro kończę sztukę. Nie wiem, jaka jest, ale zdaje się dobra. Pisałam jednym tchem”²⁵. Tworzenie *Asystenta* przebiegało więc w zupełnie inny sposób. Nękana chorobami Zapolska nie miała zbyt wiele sił, by szybko, jak wcześniej się działo, zakończyć pracę nad tekstem. Uwagi na temat wielkości powstającego dzieła są charakterystyczne dla autorki *Skiza*, bardzo wysoko oceniającej własną twórczość, o czym może świadczyć chociażby fragment listu do Janowskiego z 1903 roku, w którym dobitnie objawia: „Chcę stanąć na tym stanowisku, z którego mnie Wyspiański, Żeromski i Przybyszewski zepchnęli. Ambicję mam straszną i chcę spokoju koniecznego do pracy”²⁶.

Asystent został uformowany ostatecznie w sierpniu 1919 roku. O swych odczuciach Zapolska znów pisze do byłego męża: „wczoraj rano skończyłam i rozplakałam się tak rzewnie, że myślałam, że już umrę [...] Skąd mi się to wzięło, że zdołałam napisać rzecz taką różną, taką inną, nie wiem [...] Jest to rzecz ogólnoludzka, taka jaką była *Dulska*”²⁷.

Z korespondencji pisarki wiemy, że *Asystenta* zamówiła dyrekcja (Marian Dąbrowski, Ludwik Czarnowski) otwartego na jesieni 1919 roku Teatru Bagatela w Krakowie, którego repertuar stanowić miały lekkie, zabawne sztuki współczesne. Jednak pierwszym spektaklem wystawionym tu była ostatecznie

23 Ibidem, s. 677.

24 Ibidem, s. 678.

25 Ibidem, s. 312.

26 Ibidem, s. 286.

27 Ibidem, s. 680.

inna sztuka Zapolskiej – *Kobieta bez skazy*. Premierze tej towarzyszył skandal: część mieszkańek Krakowa interweniowała u biskupa Sapiehy, skarżąc się, że w nowym teatrze na rogu Krupniczej i Karmelickiej odbędzie się niemoralne widowisko. Przedstawienia jednak nie odwołano, sztuka odniosła wielki sukces, bowiem była wystawiana aż przez pięć miesięcy. Nie może zatem dziwić fakt, że w dyrekcja „Bagateli” była zainteresowana każdym nowym dramatem Zapolskiej, a *Asystent* miał być nawet przedstawieniem inauguracyjnym działalność nowej sceny krakowskiej.

Ostatecznie jednak prapremiera *Asystenta* odbyła się 4 października 1919 roku w Teatrze Miejskim im. J. Słowackiego w Krakowie. Reżyserem przedstawienia, które wystawiono 14 razy, był Józef Sosnowski, zaś scenografię wykonał Zygmunt Wierciak. Kilka dni później, 8 października, *Asystenta* wystawiono także w Warszawie – w Teatrze Rozmaitości. Przedstawienie wyreżyserowane przez Pawła Orwełłę powtórzono 22 razy. W tym samym roku „Gazeta Wieczorna” w numerach 4665, 4668, 4672 i 4676²⁸ zaprezentowała krótkie fragmenty sztuki. Można mówić o pewnym sukcesie dramatu Zapolskiej, bowiem w roku następnym (17 lutego 1920) odbyła się premiera lwowska i kolejne 15 przedstawień. Jednak zainteresowanie farsą o sanatorium szybko się zakończyło. Przed wojną zaprezentowano *Asystenta* w poznańskim Teatrze Nowym im. H. Modrzejewskiej, w czerwcu 1925 roku. Po wojnie sztukę w 1963 roku w piętnastu przedstawieniach przypomniiał Teatr Ziemi Krakowskiej im. L. Solskiego w Tarnowie (obecnie Teatr im. Ludwika Solskiego w Tarnowie).

Inspiracją do napisania *Asystenta* z pewnością były wielokrotne pobyty pisarki w sanatoriach, podczas których Gabriela Zapolska z właściwą sobie wnikliwością obserwowała specyfikę świata kuracjuszy, pełnego plotek i intryg o charakterze matrymonialnym, a także romansowym. Wiadomo, że pisarka często odpoczywała i leczyła się w znanych miejscowościach uzdrowiskowych. Bywała chociażby w Krynicy czy w zakładzie wodoleczniczym Mariówka (Marijówka, Marijiwka) doktora Zakrzewskiego we Lwowie.

Jadwiga Czachowska uważa, że wiele pomysłów do scen i dialogów *Asystenta* powstać mogło już w 1905 roku podczas pobytu pisarki w zakładzie przyrodoleczniczym w Kosowie, uzdrowisku założonym przez Apolinarego Tarnaw-

28 Por. J. CZACHOWSKA: *Gabriela Zapolska...*, s. 499.

skiego, które szybko stało się miejscem, gdzie chętnie zjawiała się galicyjska bohema artystyczna, a także naukowcy. Poza Zapolską bywalcami Kosowa byli Ignacy Chrzanowski, Jan Baudouin de Courtenay, Juliusz Osterwa, Lucjan Rydel, Adam Didur, Jan Kiepura, Leon Schiller i Ferdynand Antoni Ossendowski. W zakładzie Tarnawskiego wykorzystywano metody lecznicze popularnego w XIX wieku księdza Sebastiana Kneippa. Oprócz kąpieli kuracjusze musieli pracować na roli, uczestniczyć we wspólnej gimnastyce, a także spożywać wyłącznie jarskie potrawy. Ponadto Czachowska przytacza świadectwo A. Kallas, która wspomina, iż sztuka Zapolskiej „była oparta na reminiscencjach z pobytu w sanatorium w Tatarowie w sierpniu 1912 r.”²⁹. O tym, że Zapolska często wyjeżdżała na leczenie, dowiadujemy się z jej korespondencji, a honoraria za dramaty często przeznaczala na leczenie, o czym świadczy chociażby list do Lenartowicza, w którym zwierza się: „Pisałam tę sztukę prawie nieprzytomna z osłabienia, ale pisałam, bo chciałam mieć na kurację”³⁰.

Autorka *Żabusi* skarżyła się na wiele dolegliwości. Poza pogłębiającą się chorobą wzroku, a także postępującym niedosłuchem oraz niedowładem nóg cierpiała także na przypadłości ginekologiczne i nerwowe. Te ostatnie były szczególnie uciążliwe. Przeszkadzały jej hałasy (Janowski pisze o zdenerwowaniu szczekaniem psa, które usłyszała przypadkiem), zapachy, często wpadała w niekontrolowaną złość, wręcz były to ataki furii, jak chociażby wtedy, gdy uderzyła siekierą (rekwizytem) koleżankę z teatru (Helenę Marcello)³¹. Zdenerwowanie towarzyszące jej przy pisaniu często powodowało dolegliwości żołądkowe, o czym nadmienia w jednym z listów z 1906 roku do Janowskiego: „Ponieważ piszę, więc od kilku dni mam straszne przykrości z żołądkiem. Nie jem, wymioty mnie męczą, co począć”³². Zapolska po trudach twórczych odpoczywała i odzyskiwała siły w zakładach przyrodo- i wodolecznictwa, w związku z tym nie dziwi fakt, że akcja jednej z jej sztuk właśnie rozgrywa się w takim miejscu i ukazuje typowe dla środowiska kuracjuszy problemy.

Zapolska w listach do Janowskiego nieraz podkreślała niezwykle ciepłe, wręcz entuzjastyczne przyjęcie fragmentów *Asystenta*, które pokazywała, czy-

29 Ibidem, s. 500.

30 G. ZAPOLSKA: *Listy...*, s. 318.

31 Por. L. EUSTACHIEWICZ: *Dramaturgia Młodej Polski*. Warszawa 1982, s. 196.

32 Ibidem, s. 404.

tała lub wysyłała znajomym. Trudno powiedzieć, czy tak było w rzeczywistości, bowiem krytyka po pierwszych przedstawieniach w Krakowie i Warszawie pisała o farsie dość chłodno. Tadeusz Boy-Żeleński chwalił co prawda pierwszy akt, ale dodawał, że później „akcja jest błada, konwencjonalna i niezajmująca”³³, a także krytykował dłuższy w akcie II i III³⁴. Zdzisław Jachimecki pisze, że *Asystent* „okazał się eksperymentem nie bardzo szczęśliwym”, chwali jednak grę aktorską w krakowskim przedstawieniu. Ostatecznie konkluduje, że „przyjęta z licznymi zastrzeżeniami nowa sztuka Zapolskiej jest pożądanym dla nas dowodem, że talent autorki *Żabusi* nie przestał być żywotnym”.

Najostrzejsza recenzja wyszła spod pióra Emila Breitera, który ostro stwierdzał, że „*Asystent* jest właściwie librettem operetki. Wszystko w nim jest, czego operetce potrzeba... prócz muzyki i muzykalności. Spiętrzenie niedorzeczności, cikliwy sentyment okraszony najcudaczniejszymi kwiatami stylowymi, wystawa nóg, tydek i kolan, chóry nimf i dryjad sanatoryjnych, stara komiczna, charakterystyczny komik, młody tenor i naiwny sopran. Są nawet niewytańczone tańce, niedograny gramofon, nietrzeźwe towarzystwo”³⁵. Breiter chwali zespół teatru „Rozmaitości” i kreacje aktorskie Węgrzyna, Frenkla i Majdrowicz.

Z kolei Stefan Krzywoszewski mocno krytykuje aktorów, natomiast łagodnie obchodzi się z samą autorką, wszelkie niedostatki przedstawienia widząc w zbyt poważnym ujęciu tematu przez reżysera. Miłoszowski zatytułował swą

33 T. ŻELEŃSKI-BOY: *Flirt z Melpomeną. Wieczór pierwszy*. Warszawa 1920, s. 96.

34 Recenzje prasowe, które ukazały się po premierach *Asystenta* w Krakowie, we Lwowie, w Warszawie i Poznaniu: R. JACHIMECKI, „Głos Narodu” 1919, nr 249; Z. KISIELEWSKI, „Robotnik” 1919, nr 333; J. PIETRZYCKI, „Goniec Krakowski” 1919, nr 272; S. SKOCZYŁAS, „Nowości Ilustrowane” 1919, nr 47; M. SZYJKOWSKI, „Ilustrowany Kurier Codzienny” 1919, nr 274; T. ŻELEŃSKI-BOY, „Czas” 1919, nr 274 (przedruk – *Flirt z Melpomeną. Wieczór pierwszy...*); E. BREITER, „Gazeta Polska” 1919, nr 353, „Kurier Polski” 1919, nr 353; S. KRZYWO-SZEWSKI, „Kurier Polski” 1919, nr 265; S. MIŁOSZOWSKI, „Dziennik Powszechny” 1919, nr 270; J. STYCZ, „Gazeta Lwowska” 1919, nr 247; S. PIEŃKOWSKI, „Gazeta Warszawska” 1919, nr 277; W. RABSKI, „Kurier Warszawski” 1919, nr 279; A. ĆWIKOWSKI, „Dziennik Ludowy” 1920, nr 44; J. JEDLICZ, „Słowo Polskie” 1920, nr 85; L.C., „Kurier Lwowski” 1920, nr 50; S. MAYKOWSKI, „Gazeta Wieczorna” 1920, nr 5092 i 5094; A. SCHROEDER, „Gazeta Lwowska” 1920, nr 41–42; „Wiek Nowy” 1920, nr 5622; J. KOLLER, „Dziennik Poznański” 1925, nr 131. Fragmenty niektórych recenzji cytowane są w niniejszym opracowaniu.

35 E. BREITER: [Rec.] „Gazeta Polska” 1919, nr 353. Cyt. za: J. CZACHOWSKA: *Gabriela Zapolska...*, s. 502.

recenzję *Stępiony lancet*, a następnie złośliwie wypomniął, iż *Asystent* jest jedynie jak „kleks, strząśnięty z pióra w chwili złego humoru”, z kolei Stanisław Pieńkowski w krótkiej recenzji jedynie wytknął zbędny, według niego, wątek sentymentalnej miłości.

Recenzje po premierach krakowskiej i warszawskiej są zdecydowanie surowsze niż te po przedstawieniach we Lwowie i w Poznaniu, jednakże nie może dziwić poirytowanie i obawy Zapolskiej, która w liście do Stanisława Maykowskiego z 4 lutego 1920 roku pisze: „Na przyszły tydzień idzie mój *Asystent* [we Lwowie – M.P.], którego skrzywdzono bardzo w Krakowie i w Warszawie, nazywając go pamfletem na zakład dra Tarnawskiego w Kosowie”³⁶.

Asystent nie znalazł się w wydawanych w latach 1957–1958 *Dzieliach wybranych* Gabrieli Zapolskiej w opracowaniu Tomasza Weissa, jednakże wedle badań Zbigniewa Raszewskiego z trzydziestu siedmiu dramatów autorki *Żabusi* nigdy nie zostało wydrukowanych aż szesnaście, z czego zaginęło sześć³⁷. Wśród niewydrukowanych dramatów Zapolskiej poza *Asystentem* Raszewski wymienia między innymi *Nerwową awanturę*, *Pariasów*, *Carewicza*, a także już później wydany w *Dzieliach – Zaszumi las*.

Należy odnotować, że istnieją dwie wersje podtytułu: *Sztuka sceniczna w 3 aktach* i *Żart sceniczny w 3 aktach*. Podtytuł odpisu z premiery krakowskiej ma postać: *Żart sceniczny w 3 aktach* – i jako lepiej komponujący się ze strategią dramatu został tu wybrany.

Poprawki tekstu i emendacje

Podstawą wydania są dwa rękopisy (sygnatury BTL 4199 i BTL 4200) z uwagami inspicjenta, znajdujące się obecnie w Czytelni Zbiorów Specjalnych w Bibliotece Śląskiej w Katowicach, pierwotnie będący własnością biblioteki Teatru Miejskiego we Lwowie. W rękopisach znajdują się trzy rodzaje poprawek i skreśleń: ołówkiem, czerwoną oraz niebieską kredką.

36 G. ZAPOLSKA: *Listy...*, s. 691.

37 Z. RASZEWSKI: *Nowy dramat polski w rękopisach*. „Ze Skarbca Kultury” 1953, z.1. Należy porównać te badania ze wcześniejszymi ustaleniami: Z. RASZEWSKI: *Niedrukowana spuścizna dramatyczna Gabrieli Zapolskiej*. „Pamiętnik Literacki” 1951, z. 1.

Oprócz tego przedmiotem porównań tekstu jest odpis sztuki znajdujący się w Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie (sygnatura 1094 k. 183), wraz z zezwoleniem cenzury i afiszem przedstawień w dniach od 4 do 7 października 1919 roku. Po porównaniu obu wersji tekstu można wnioskować, iż poprawki niebieską kredką czynione były przez reżysera.

Istnieje jeszcze jeden odpis tekstu pochodzący z 1925 roku, przygotowywany w czasie wystawienia *Asystenta* w teatrze poznańskim. Tekst ten znajduje się w Bibliotece Teatru Polskiego w Poznaniu (sygnatura R. 288), pochodzi ze Lwowa z roku 1921 i wykorzystany został w trakcie poznańskiej premiery w 1925 roku. Nie jest wzięty pod uwagę, ponieważ powstał z pewnością po śmierci Gabrieli Zapolskiej (1921 rok)

W 1944 roku zaginęły dwa odpisy *Asystenta* z Biblioteki Warszawskich Teatrów Rządowych (sygnatury 4695 i 5332).

AŚ – przekaz tekstu z Biblioteki Śląskiej.

AK – przekaz tekstu z Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie.

W AŚ postać opisana jako Gustawa Strzygoń, w AK – Gustawa (bez nazwiska).

Podobnie Prezes Sołtys (AŚ), prezes (AK).

AŚ: Sztuka w 3 aktach przez Gabrielę Zapolską – 1919 r., dopisek (reżyser K[azimierz] Okornicki) / AK: Żart sceniczny w 3 aktach

s. 125 Osoby – AŚ: Porsowski – żelazny medyk/ AK: Porsowski – medyk; AŚ: służba obojga płci/ AK: brak tej informacji

Akt I

s. 226 AŚ – brak / AK – „5. Unikaj jedzenia, ono niszczy nerwy” (dopisek reżysera)

s. 229 AŚ „tylko zęby suszy. On by do tej szczotki na schodach flirty urządzał – a o obowiązkach nie myśli” (skreślone czerwoną kredką)/ AK – brak zmiany

s. 136 AŚ – „No to go wyżenić” (skreślono ołówkiem wyraz „wyżenić”, dopisano niebieską kredką „wyrzucić”) / AK – „no to go wyrzucić” (tak samo jest we wszystkich kwestiach Radcy Zabielskiego w akcie II i III)

s. 146 AŚ – kwestie Radczyni Konopajtys i doktorowej Orzech na temat Mecenasowej Bierstockel od „Anioł z rudą głową” do „To nie nos – to katastrofa” – skreślone niebieską kredką / AK – brak skreśleń

- s. 149 AŚ – „Dwie stare panny” – skreślona niebieską kredką / AK – brak skreśleń
- s. 157 AŚ – fragment dialogu między Rózią a Henrykiem od „To nie jest żadne ublizanie...” do „on zdenerwowany” – skreślony ołówkiem / AK – brak zmian
- s. 158 AŚ – fragment dialogu między dr. Raczkiewiczem a Henrykiem, od „Może... jednak” do „Żadna by nie spała” – skreślony niebieską kredką / AK – brak zmian

Akt II

- s. 172 AŚ – dopisano niebieską kredką (po kwestii Nadradczanki Mazgajskiej, która brzmi „nie”) – „Mazgajska siada, ojciec nad nią” / AK – brak zmian
- s. 182 AŚ – w kwestii Henryka „ten chłopak jest nierób” (skreślono niebieską kredką), „lepiej, żeby nie żył był” / AK – brak skreśleń, „lepiej, żeby nie żył”
- s. 190 AŚ – kwestię Stefana „właśnie niosę drabinę” skreślono ołówkiem i dopisano „przygotowałem” / AK – brak zmian
- s. 223 AŚ – fragment kwestii Zosi od „wszystko przygaszone” do „mleko”, skreślono niebieską kredką / AK – brak zmian
- s. 237 AŚ – usunięto niebieską kredką część kwestii doktora Raczkiewicza, od „to wszak nie fraszka” do „wybryki” / AK, s. 84 – brak zmian
- s. 246 AŚ – w kwestii Barbary skreślono niebieską kredką „do domu” i dopisano „do siebie” / AK – brak zmian; AŚ – kwestia dr. Raczkiewicza „Basiu, pozwól sobie wytłumaczyć” dopisana niebieską kredką / AK – „Pozwól sobie wytłumaczyć”
- s. 248 AŚ; po ostatniej kwestii – „zasłona opada” / AK – „zasłona spada”

Akt III

- s. 250 AŚ – usunięto niebieską kredką część kwestii Zosi od „Niech panienka pójdzie do siebie” do „ja tam kawę przyniosę” / AK, s. 93 – brak zmian
- s. 251 AŚ – skreślono niebieską kredką część kwestii Zosi, która brzmi „Słomki ja sama przyniosę, bo pani dyrektorka pognęła Stefana do

- miasteczka” / AK, s. 93 „Słomki ja sama przyniosę – bo pani dyrektorka pognała Stefana do miasteczka”
- s. 256 AŚ – skreślono niebieską kredką część kwestii panny Ireny, od „tak mówię do pana” do „bajeczny spokój” / AK, s. 98 – brak zmian
- s. 257 AŚ – usunięto niebieską kredką większość kwestii panny Ireny „No, no... ja wiem więcej niż się panu zdaje – Ja będę szczerza – ja będę nawet brutalna. Według mnie, ma pan tylko jedno wyjście. Długów pan ma już dosyć. Matka pana nie przedstawia żadnej gwarancji, bo sama tonie, biedaczka, w długach, a lichwiarze wszystko widzą... Powinien pan z honorem i buńczucznie się doktoryzować – to znaczy z pełnym portfelem i w nowym fraku.” / AK – „No, no... ja wiem więcej niż się panu zdaje. Ja będę szczerza – ja będę nawet brutalna. Według mnie, ma pan tylko jedno wyjście z długów. Matka pana nie przedstawia żadnej gwarancji, bo sama tonie, biedaczka, w długach, a lichwiarze wszystko widzą... Powinien pan z honorem i buńczucznie się doktoryzować, to znaczy z pełnym portfelem i w nowym fraku”
- s. 258 AŚ – skreślono niebieską kredką fragment kwestii panny Ireny „Inaczej pana doktorat stanie się tym dla pana, czym dla mnie mój fortepian koncertowy. W jedną z tych baniek, które pan bardzo elegancko w świat rzuca” / AK – „Inaczej pana doktorat stanie się tym dla pana, czym dla mnie mój fortepian koncertowy. Ot! jedną z tych baniek, które pan bardzo elegancko w świat rzuca”
- s. 258 AŚ – podkreślono w kwestii panny Ireny wyraz „udzielał” / AK – brak podkreślenia
- s. 258 AŚ – skreślono niebieską kredką fragment kwestii panny Ireny „A zresztą, jeżeli na przykład ja, jeżeli się zadawałam namiastkami męża, to i pan może także w życiu zadowolić się namiastkami żony...” / AK – brak skreśleń
- s. 258 AŚ – skreślono ołówkiem fragment kwestii panny Ireny „A ja będę waszą przyjaciółką domową” / AK – „A ja – będę waszą przyjaciółką domową”
- s. 260 AŚ – skreślono niebieską kredką fragment kwestii panny Ireny „największy to bunt, na jaki taką kreaturę stać!” / AK – brak skreśleń
- s. 274 AŚ – skreślono niebieską kredką fragment kwestii Barbary „Ja tu walczę o honor i całość sezonu »Gencjany«, słowem, reperuję to, co pan niszczysz. Skoro ja panie przyprowadzę do stodoły – proszę zachować

- się z całą rewerencją i potem iść ze mną pod rękę. Do tej chwili z Henrykiem jakby nigdy nic – najgrzeczniej przysłać go tutaj, niech aplikuje tę licytynę – czy tam co chce.” / AK – brak skreśleń
- s. 274 AŚ – w kwestii Barbary skreślono ołówkiem słowo „szafce” dopisano „na stole” / AK – brak zmian
- s. 283 AŚ – skreślono ołówkiem kwestię Prezesa Sołtysa „Pierwszy raz słyszę o takiej hrabinie. Ona wydaje się mi się jakby coś tego... My, mężczyźni, mamy nos”. / AK – brak skreśleń, kwestia brzmi „Pierwszy raz słyszę o takiej hrabinie – ona wydaje się mi się jakby coś tego... My mężczyźni, mamy nos”.
- s. 284 AŚ – w kwestii Henryka „Czy dlatego, żeś się pan ogolił?” skreślono ołówkiem wyraz „ogolił” dopisano „odświeżył” / AK – brak skreśleń
- s. 292 AŚ – w kwestii Henryka skreślono niebieską kredką fragment „To jest ciężko przedsięwziąć jakąś trudną drogę i piąć się na niej, po prostu na czworakach z ciężarami u nóg, które wstrzymują i ciągną w tył... a honor każe zwrócić to, co się wzięło i nie zawieść nadziei, którą tak ktoś bardzo biedny – bardzo już życiem skołowany, położył w nas (chwila milczenia)” / AK, s. 125 – brak skreśleń
- s. 293 AŚ – w kwestii Rózi „To moja książeczka kasy oszczędności... Tam jest trochę, troszeczkę... to, co uzbierałam sobie” skreślono niebieską kredką fragment „tam jest trochę, troszeczkę” / AK – brak skreśleń „To moja książeczka kasy oszczędności, tam jest trochę, troszeczkę – to, co uzbierałam sobie”
- s. 293 AŚ – w kwestii Rózi skreślono ołówkiem fragment „bo chciałam dla Rodziców pomniczek postawić, ale to wszystko jedno – oni jeszcze w mogiłkach poczekają – a pan niech sobie dopomoże ten doktorat zdać! Niech Pan Bóg broni!” / AK – „to [ewidentna literówka, zmieniająca sens zdania – M.P.] chciałam dla rodziców pomniczek postawić, ale to wszystko jedno, oni jeszcze w mogiłkach poczekają, a pan niech sobie tym dopomoże, ten doktorat zdać! – Pan nie potrzebuje się za to ze mną żenić... niech Pan Bóg broni!”
- s. 294 AŚ – skreślono ołówkiem fragment kwestii prezesa Sołtysa „Ja gotów jestem w każdej chwili stanąć w twojej obronie.” / AK – brak skreśleń
- s. 298 AŚ – kwestia Henryka „O!” / AK, s. 130 „Jak to?”; AŚ – skreślono ołówkiem didaskalia „Oboje młodzi całują się gorąco, śmiejąc się radośnie, potem prezesa Sołtysa” / AK – brak skreśleń

- s. 302 AŚ – w kwestii Radczyny Konopajtys „Może pani hrabina położy się na szezlongu” skreślono ołówkiem „szezlongu”, dopisano „leżaku”/ AK – „Może pani hrabina położy się na szezlongu?”
- s. 310 AŚ – w kwestii doktorowej Orzech „Nie, ale ma pofarbowaną głowę” skreślono ołówkiem „głowę”, poprawiono na „brodę”/ AK – brak zmian
- s. 313 AŚ – skreślono niebieską kredką fragment dialogu: RADCA ZABIELSKI *wdzięcząc się ze swego miejsca do GUSTAWY STRZYGOŃ* Może pani hrabina z nami wiścika... BARBARA *wchodzi pomiędzy nich i piorunującym wejrzeniem na ZABIELSKIEGO* BARBARA: Pani hrabina nie grywa. RADCA ZABIELSKI: Ja myślałem, że... / AK – RADCA ZABIELSKI: *wdzięcząc się ze swego miejsca do GUSTAWY STRZYGOŃ*: Może pani hrabina z nami wiścika? BARBARA: *wchodząc pomiędzy nich i piorunującym wejrzeniem na ZABIELSKIEGO* Pani hrabina nie grywa! RADCA ZABIELSKI: Ja myślałem, że...;
- s. 284 AŚ – BARBARA: Ja tam nie wiem, ale to wiem, że my go tu dłużej trzymać nie możemy... DR RACZKIEWICZ i HENRYK *wychodzą z gabinetu*. HENRYK *trzyma w ręku indeks*. DR RACZKIEWICZ: Więc kontrakt nasz zerwany?” AK – BARBARA: Ja tam nie wiem, ale to wiem, że my go tu dłużej trzymać nie możemy...; DR RACZKIEWICZ: *wychodzi z Henrykiem z gabinetu* Więc kontrakt nasz zerwany?; AŚ – kwestia BARBARY „Stefanie, proszę pakować kuferek pana asystenta...” – skreślona ołówkiem/ AK – brak skreśleń
- s. 292 AŚ – zasłona zapada / AK – kurtyna spada/ koniec

Odnotować należy, że odpis pochodzący z krakowskiej premiery (15 wrzesień 1919 roku) opatrzony został podtytułem *Żart sceniczny w 3 aktach*.

Opracowanie tekstu dramatu *Asystent* oraz noty wydawniczej
Magdalena Piekara

Projekt okładki
Paulina Tomaszewska-Cieply

Skład i łamanie
Tomasz Gut

Copyright © 2012 by
Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego
Wszelkie prawa zastrzeżone

ISSN 0208-6336
ISBN 978-83-226-2071-7

Wydawca
Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego
ul. Bankowa 12B, 40-007 Katowice
www.wydawnictwo.us.edu.pl
e-mail: wydawus@us.edu.pl

Wydanie I. Ark. druk. 21,5. Ark. wyd. 18,5. Papier offset. kl.
III, 90 g/m² Cena 1. i 2. tomu 52 zł (+ VAT)

Druk i oprawa: PPHU TOTEM s.c.
M. Rejnowski, M. Zamiara
ul. Jacewska 89, 88-100 Inowrocław

Cena 1. i 2. tomu 52 zł
(+ VAT)

ISSN 0208-6336
ISBN 978-83-226-2071-7

Tom 2
Carewicz
i
Asystent